
POWIEŚĆ
NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS
THRILLER
ALEX
KAVA
GRANICE
SZALEŃSTWA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alex Kava

Granice szaleństwa

Tłumaczyła
Katarzyna Ciążyńska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sobota, 13 września
Meriden, Connecticut

Dochodziła północ, a Joan Begley nadal wytrwale czekała.

Wybijała nerwowy rytm na kierownicy, a w lusterku wstecznym wypatrywała reflektorów samochodu. Udawała, że nie dostrzega odległych zygzaków błyskawic, mówiła sobie, że burza jej nie dosięgnie. Od czasu do czasu spoglądała przez przednią szybę, lecz bardziej od spektakularnego widoku nocnego miasta interesowały ją boczne lusterka, jakby mogły pokazać coś, co umknęło wstecznemu.

„Obiekty często znajdują się bliżej, niż się na pozór wydaje”.

Napis na lusterku od strony pasażera wywołał jej uśmiech, zaraz jednak zadrżała. W tej przeklętej ciemnicy niczego nie zobaczy, póki to coś nie wyląduje na dachu jej samochodu.

– Brawo, Joan – fuknęła. – Już jesteś wkurzona.

A przecież trzeba myśleć pozytywnie. Bo w końcu jaki pożytek z sesji terapeutycznych u doktor Patterson, jeśli tak łatwo odrzuci to wszystko, co dzięki nim osiągnęła?

Tylko co go tak długo zatrzymuje? Chyba że był wcześniej i – nie doczekawszy się jej – zrezygnował. Ona zaś

przyjechała z dziesięciominutowym opóźnieniem, zresztą nie z własnej winy. To on zapomniał uprzedzić ją o rozwidleniu tuż przed samym wjazdem na szczyt. W rezultacie musiała nadłożyć drogi, jakby nie dość było, że wzgórze spowiła kompletna ciemność. Gęsty baldachim z gałęzi nie przepuszczał światła księżyca, którego i tak już niewiele docierało. Wkrótce zastąpi je koszmarna feeria błyskawic.

Boże, jak ona nie znosi burzy. Powietrze było naładowane, czuła ten specyficzny metaliczny smak, podobny do tego, który zostaje w ustach po wyjściu od dentysty z nową plombą. To tylko zwiększało niepokój Joan, przypominało, że nie powinna tu być. Że nie powinna tego robić… że nie powinna tego robić po raz kolejny.

Przez te durne burzowe chmury straciła zmysł orientacji. W każdym razie oskarżała je o to, choć tak naprawdę pogubiła się, dopiero gdy wsiadła do wynajętego samochodu. Na domiar złego projektanci ulic w miastach w Connecticut nie zważali na zdrowy rozsądek i kompletnie lekceważyli linie i kąty proste. W ciągu paru minionych dni Joan wielokrotnie gubiła drogę. Tego wieczoru, kiedy wjeżdżała na wzgórze, kilka razy skręciła nie tam, gdzie powinna, choć powtarzała sobie, że to się nie zdarzy, że nie może się znowu zgubić. Gdyby nie ów stary mężczyzna z psem, dalej jeździłaby w kółko i szukała West Peak.

– Zbieram orzechy – oznajmił nieznajomy.

Nie poświęciła wówczas tej informacji uwagi, zbyt niespokojna i zajęta własnymi sprawami. Teraz, czekając,

przypomniała sobie, że mężczyzna nie miał żadnej torby ani kosza. Tylko latarkę. Kto zbiera orzechy w środku nocy? Dziwne. Tak, było coś osobliwego w tym człowieku. Miał nieobecny wzrok, a przy tym, jakby dla kontrastu, żywo gestykulował, kiedy objaśniał, jak dojechać na zacieniony szczyt, gdzie huczał wiatr i trzeszczały gałęzie.

Jakie licho ją tu przywiodło?

Sięgnęła po telefon komórkowy i wystukała numer. Po drugim dzwonku usłyszała, niestety, głos automatycznej sekretarki.

– Tu numer doktor Patterson. Proszę podać nazwisko i numer telefonu, oddzwonię najszybciej, jak to będzie możliwe.

– Możliwie najszybciej może być za późno – mruknęła Joan zamiast powitania. Potem ogarnął ją śmiech i pożałowała tych słów, ponieważ doktor Patterson na pewno będzie szukać w nich drugiego dna. Ale ostatecznie czy nie za to właśnie płaci jej taką grubą forsę? – Witam, pani doktor, to znowu ja. Proszę wybaczyć, że jestem natrętna, ale miała pani rację. Znowu to robię, czyli niczego się nie nauczyłam. Znowu tkwię w środku nocy w samochodzie i czekam na... taa, zgadła pani, na faceta. Ale Sonny jest inny. Pamięta pani może, pisałam pani o nim w mailu. Rozmawiamy, dużo rozmawiamy. Przynajmniej jak dotychczas. To naprawdę sympatyczny facet. Nie mój typ, co? Nie umiem prawidłowo oceniać mężczyzn. Równie dobrze może być mordercą, który zabija siekierą. – Zaśmiała się z przymusem. – Wie pani co? Po prostu miałam nadzieję. Nie wiem, może

miałam nadzieję, że pani wybije mi go z głowy. Uratuje mnie przed... no, wie pani... Przede mną, jak zawsze. Kto wie, może on wcale nie przyjdzie? Ale my spotkamy się jak zwykle w poniedziałek na naszej stałej randce. Wtedy będzie pani miała okazję mnie obsztorcować. Okej?

Rozłączyła się, nim w słuchawce obcy głos zaproponował odsłuchanie nagranej wiadomości, wprowadzenie zmian albo skasowanie. Tego wieczoru Joan nie chciała już podejmować żadnych decyzji. Miała tego dosyć, bo od kilku dni nic innego nie robiła. Wybrać pakiet pogrzebowy Niebiański Spokój czy może droższy Deluxe Premium, przeznaczony dla klientów, których gryzie sumienie? Białe róże czy białe lilie? Trumna orzechowa z mosiężnym wykończeniem czy mahoniowa z jedwabną podszewką?

Dobry Boże! Kto by pomyślał, że pogrzeb wymaga aż tylu rozstrzygnięć!

Wrzuciła telefon to torebki i przeczesała palcami gęste jasne włosy, niecierpliwie odgarniając z czoła wilgotne kosmyki. Zerknęła we wsteczne lusterko i zapaliła światło nad głową, żeby zobaczyć ciemne odrosty. Musi się nimi zająć, i to pilnie. Być blondynką – to kawał roboty.

– No, kobieto, twoje utrzymanie jest coraz kosztowniejsze – powiedziała do odbicia w lusterku. Z trudem rozpoznawała swoje oczy. Drobne zmarszczki mimiczne przekształcały się w głębokie bruzdy. Co teraz wymyśli? Jaką zmianę wprowadzi w swoim wizerunku? Boże! Odwiedziła już nawet chirurga plastycznego. Czego się spodziewała? Że zdoła zrekonstruować siebie sprzed lat,

posługując się metodą, która jej służy do tworzenia rzeźb? Ulepi nową Joan Begley z gliny, zanurzy w mosiądzu, a potem na dodatek przylutuje parę nowych szczegółów?

To raczej nieosiągalne. A jednak zaczynała panować nad dietą i efektem jo-jo. No dobra, „panować” to nie najwłaściwsze określenie, ponieważ nie była do końca przekonana, że już to kontroluje. Trzeba jednak przyznać, że dobrze się czuła w nowym ciele. Naprawdę dobrze. Była w stanie robić rzeczy, które wcześniej musiała wykluczyć. Miała więcej energii. Spadek wagi pozwolił jej swobodniej pracować nad rzeźbami z metalu, bo nie traciła już co pięć minut tchu.

Tak, przez ten ubytek kilogramów zyskała nowe bodźce, jakby po okresie okropnej stagnacji powróciła do pracy i życia. Czemu więc nie potrafiła zdusić cichego, irytującego głosu, tego nieprzerwanie dręczącego pytania: „Jak długo to potrwa tym razem?”.

Prawdę mówiąc, pomimo rozmaitych korzyści i wspaniałego samopoczucia nie ufała nowej osobie, w którą się z wolna przeistaczała, podobnie jak nie wierzyła w czekoladę bez cukru czy beztłuszczowe chipsy ziemniaczane. Podejrzewała w nich jakąś przykrą niespodziankę, na przykład niesmak po jedzeniu albo chroniczną biegunkę. Ale przede wszystkim nie ufała sobie. W tym tkwił największy problem. To właśnie przywiodło ją na owo wzgórze w samym środku nocy i kazało czekać, aż dzięki jakiemuś facetowi poczuje się lepiej – Jezu, jak

trudno to wyznać – aż dzięki niemu poczuje się kompletna i spełniona.

Zdaniem doktor P. Joan uważa, że nie zasługuje na szczęście, i to jest główną przyczyną jej kłopotów. Że niby brak jej poczucia wartości, czy jak to tam zwą w tej ich psychopaplaninie. Do znudzenia powtarzała Joan, że żadne korekty wyglądu zewnętrznego niczego nie zmienią, dopóki nie ulegnie przemianie jej wnętrze.

Boże! Joan była wściekła, kiedy lekarka miała rację.

Zastanowiła się, czy nie zadzwonić do niej jeszcze raz. Nie, to śmieszne. Zerknęła we wsteczne lusterko. On już i tak raczej nie przyjedzie.

I nagle uświadomiła sobie, że jest zawiedziona. Czy to bardzo głupie? Może faktycznie sądziła, że ten facet będzie inny. Przecież różnił się od mężczyzn, z którymi zazwyczaj się zadawała. Był cichy, nieśmiały i zainteresowany. Tak, słuchał jej z zaciekawieniem. Tego sobie nie wymyśliła. Sonny się nią interesował, a może nawet przejmował, zwłaszcza kiedy mu nagadała o swoich kłopotach z nadwagą spowodowanych zaburzeniami hormonalnymi, zupełnie jakby łakomstwa w żaden sposób nie można było kontrolować. Sonny uwierzył jej słowom, nie uznał ich za tchórzliwą wymówkę. On jej uwierzył.

Po co się oszukiwać? To dlatego czeka w ciemności na odludziu. Kiedyż to po raz ostatni wzbudziła poważne zainteresowanie w mężczyźnie? Ona, a nie jej nowa szczupła figura i farbowane blond włosy.

Wyłączyła lampkę nad głową i patrzyła na oświetlone miasto w dole. Całkiem ładny widok. Gdyby była w innym nastroju, dostrzegłaby może w tej sytuacji coś romantycznego, niezależnie od niepokojącego grzmotu. Czy to kropla deszczu spadła na przednią szybę? No świetnie. Cudownie! Tylko tego jej trzeba.

Zaczęła na powrót bębnić palcami po kierownicy i czujnie zerkać w boczne lusterka, a potem znowu we wsteczne.

Czemu Sonny tak się spóźnia? Czyżby zmienił zdanie? Ale dlaczego?

Wzięła torebkę i włożyła rękę do środka, aż usłyszała na dnie znajomy szelest. Wyjęła paczuszkę drażetek M&M. Wysypała je na dłoń i po jednej wrzucała do ust jak tabletki antydepresyjne zoloft, licząc na to, że czekolada uspokoi nerwy. Zazwyczaj jej pomagała.

– Ależ przyjedzie, oczywiście, że tak – oświadczyła głośno z pełnymi ustami, jakby musiała usłyszeć swój głos, żeby słowa nabrały znaczenia. – Coś go zatrzymało. To bardzo zajęty facet.

W minionym tygodniu tyle dla niej zrobił… Cóż, to jasne, że na niego poczeka. Oszukiwała się, wmawiając sobie, że śmierć babci wcale jej nie obeszła. Tymczasem babcia była jedyną osobą, która naprawdę ją rozumiała i wspierała. Jedyną, która jej broniła i uparcie twierdziła, że Joan mieszka sama mimo ukończonej czterdziestki, bo to jest zgodne z jej niezależną naturą i nie ma w tym nic godnego litości.

A teraz babcia, jej obrończyni i powiernica, jej adwokat, odeszła. Żyła długo i szczęśliwie, ale ta świadomość nie wypełniała pustki, którą pozostawiła po sobie w życiu Joan. Sonny pojmował ową znaczącą nieobecność i tylko dzięki niemu przetrwała ostatni tydzień. Wspierał ją, zachęcał, żeby przeżyła bolesną stratę w pełni, choćby miało to oznaczać gorzkie łzy i ciskanie gromów.

Uśmiechnęła się na wspomnienie jego poważnej miny z przecinającą czoło zmarszczką. Zawsze był taki poważny i opanowany. A ona na tym etapie życia potrzebowała siły i autorytetu.

Raptem, jakby w nagrodę za cierpliwość, pojawiły się reflektory samochodu. Wóz wił się między drzewami. Gładko i spokojnie pokonywał zakręty, jakby kierowca zmierzający do sekretnego, górującego nad miastem miejsca dobrze znał nieoświetloną drogę. Jakby często nią jeździł.

Joan ścisnęło w żołądku. Podniecenie. Niepokój. Nerwy. Cokolwiek to znaczyło, udzieliła sobie reprymendy. Takie emocje przystoją nastolatce, ale nie kobiecie w jej wieku.

Samochód zbliżył się, Joan poczuła na karku ostre światło reflektorów, zupełnie jakby to były silne dłonie Sonny’ego, czasami pachnące wanilią. Mówił, że wanilia zabija nieprzyjemne gryzące zapachy, z którymi ma na co dzień do czynienia w pracy. Tłumaczył się ze wstydem, ale jej to nie przeszkadzało. Polubiła ten zapach. Miał w sobie coś kojącego.

Nad głową Joan grzmotnęło porządnie, z chmur spadało coraz więcej kropli, które rozpryskiwały się na szybach samochodu i zamazywały widok. Dostrzegała teraz tylko cień mężczyzny, czarną sylwetkę w kapeluszu, która wysiada z auta. Wyłączył silnik, ale zostawił światła, przez co jeszcze trudniej było go zobaczyć.

Potem wyjął coś z bagażnika, jakąś torbę. Ubrania na zmianę? Może przywiózł jej pożegnalny prezent? Uśmiechnęła się znowu.

Gdy podszedł bliżej, spostrzegła, że mężczyzna niesie długi i wąski przedmiot. Trzymał go za rączkę. Może to worek marynarski?

Stał już przy drzwiach jej wozu. W świetle błyskawicy przed oczami Joan mignął metal. Poznała podobny do łańcucha mechanizm wokół ostrza. Chyba wzrok ją myli. To jakiś żart. Tak, żart. Po co przynosiłby piłę łańcuchową?

Potem zobaczyła jego twarz.

Za zasłoną równo padającego deszczu i w świetle błyskawic twarz mężczyzny była posępna i złowroga. Patrzył na nią spod kapelusza. Miał wściekłą minę i przeszywający wzrok, który mimo zalanej szyby nie pozwolił Joan opuścić oczu. Coś się stało, coś przerażającego. Mężczyzna wyglądał jak obłąkany.

Wpadła w panikę, jej myśli uległy kompletnemu rozproszeniu. A on tkwił przy jej drzwiach i patrzył. Podskoczyła na dźwięk grzmotu, jakby ktoś poddał ją wstrząsom elektrycznym. Instynktownie wyciągnęła ręce w stronę zamka. Szukała po omacku, a serce waliło jej jak

oszalałe. A może to kolejny grzmot? Naciskała, pchała, wbijała paznokcie w przyciski. Szyba zjechała w dół z cichym świstem. Zły przycisk – przeklęty wynajęty wóz. Zaczęła znowu naciskać.

O Jezu, za późno.

Mężczyzna otwierał drzwi. Szum silnika towarzyszył szumowi deszczu. Ten wkurzający szmer ostrzegał ją, że kluczyki są nadal w stacyjce.

– Dobry wieczór, Joan – powiedział jak zwykle łagodnie, za to z grymasem gniewu na twarzy, co tylko potwierdzało, że kompletnie stracił rozum.

To właśnie wtedy Joan Begley uświadomiła sobie, że nikt nie usłyszy jej krzyków. Nikt nie usłyszy jej ostatniego krzyku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Poniedziałek, 15 września
Wallingford, Connecticut

Luc Racine udawał, że to tylko gra. Dwa miesiące temu tak to się właśnie zaczęło. Głupie zgadywanki, w które grał sam ze sobą. Teraz, stojąc w skarpetkach na końcu podjazdu, patrzył na zafoliowaną gazetę, która leżała na ziemi, jak gdyby ktoś dla kawału podrzucił mu bombę zegarową. A jeśli to nastąpi właśnie dzisiaj? A jeśli dziś się pomylił? Co by to znaczyło, do diaska?

Odwrócił się o całe sto osiemdziesiąt stopni, żeby sprawdzić, czy sąsiedzi go nie podglądają. Mieliby z tym zresztą nie lada kłopot. Ze swojego trawnika Luc ledwie widział ich domy, nie wspominając już o oknach, doskonale ukrytych za gęstymi krzewami. Słońce, które akurat wyjrzało zza łańcucha górskiego, nie zdołało przeniknąć przez gęste sklepienie listowia potężnego dębu i orzechów, które rosły wzdłuż Whippoorwill Drive. Z trawnika nie było też widać przejeżdżających samochodów.

Kręta, zygzakowata droga wysadzana była z obu stron winoroślą i drzewami, których gałęzie miejscami splatały się u szczytu, ograniczając kierowcom widoczność do jakichś piętnastu metrów. Przypominało to jazdę kolejką górską, najpierw niekończący się stromy podjazd, później

nagły spadek, a na dodatek zakręty pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. I całkiem jak na trasie wyścigu samochodowego, żołądek podchodził do gardła, a stopa zawisała nad hamulcem.

Przepiękna okolica, tak samo jak dramatyczne, gwałtowne spadki, dosłownie zapierała dech. To była jedna z tych rzeczy, które Luc Racine tak bardzo tutaj lubił. Powtarzał to każdemu, kto chciał go słuchać. Tak, właśnie tutaj, w samym środku Connecticut, jest wszystko, co trzeba: góry, woda, lasy, a do oceanu kilka minut drogi.

Córka często z niego żartowała, że mógłby służyć za „pieprzoną reklamę dla wydziału turystyki". Na co za każdym razem odpowiadał: „Nie wychowałem cię po to, żebyś klęła jak marynarz. Nie jesteś jeszcze za duża, żeby oberwać, jak będziesz się tak wyrażać".

Myśl o córce przywołała uśmiech na jego twarz. Wygadana mała, zwłaszcza teraz, kiedy została ważnym detektywem w... Do diaska! Czemu nie pamięta nazwy tego miasta? To prosta nazwa. Tam siedzą wszyscy politycy, Biały Dom tam jest i prezydent. Miał to na końcu języka.

Wówczas zdał sobie sprawę, że doszedł niemal do drzwi, a ręce ma puste.

– A niech to! – Spojrzał na koniec trawnika. Gazeta leżała tam, gdzie rzucił ją dostawca. Skąd może wiedzieć, jaki jest dzień, skoro zapomniał podnieść głupią gazetę? To niedobry znak. Wyjął z kieszeni koszuli notesik i długopis, zapisał właściwą datę, w każdym razie taką, którą uznał za

właściwą, a do tego: „Zaszedłem na koniec trawnika i zapomniałem wziąć gazetę”.

Schował z powrotem notes i zauważył, że krzywo zapiął koszulę, tym razem dwa guziki. Bardzo lubił swoje bawełniane koszule, z krótkimi rękawami na lato, z długimi na zimę, ale niestety trzeba będzie się ich pozbyć. Kiedy zawrócił wolnym krokiem na koniec trawnika, usiłował wyobrazić sobie siebie w T-shircie albo koszulce polo wyłożonej na spodnie. Czy to nie będzie wyglądało głupio z czarnym beretem? A jeśli nawet, co go to obchodzi?

Podniósł „Hartford Courant”, wyjął gazetę z folii, rozłożył gestem magika.

– Dzisiaj mamy... tak, poniedziałek, piętnastego września.

Zadowolony złożył dziennik, nie zwracając uwagi na nagłówki, i wsadził pod ramię.

– Hej, Scrapple! – krzyknął na teriera rasy Jack Russell, który wychynął z lasu. – Znowu zgadłem.

Pies miał to za nic. Całą uwagę skupił na ogromnej kości, którą częściowo niósł, a częściowo ciągnął, chwilami prawie tracąc równowagę.

– Scrap, któregoś dnia, staruszku, dopadną cię kojoty i dadzą ci popalić, że kradniesz ich zdobycz. – Kiedy to powiedział, z drugiej strony lasu dobiegł go jakiś hałas, jak gdyby ktoś uderzył czymś metalowym o kamień. Przestraszony pies wypuścił kość i z podkurczonym ogonem podbiegł do nóg pana, jakby nadchodziły zapowiedziane kojoty.

– W porządku, Scrapple. – Luc starał się uspokoić teriera, lecz kolejne uderzenie wstrząsnęło ziemią. – Co u licha?

Ruszył ścieżką do lasu. Jakieś czterysta metrów drzew i krzewów oddzielało jego ziemię od terenu, gdzie niegdyś był kamieniołom. Przed laty właściciel porzucił interes i wyjechał, zostawiając sprzęt i złoże, które gwałtownie straciło na wartości. Okazało się bowiem, zresztą ku ogólnemu zaskoczeniu, że cenny brunatny piaskowiec przestał się bronić przed zanieczyszczonym powietrzem i pełną chemikaliów wodą Nowego Jorku.

Potem ktoś zaczął wykorzystywać część kamieniołomu na bezpłatne wysypisko śmieci. Luc słyszał, że Calvin Vargus i Wally Hobbs zostali wynajęci do wywózki śmieci i oczyszczenia terenu. Jak dotąd, widział jedynie nową wielką żółtą maszynę zaparkowaną obok starego pordzewiałego sprzętu. Myślał kiedyś, że może Vargus i Hobbs – albo Calvin i Hobbs, jak mówiono o nich w mieście – zrobili sobie w kamieniołomie prywatny magazyn sprzętu.

Po drugiej stronie drzew Luc ujrzał koparkę, która przesuwała na boki kamienie wielkości Rhode Island. Zapomniał już, jakie to odludne miejsce i ledwie widział gruntową drogę przez las, która stanowiła jedyny dojazd do kamieniołomu. Zarośnięte pastwisko z jednej strony okolone było wzgórzem, z którego brano piaskowiec, a z trzech pozostałych lasem.

W otwartej kabinie koparki siedział Calvin Vargus. Potężnymi ramionami operował dźwigniami maszyny, która

połykała kamienie niczym paszcza jakiegoś potwora. Ogromna żółta machina wykonała zakręt i z trzaskiem i hukiem wypluła wielki głaz.

Calvin kiwał głową, pomarańczowa czapka bejsbolowa chroniła jego oczy przed porannym słońcem. Dostrzegł Luca i pomachał do niego. Luc wziął to za zaproszenie i także zamachał. W uszach mu huczało. Czuł wibracje maszyny od czubka głowy po koniuszki palców. Był zafascynowany koparką, która dla odmiany Scrapple'a śmiertelnie przeraziła. Co za palant. Kradnie kości kojotom, a boi się najmniejszego hałasu. Wystraszony pies szedł tuż za Lukiem, trącając go nosem w łydkę.

Wielka żółta paszcza chwyciła zębami kolejny głaz i jakieś resztki – pokruszony piaskowiec i śmieci. A także zardzewiałą, sfatygowaną beczkę, która wyśliznęła się ze stalowego uchwytu i stoczyła po stosie kamieni. Po drodze popękała, a pokrywa wystrzeliła w powietrze.

Luc patrzył na beczkę, tak zdumiony jej pędem, że rozrzuconą zawartość zdołał dojrzeć jedynie kątem oka. Najpierw pomyślał, że to stare ubrania, zwykłe szmaty. Potem zobaczył rękę i uznał, że należy do manekina. W końcu to wysypisko, jak by nie było.

Ale zaraz potem jego uwagę zwrócił odór.

Tak nie śmierdzą zwyczajne śmieci. Nie, to był zupełnie inny smród. To cuchnęło jak... jak padlina. Nie przestraszył się wcale, póki Scrapple nie zaczął wyć. Wył bez końca piskliwym głosem, który przebił się przez ryk maszyny. Luc poczuł ciarki na plecach.

Calvin zatrzymał czerpak w połowie drogi i wyłączył silnik. Scrapple raptownie ucichł, zapanowała złowróżbna cisza. Luc dostrzegł, że Calvin przesuwa czapkę na tył głowy. Podniósł wzrok na potężnego operatora, który siedział jak sparaliżowany w kabinie. Luc stał w milczeniu.

Wibracje sprzed kilku minut zastąpił głośny stukot. Dopiero po chwili Luc zdał sobie sprawę, że nie jest to dźwięk wydawany przez maszynę. To jego własne serce tak waliło, zagłuszając przelatujące nad głową dzikie gęsi. Były ich dziesiątki, odbywały swoją codzienną drogę z albo do rezerwatu McKenzie. W dali słyszał szum na drodze I-91, charakterystyczny dla godziny szczytu. Zdawało się, że to dzień jak co dzień.

Dzień jak co dzień, pomyślał Luc, patrząc na poranne słońce, które spozierało zza wierzchołków drzew i padało na sinobiałe ciało, które wypadło z dwustupięćdziesięciolitrowej beczki. Spotkał się wzrokiem z Calvinem. Sądził, że ujrzy na jego twarzy odbicie własnej paniki. Może i było tam trochę paniki, a także obrzydzenie. Luca najbardziej uderzyło to, czego nie zobaczył na twarzy Calvina Vargusa. A nie zobaczył tam zdziwienia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Akademia FBI
Quantico, Wirginia

Maggie O’Dell sięgnęła po ostatniego pączka, z czekoladowym lukrem i różowo-białą posypką, i niemal w tym samym momencie usłyszała syknięcie. Obejrzała się przez ramię na swojego partnera, agenta specjalnego R.J. Tully’ego.

– To jest twój lunch? – spytał z naganą.

– Deser. – Dodała opakowane w celofan danie dnia. Na tablicy wypisano kredą, że to „tacorito super”. Maggie uznała, że pysznej meksykańskiej potrawy nie mogli zepsuć nawet w kantynie FBI.

– Pączek to nie jest deser – obstawał przy swoim Tully.

– Zazdrościsz mi, bo wzięłam ostatni.

– Pozwalam sobie mieć odmienne zdanie. Pączek to śniadanie, nie deser. – Czekał, aż Arlene, która stała po drugiej stronie lady, zwróci na niego uwagę. Najpierw jednak musiała odstawić parujący, zdjęty prosto z pieca garnek z kukurydzą, by można było zamówić u niej befsztyk. – Zapytajmy eksperta. Pączki je się na śniadanie, prawda, Arlene?

– Kotku, gdybym miała figurę agentki O’Dell, jadłabym je kilka razy dziennie.

– Dzięki, Arlene. – Maggie dołożyła sobie dietetyczną pepsi, potem pokazała kasjerce, że zapłaci również za drugą tacę.

– No! – zawołał Tully, zauważywszy jej szlachetny gest. – A cóż to za okazja?

– Chcesz powiedzieć, że stawiam tylko z wyjątkowych okazji?

– No, owszem… i ten pączek.

– A może mam po prostu dobry dzień? – Ruszyła do stolika przy oknie. Za szybą kilku rekrutów kończyło swój codzienny bieg, przemykając między sosnami. – Zajęcia w tej sesji dobiegły końca. Śpię spokojnie, bez żadnych koszmarów. Biorę sobie kilka dni wolnego pierwszy raz od… chyba od stu lat. Nie mogę się doczekać, kiedy popracuję w ogrodzie. Kupiłam czterdzieści cebulek żonkili do posadzenia. Będziemy z Harveyem cieszyć się cudowną jesienią, kopać ziemię i rzucać patyki. Chyba wystarczy, żebym miała dobry nastrój?

Tully bacznie ją obserwował. Kiedy wspomniała o cebulkach kwiatów, czuła chyba, że go nie przekonuje. Pokręcił głową i rzekł:

– Nigdy się tak nie cieszysz z wolnych dni, O’Dell. Widziałem cię przed długim weekendem, który zafundował nam rząd. Burczałaś niezadowolonym, rozkazującym tonem, żeby wszyscy byli w robocie we wtorek z samego rana i nie blokowali sprawy, nad którą właśnie pracujesz. Nie zdziwiłbym się, gdyby twoja teczka pękała od służbowych dokumentów, nad którymi zamierzasz ślęczeć

w te tak zwane wolne dni. Więc o co tak naprawdę chodzi? Czemu szczerzysz zęby jak kot, który właśnie z wielkim smakiem zżarł papużkę?

Maggie przewróciła oczami. Jej partner na sekundę nie przerywał dochodzenia, wciąż musiał rozwiązywać zagadki. Zresztą trudno było mieć do niego pretensję o nawyki, którymi również ona przesiąkła, Może było to po prostu nierozerwalnie związane z ich zawodem.

– Okej, skoro musisz wiedzieć. Mój adwokat w końcu otrzymał od adwokata Grega ostatni, absolutnie ostatni z dokumentów rozwodowych. Tym razem nie brakowało żadnego podpisu.

– Aha. Więc już po wszystkim. Dobrze się z tym czujesz?

– Jasne, że dobrze. Dlaczego miałoby być inaczej?

– Nie wiem. – Tully wzruszył ramionami i wsadził koniec krawata, już poplamionego poranną kawą, za koszulę. Potem zebrał widelcem ziemniaki i sos i zrzucił je na befsztyk.

Maggie zauważyła, że zanurzył mankiet koszuli w tłustym sosie, oczywiście zupełnie tego nie dostrzegając, skupił się bowiem bez reszty na budowaniu obwałowania z rozgniecionych ziemniaków. Potrząsnęła głową i powstrzymała odruch, by sięgnąć przez stolik i wytrzeć kolejną plamę.

Tully za pomocą noża i widelca nadal coś tworzył na talerzu.

– Pamiętam, że jak zakończyłem swoją sprawę rozwodową, miałem mieszane uczucia. – Podniósł wzrok,

spojrzał jej w oczy i zatrzymał dłoń z widelcem w powietrzu, jakby czekał na wyznanie Maggie.

– Twój rozwód nie wlókł się niemal dwa lata. Miałam dość czasu, żeby się z tym oswoić.

– Hm, oswoić... – Tully nadal nie spuszczał z niej wzroku.

– Nic mi nie jest, naprawdę. To zrozumiałe, że miałeś mieszane uczucia. Musicie razem z Caroline wychowywać Emmę. My z Gregiem nie mamy dzieci. To najpewniej jedyna dobra decyzja, jaką podjęliśmy podczas naszego małżeństwa.

Zaczęła rozpakowywać tacorito, myśląc przy okazji, dlaczego Arlene używa tyle folii. W pewnej chwili przerwała. To było silniejsze od niej. Wzięła serwetkę i przytknęła ją do zatłuszczonego mankietu Tully'ego. Nie czuł się już teraz w takich sytuacjach zakłopotany i zawstydzony, jak na początku ich znajomości. Tym razem nawet uniósł w stronę Maggie zapaskudzony mankiet.

– A co u Emmy? – spytała, wracając do swojego lunchu.

– W porządku. Ma mnóstwo pracy, rzadko ją widuję. Za dużo zajęć popołudniowych, jakby same lekcje nie wystarczały. No i chłopcy... za dużo chłopców.

Zadzwonił telefon komórkowy Maggie.

– O'Dell, słucham.

– Maggie, mówi Gwen. Możesz teraz rozmawiać?

– Właśnie jemy z Tullym lunch. A o co chodzi?

Maggie zorientowała się po jej głosie, że sprawa jest pilna, choć Gwen usiłowała zamaskować to profesjonalnym tonem. Znały się już prawie dziesięć lat, od momentu gdy

Maggie pojawiła się w Quantico jako uczestniczka specjalnego programu z dziedziny medycyny sądowej, Gwen zaś bywała często zapraszana jako psycholog konsultant przez szefa Maggie, zastępcę dyrektora Kyle'a Cunninghama. Mimo różnicy wieku – Gwen była o trzynaście lat starsza od Maggie – z miejsca połączyła je przyjaźń.

– Czy mogłabyś coś dla mnie sprawdzić?

– Jasne, a co?

– Martwię się o pacjentkę. Mam obawy, że wpadła w kłopoty.

– Okej. – Maggie była nieco zdziwiona. Gwen rzadko opowiadała o swoich pacjentach, a tym bardziej nie prosiła o pomoc dla nich. – Jakie kłopoty?

– Nie jestem pewna. Może to nic takiego, ale czułabym się lepiej, gdyby ktoś to sprawdził. W sobotę w nocy zostawiła mi dość niepokojącą wiadomość na sekretarce, ale nie zdołałam jej złapać telefonicznie, a dziś rano nie przyszła na sesję. Nigdy nie opuszczała naszych spotkań.

– Próbowałaś kontaktować się z jej pracodawcą czy rodziną?

– To artystka, nie ma pracodawcy. Ani rodziny, o której bym wiedziała, poza babcią... Nie, ale babcia niedawno zmarła. Moja pacjentka właśnie pojechała na jej pogrzeb. Wiesz, jaki to może być wstrząs.

Tak, Maggie znała te emocje. Minęło już ponad dwadzieścia lat, a do niej w dalszym ciągu, przy okazji każdego pogrzebu, powracał obraz jej dzielnego ojca, który

walczył z ogniem, a potem leżał w mahoniowej trumnie, z przedziałkiem po niewłaściwej stronie, z poparzonymi rękami zawiniętymi w folię i ułożonymi wzdłuż ciała.

– Maggie?

– Może po prostu zrobiła sobie dzień czy dwa wolnego?

– Wątpię. Z początku nie chciała nawet jechać na pogrzeb.

– To może miała wypadek w drodze powrotnej? – Maggie zastanawiała się, czy Gwen nie przesadza. Nie widziała nic dziwnego w tym, że nieznana jej kobieta wolała pobyć gdzieś sama po pogrzebie, zamiast biec do psychoanalityka i penetrować swoje emocje. Z drugiej strony miała pełną świadomość, że nie wszyscy reagują na stres i tragedie tak samo jak ona.

– Nie, wynajęła tam samochód. Widzisz, jest jeszcze coś. Samochód nie został zwrócony. W hotelu poinformowano mnie, że planowała zostać do wczoraj, ale dotąd się nie wymeldowała ani nie powiadomiła, że chce przedłużyć pobyt. Wczoraj nie zgłosiła się na samolot. To zupełnie nie w jej stylu. Ma różne problemy, dlatego spotyka się ze mną, ale jest odpowiedzialna i dobrze zorganizowana.

– Sama stwierdziłaś, że pogrzeby czasami wykańczają emocjonalnie. Może potrzebowała paru samotnych dni przed powrotem do codziennej rutyny. A skąd wiesz, że nie zgłosiła się na samolot? – Linie lotnicze nie podają list pasażerów. Gwen latami wygłaszała jej kazania na temat przestrzegania prawa. Teraz Maggie czekała, aż przyjaciółka wyzna, że tym razem sama je naruszyła. Posiadała przecież sporo informacji, które niełatwo zdobyć.

– Maggie, nie powiedziałam jeszcze wszystkiego. – W głosie Gwen znów pojawił się niepokój. – Ona kogoś poznała... mężczyznę. Taką wiadomość zostawiła mi na sekretarce. Dzwoniła specjalnie po to, bym wyperswadowała jej to spotkanie. Ona ma skłonność... skłonność... – Urwała. – Posłuchaj, nie mogę dzielić się z tobą wszystkimi szczegółami z jej prywatnego życia. Powiedzmy, że w przeszłości fatalnie wybierała mężczyzn.

Maggie zerknęła przez stół. Tully wlepiał w nią oczy i nadstawiał uszu. Przyłapany, szybko odwrócił wzrok. Zauważyła ostatnio – choć to ukrywał – że interesowało go wszystko, co dotyczyło Gwen Patterson. A może ponosi ją wyobraźnia?

– Co mówiłaś, Gwen? Myślisz, że ten facet coś jej zrobił?

W słuchawce znów zapadła cisza. Maggie czekała. Czy do Gwen dotarło wreszcie, że przesadza? Czemu tak bardzo obchodzi ją ta kobieta? Maggie nie przypominała sobie, żeby doktor Patterson kiedykolwiek tak pieściła się z pacjentami. Co innego z przyjaciółmi, bo tym z wielkim zapałem matkowała. Ale nie pacjentom.

– Czy możesz to jakoś sprawdzić? Zadzwonić do kogoś?

Maggie ponownie spojrzała na Tully’ego. Skończył jeść i teraz udawał, że wygląda przez okno, za którym kolejna grupa rekrutów w przepoconych podkoszulkach i szortach biegała między drzewami.

Nabrała jedzenie na widelec. Czemu Gwen tak nagle postanowiła zostać opiekunką akurat tej pacjentki? Przecież ta historia wygląda tak prosto i zwyczajnie.

Kobieta w żałobie po bliskiej krewnej ucieka od świata, może nawet znajduje pocieszenie w czyichś ramionach. Naturalne reakcje, naturalne potrzeby. Czy Gwen tego nie widzi?

– Maggie?

– Zrobię, co się da. Gdzie się zatrzymała?

– Pogrzeb był w Wallingford, w Connecticut. Ale wynajęła pokój w Ramada Plaza Hotel, w pobliskiej miejscowości Meriden. Mam numery telefonów i adresy, mogę ci potem przefaksować. Wiem, że ten facet ma na imię Sonny.

Maggie nagle wstrzymała oddech. Gdzieś w środku poczuła lodowaty ucisk. Podczas całej rozmowy powtarzała w duchu: „Byle to nie było w Connecticut”.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Szeryf Henry Watermeier zsunął kapelusz na tył głowy i otarł pot z czoła.

– Kurwa! – mruknął. Miał chęć iść przed siebie, rozchodzić swoją złość. Musiał sobie dopiero przypomnieć, że nie wolno mu ruszać się z miejsca. A zatem stał z rękami na klamrze od pasa, czekał, patrzył i usiłował myśleć, a zarazem ignorować odór śmierci i bzyczenie much. Jezu! Pieprzone muchy, miniaturowe sępy, niecierpliwe i upierdliwe mimo plandeki z brezentu.

Henry widział już ciała upchnięte w różnych dziwacznych miejscach. Przez trzydzieści lat pracy w nowojorskiej policji zobaczył więcej, niż powinien. Ale nie tutaj. Podobna zbrodnia nie miała prawa wydarzyć się w Connecticut. Od tego właśnie chciał uciec, kiedy żona namówiła go, by się przenieśli na to odludzie. Taa, jasne, w okręgu Fairfield i na wybrzeżu nigdy nie brakowało podobnych atrakcji. Bez przerwy miały miejsce różne głośne sprawy, przestępstwa dotyczące ludzi na świeczniku. Choćby ta durna dziennikarka, która przejechała swoją terenówką szesnaście osób, czy morderstwo Marthy Moxley, które badano przez całe dziesięciolecia. Albo na przykład sprawa Aleksa Crossa, gwałciciela pochodzącego z Connecticut. Taa, na wybrzeżu i bliżej Nowego Jorku popełniano masę

przestępstw, ale w samym centrum Connecticut żyło się spokojniej. I taka ohyda nie miała prawa się tu przytrafić.

Henry kazał swoim zastępcom oznaczyć teren żółtą taśmą. Będą jej potrzebowali diabelnie dużo. Przyglądał się, jak dwóch mężczyzn przeciąga taśmę między drzewami. Arliss z pieprzonym marlboro zwisającym z kącika warg i ten dzieciak, Truman, który darł gębę jak potępieniec na każdego, kto śmiał podejść na odległość trzech metrów.

– Arliss, uważaj, żeby twój pet nie wylądował na ziemi.

Wystraszony zastępca szeryfa podniósł głowę, jakby nie miał pojęcia, o co chodzi szefowi.

– Mówię o twoim pieprzonym papierosie. Wyjmij go z ust. Natychmiast.

W końcu Arliss doznał olśnienia, zgasił papierosa na pniu drzewa i już chciał nim cisnąć, ale w ostatniej chwili jego ręka zawisła w powietrzu. Henry widział, jak purpura zalewa kark zastępcy, który ostatecznie wsadził papierosa za ucho pod kapelusz. Henry’ego rozzłościło to równie mocno, jak pet rzucony na ziemię. Odkąd został szeryfem w okręgu New Haven, była to pierwsza większa sprawa i być może ostatnia poważna zbrodnia w jego zawodowej karierze. A te cholerne gnojki robią wszystko, żeby wyszedł na pieprzonego idiotę.

Zerknął przez ramię. Udawał, że ocenia sytuację, lecz tak naprawdę chciał tylko się przekonać, czy Kanał 8 w dalszym ciągu kieruje na niego kamerę. Powinien był zgadnąć, że cholerny obiektyw jest wciąż wycelowany

w jego plecy. Miał wrażenie, jakby promień lasera przecinał go na pół.

Po kiego diabła Calvin Vargus zadzwonił po te parszywe media? Oczywiście, wiadomo po co. Henry znał opinię krążącą w mieście na temat Vargusa. Skurczysyn z werwą zarabiał teraz na swoją reputację, kłapiąc językiem do mikrofonu tej ładnej drobnej reporterki z Hartford, chociaż Henry kazał mu trzymać gębę na kłódkę. Ale żeby powstrzymać Vargusa od gadania, musiałby go przymknąć. Swoją drogą, wcale tego nie wykluczał.

Teraz jednak potrzebował chwili skupienia. Vargus był jego najmniejszym zmartwieniem. Uniósł plandekę i zmusił się, żeby raz jeszcze spojrzeć na zwłoki, a przynajmniej na tę część, która wystawała z beczki. Ręka ubrana była na jego oko w jedwabną bluzkę z ozdobnym mankietem. O paznokcie niedawno zadbała manikiurzystka. Włosy mogły być farbowane, przy przedziałku kolor wyraźnie ciemniał. Trudno powiedzieć, bo wszystko było upaćkane krwią. Potworną ilością krwi. Jedno śmiertelne uderzenie. Nie musiał być specjalistą od medycyny sądowej, żeby tyle wiedzieć.

Położył z powrotem plandekę, ciekaw, czy kobieta pochodzi z tej okolicy. Może to kochanka jakiegoś drania? Przed wyjazdem z biura przejrzał listę zaginionych osób, podkreślił te, które zaginęły w okręgu New Haven, ale żadna z nich nie pasowała do wstępnego opisu ofiary. Na liście znajdował się student college’u, który zniknął ze szkoły ostatniej wiosny, nastoletni narkoman, który

prawdopodobnie zwiał z domu, i starsza kobieta, która pewnego ranka wyszła po mleko i ślad po niej zaginął. Henry nie znalazł pośród tych ludzi długowłosej kobiety po czterdziestce w kosztownej jedwabnej bluzce i z wymanikiurowanymi paznokciami.

Zaczerpnął głęboko powietrza, żeby dotlenić umysł. Spojrzał na bezchmurne błękitne niebo, po którym przelatywał kolejny klucz dzikich gęsi. Takim to dobrze. A może on jest już zbyt stary i zmęczony. Może już pora na tę cudowną emeryturę, niekończące się wędkowanie nad Connecticut River z zimnym budweiserem i kanapkami z wędzonym indykiem, salami i serem provolone. Taa, kanapka, ale nie byle jaka. Taka z baru Vinny, zapakowana porządnie w czysty biały pergamin. Zjadłby sobie teraz taką kanapkę.

Rzucił okiem na beczkę. Muchy zakradały się pod plandekę, gdzie ich bzyczenie, zamiast przycichnąć, rosło w siłę. Przeklęte sępy. Zagnieżdżą się w wilgotnych miejscach, zanim przyjdzie koroner. Nie ma nic gorszego od much i ich pieprzonych młodych. Widział, do jakich zniszczeń są zdolne w ciągu paru godzin. Obrzydliwość. A jemu chodzą po głowie kanapki od Vinny. Do diabła, wiele mu trzeba, żeby stracił apetyt.

Jego żona, Rosie, powiedziałaby, że to wszystko przez to jego „zblazowanie”. Jezu! Ona naprawdę tak mówi, używa takich słów jak „zblazowany”. Henry twierdził, że jest po prostu wypalony. Krótka służba w roli szeryfa okręgu New

Haven miała być łagodnym przejściem od stresów Nowego Jorku do cichej emeryckiej przystani.

Ale coś takiego… Nie, na to się nie pisał. Nie życzy sobie, żeby taka masakra nie do rozwikłania schrzaniła mu reputację. Jak ma, do cholery, spędzić tu z Rosie spokojne długie lata, jeśli będzie zmuszony wysłuchiwać za plecami rozmaitych przytyków i rechotów?

Raz jeszcze przeniósł wzrok na Arlissa. Cholernemu idiocie przykleił się kawałek żółtej taśmy do podeszwy i ciągnął się za nim jak papier toaletowy. A pieprzony Arliss nawet tego nie zauważył.

Nie, zdecydowanie nie tak wyobrażał sobie koniec swojej zawodowej kariery.

ROZDZIAŁ PIĄTY

R.J. Tully patrzył, jak O’Dell przegląda teczki ułożone w sterty na biurku.

– No i nacieszyłam się urlopem. – Nawet nie próbowała ukrywać, że jej dobry nastrój bezpowrotnie się ulotnił.

Tully uznał, że to telefon od doktor Patterson zepsuł jej humor, ale O’Dell nie zwracała uwagi na faks, który wypluwał stronę za stroną ze szczegółami dotyczącymi zaginionej pacjentki Gwen. Zamiast je przejrzeć, Maggie szukała czegoś, co zawieruszyło się w stosach papierów. Może były to dokumenty, które zamierzała wziąć ze sobą do domu i przestudiować podczas wolnych dni przeznaczonych na kopanie w ogrodzie?

Tully zapadł się w wyścielanym fotelu. O’Dell zdołała jakimś cudem wcisnąć go do swojego małego, ale dobrze zorganizowanego pokoju, który nieodmiennie wprawiał go w zdumienie. Ich pokoje w Wydziale Dochodzeniowym były jak pudełka po krakersach, lecz u O’Dell w niewytłumaczalny sposób zmieściły się porządnie ustawione półki z równo uszeregowanymi książkami. Mając teraz okazję popatrzeć uważniej, stwierdził, że książki są na dodatek poukładane tematycznie i alfabetycznie.

Jego pokój dla odmiany przypominał zapchany do niemożliwości magazyn ze zwałami dokumentów, książek i czasopism, i to niekoniecznie w osobnych stertach.

Zalegały na półkach, biurku, krześle dla gości, a nawet na podłodze. Czasami dopisywało mu szczęście i wąską ścieżką trafiał do biurka. Jednak to, co było pod nim, to całkiem inna sprawa. Tam trzymał worek marynarski z butami do biegania, szortami i skarpetkami. Niektóre z nich, zwłaszcza te brudne, zostawały w worku na zawsze. Kiedy o tym teraz pomyślał, doszedł do wniosku, że może to właśnie one odpowiadają za tajemniczy zapach, który ostatnio zawładnął pokojem. Szkoda, że nie ma w nim okna. Ale cóż, zamienił narożny gabinet na drugim piętrze w Clevelandzie na pudełko dwa piętra pod ziemią. Brakowało mu świeżego powietrza, co szczególnie mocno odczuwał o tej porze roku. Najbardziej lubił właśnie jesień. Przynajmniej niegdyś, przed rozwodem.

Zabawne, że tak dzielił teraz swoje życie: na czas przed i po rozwodzie. Przed był o wiele lepiej zorganizowanym człowiekiem. W każdym razie nie był takim beznadziejnym bałaganiarzem. Od chwili przeniesienia do Quantico nie potrafił wrócić do dawnej rutyny. Nie, to nieprawda. To ma niewiele wspólnego z przeprowadzką. Od rozwodu z Caroline nic mu nie wychodziło. Tak, to rozwód doprowadził do tego spadania na łeb, na szyję, spadania w szybkim tempie w kompletne niechlujstwo. Dla O’Dell sfinalizowanie rozwodu było czymś, co można by nazwać wyzwoleniem. Zastanowiło go to, wręcz zaintrygowało. Może jej nawet trochę tego zazdrościł.

Tully czekał, a O’Dell nadal czegoś szukała i w dalszym ciągu lekceważyła popiskiwanie faksu. Chciał coś

powiedzieć, żeby przywrócić jej dobry humor, coś w rodzaju: „Maggie, jeszcze wiele przed tobą. Jak dotąd nie wprowadziłaś systemu klasyfikacji dokumentów za pomocą kolorów”. Zanim to powiedział, zauważył, że wszystkie teczki, które wyciągnęła, mają czerwone naklejki. Powściągnął uśmiech. Skoro jego partnerka jest tak przewidywalna, dlaczego zazwyczaj nie potrafi odgadnąć jej zamiarów? Na przykład jak długo będzie go dręczyć tym ostatnim pączkiem? Przyniosła go z kantyny i teraz leżał nietknięty na rogu biurka. Leżał i kusił.

W końcu O’Dell wsunęła dokumenty do aktówki i obróciła się, żeby podnieść z ziemi przefaksowane strony.

– Nazywa się Joan Begley. – Szybko przeglądała kartki i układała je w kolejności. – Od ponad dziesięciu lat jest pacjentką Gwen.

Gwen. Tully wciąż nie pozwalał sobie nazywać jej po imieniu. Doktor Patterson, oto kim dla niego nadal pozostawała. Psychologiem, najlepszą przyjaciółką jego zawodowej partnerki, a czasami także konsultantką FBI i ich szefa, zastępcy dyrektora Cunninghama. Zazwyczaj nieco irytowała Tully’ego pełną arogancji psychopaplaniną. Jednak jasnorude włosy i ładne nogi Gwen – czy raczej doktor Patterson – wzbudzały w nim całkiem inne emocje.

Pracując razem w listopadzie poprzedniego roku, Tully i doktor Patterson trochę się zagalopowali. Całowali się, nie, w zasadzie to było coś więcej. To był… nieważne. Postanowili potem uznać to za pomyłkę i wymazać z pamięci.

O’Dell patrzyła na niego pytająco. Dopiero po chwili dotarło do Tully’ego, że nie usłyszał pytania. Wszystko przez Patterson.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Pojechała do Connecticut na pogrzeb babci i od minionej soboty słuch po niej zaginął.

– Dziwne, że doktor Patterson tak to przeżywa. Czy ta… Joan Begley w jakiś szczególny sposób jest jej bliska?

– Agencie Tully, zachowałabym się wyjątkowo nieprofesjonalnie, zadając doktor Patterson podobne pytanie. – Z uśmiechem podniosła na niego wzrok, a on wzniósł oczy do nieba. O’Dell jest świetnie zorganizowana, ale jeśli chodzi o procedurę czy nawet zwykłą grzeczność, często nie zauważa, bo tak jej wygodnie, komu następuje na odcisk. – Ale mówiąc między nami, też mi się wydaje, że to trochę nienormalne.

– Więc co zamierzasz?

– Obiecałam jej, że to sprawdzę, i pewnie tak zrobię. – O’Dell mówiła z lekką nonszalancją. – Znasz jakiegoś oficera z Connecticut, do którego mogłabym zadzwonić? – Skupiła uwagę na kolejnej teczce z czerwoną naklejką. Wzięła ją do ręki, otworzyła i zajrzała do środka, a potem włożyła do aktówki.

– Gdzie dokładniej w Connecticut?

– Zobaczmy. Mówiła mi. – O’Dell kartkowała przefaksowane strony, a Tully nie rozumiał, jak mogła zapomnieć tak podstawowe szczegóły podane przez telefon. A może myślami jest już w swoim ogrodzie? Wątpił w to

mimo wszystko. Założyłby się, że Maggie ma w głowie wyłącznie dokumenty z czerwonymi naklejkami, bezpiecznie zapakowane do aktówki. – O, jest – powiedziała w końcu. – Mieszkała w hotelu w Meriden, a pogrzeb był w Wallingford.

– Wallingford?

O’Dell sprawdziła ponownie.

– Tak, znasz tam kogoś?

– Nie, ale byłem tam kiedyś. To piękna okolica. Wiesz, kto podpowie ci, z kim się skontaktować? Nasza koleżanka, detektyw Julia Racine, stamtąd pochodzi.

– Nasza koleżanka? Skoro wiesz, skąd pochodzi, to chyba twoja koleżanka.

– Daj spokój, O’Dell, sądziłem, że zawarłyście… no, powiedzmy, rozejm.

Racine i O’Dell były tak różne jak dzień i noc. Mniej więcej rok temu, kiedy los zetknął je w pracy, Julia Racine w dramatycznych okolicznościach uratowała życie matki O’Dell. Od tamtej pory, niezależnie od niezgodności charakterów, obie panie detektyw tolerowały się wzajemnie.

– Wiesz, że moja matka raz w miesiącu je lunch z Racine?

– Serio? To miło.

– Ja nie jadam z matką lunchu raz w miesiącu.

– Może powinnaś.

O’Dell zmarszczyła czoło i wróciła do faksu.

– Chyba zadzwonię do tamtejszego biura.

Tully pokręcił głową. Jak na inteligentną kobietę, jego partnerka bywała irytująco uparta.

– A z jakiego powodu ta Begley spotykała się z doktor Patterson?

O’Dell popatrzyła na niego znad kartki papieru.

– Wiesz, że Gwen nie może mi tego ujawnić. Obowiązuje ją tajemnica lekarska.

– Pomogłoby nam, gdybyśmy wiedzieli, czy jest mocno świrnięta.

– Świrnięta? – Kolejna zmarszczka na czole. Tully bardzo ich nie lubił, zwłaszcza kiedy sprawiały, że czuł się jak ostatni idiota. I nie miało znaczenia, czy Maggie akurat miała rację, czy też nie.

– Wiesz, co mam na myśli. Dobrze byłoby wiedzieć, do czego jest zdolna. Na przykład czy ma skłonności samobójcze.

– Gwen zmartwiła się, bo ta kobieta poznała tam faceta. I przez to może być w niebezpieczeństwie.

– Ile czasu tam spędziła?

O’Dell przerzuciła papiery.

– Wyjechała w zeszły poniedziałek, czyli minął tydzień.

– Jak mogła się poważnie zaangażować w ciągu tygodnia? Mówiłaś, że pojechała na pogrzeb. Kto poznaje faceta na pogrzebie? Mnie nie udaje się poderwać babki nawet w pralni samoobsługowej.

Posłała mu uśmiech, prawdziwy wyczyn z jej strony. O’Dell rzadko doceniała jego próby dowcipkowania. A skoro

na nie zareagowała, znaczy, że jej dobry humor powoli wraca.

– Maggie, daj mi znać, jak będziesz potrzebowała pomocy, dobra?

Tym razem spojrzała na niego podejrzliwie, a on zastanowił się, i to nie po raz pierwszy, czy doktor Patterson przypadkiem nie zwierzyła się O’Dell z ich bostońskiej schadzki. Jezu, schadzka to nie jest najlepszy termin. Brzmi jakoś tak prostacko. Prostacko – to również kiepskie słowo. Więc raczej… O’Dell znowu patrzyła na niego z uśmiechem.

– Co?

– Nic.

Wstał i ruszył do wyjścia. Chciał, żeby poważnie potraktowała jego propozycję pomocy, a zatem dodał:

– Mówię serio, O’Dell. Powiedz mi, jak będziesz chciała, żeby ci w czymś pomóc. To znaczy w związku z którąkolwiek sprawą, a nie przy kopaniu w ogrodzie. Mam chore kolano, jeżeli pamiętasz.

– Dzięki. – W dalszym ciągu po jej twarzy błąkał się cień uśmiechu.

O tak, ona wie. Ona coś wie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wallingford, Connecticut

Lillian Hobbs bardzo lubiła poniedziałki. Tylko tego dnia zostawiała Rosie samą w porze największego ruchu, gdy klienci przybywali najliczniej.

Rosie gotowała mleko do café au lait oraz zbierała lepkie dwudziestopięciocentówki za ciastka i „New York Timesa". Uważała, że im większy ruch, tym lepiej. Dla niej to nie problem. W końcu to był jej pomysł, żeby przy małej księgarence urządzić barek kawowy.

– To nam przyniesie zysk – obiecała. – Wpadnie masa przechodniów, którzy inaczej nawet by tu nie zajrzeli.

Jeżeli Lillian obawiała się czegokolwiek, to właśnie owych przechodniów. A więc z początku buntowała się przeciw pomysłowi Rosie. No, może bunt to zbyt mocne słowo. Lillian Hobbs przez całe czterdzieści sześć lat życia tak naprawdę przeciw niczemu się nie zbuntowała. Po prostu uznała wprowadzanie dodatkowej działalności za mało rozsądne. Martwiło ją, że bar kawowy będzie zakłócał spokój. Że przyciągnie plotkarzy, którzy wolą wymyślać własne historie, niż kupować cudze z księgarnianych półek.

A jednak Rosie miała rację. Znowu miała rację. Klienci wpadający na kawę rozkręcili interes. Nie chodzi tylko o to, że co dzień wykupywali „New York Timesa" i „USA Today".

Lepiej sprzedawały się także magazyny, a czasem ktoś przy okazji sięgał po jakieś czytadło w miękkiej oprawie. Wkrótce stali kawiarze – nawet ci uzależnieni od cafeu au lait z bitą śmietaną i espresso – zaczęli grzebać na półkach i wpadać do księgarni po pracy i w weekendy. Czasami przyprowadzali ze sobą rodziny albo przyjaciół. Więc ostatecznie to nie był taki zły pomysł.

Tak, Rosie miała rację.

Lillian nie wahała się przyznać tego głośno. Wiedziała, że wspólniczka ma głowę do interesów. A zatem biznes był mocną stroną Rosie, a książki Lillian. Dzięki temu tworzyły tak znakomicie dobraną parę. Lillian nie przeszkadzało nawet to, że Rosie co i rusz wypomina jej brak zdolności handlowych. Jak miałoby przeszkadzać, skoro mogła codziennie oddawać się swojej pasji? Najlepsze ze wszystkich dni były poniedziałki, zupełnie jakby raz w tygodniu świętowała Gwiazdkę. Siedziała w mrocznym, zapełnionym po brzegi magazynie, uzbrojona w nóż do cięcia kartonu, i dogadzała sobie filiżanką kawy o smaku orzechów laskowych.

Rozcinanie każdego pudełka było dla Lillian niczym otwieranie paczki z cennym darem. Każda nowa dostawa książek, wdychanie zapachu farby drukarskiej, papieru i oprawy przenosiło ją bezboleśnie do kompletnie innego świata. Nieważne, czy dostarczono akurat pozycje dotyczące historii osiemnastego wieku, karton harlequinów czy najnowszy bestseller „New York Timesa”. Uwielbiała

dotykać książki, wciągać w nozdrza ich zapach, patrzeć na nie. Czy istnieje w ogóle większe szczęście?

Jednak tego ranka stosy kartonów nie były w stanie zatrzymać wędrujących myśli Lillian. Roy Morgan, właściciel sąsiedniego sklepu z antykami, przed godziną wpadł do księgarni i wykrzykiwał jak szalony. Z czerwoną twarzą – Lillian zauważyła, że nawet koniuszki jego uszu płonęły – i rozszalałym wzrokiem Roy wyglądał, jakby za chwilę miał paść na atak serca. Albo jakby przeżył poważne załamanie nerwowe. Tyle że Lillian nie znała nikogo, kto byłby bardziej zrównoważony niż Roy.

Jednak gdy tu przybiegł, strasznie szybko wyrzucał z siebie słowa, prawie nie panował nad sobą, jąkał się jak człowiek ogarnięty paniką lub nadmiernie rozgorączkowany. Jak ktoś, kto traci rozum. A jego słowa niezbicie świadczyły, że właśnie to się z nim działo.

– Kobieta w beczce – powtarzał po wielekroć. – Ktoś ją wepchnął do beczki, a oni ją znaleźli. Dwustupięćdziesięciolitrowa beczka. Na wschód od rezerwatu McKenzie. Beczka była pod zwałami piaskowca w starym kamieniołomie McCarty’ego.

Brzmiało to całkiem jak historia z thrillera. Coś, co mogłoby wyjść spod pióra Patricii Cornwell albo Jeffery Deaver.

– Lillian! – zawołała Rosie, stając w drzwiach magazynu. Nie przejęła się zbytnio, że wystraszyła wspólniczkę. – Chodź, zobacz wiadomości.

Wszyscy stłoczyli się wokół trzynastocalowego telewizora, którego Lillian nigdy dotąd nie widziała. Ktoś postawił go między ladą z ciastkami i pojemnikiem z serwetkami. Nawet ulubiony stary słoik Rosie, w którym trzymała różowe paczuszki sweet'n low, został przesunięty na bok.

Lillian wystarczył rzut oka na ekran telewizora i od razu wiedziała, o co chodzi. Najpierw barek kawowy, teraz telewizor. Zrozumiała, że cokolwiek się wydarzyło, przyniesie ze sobą nieodwracalne zmiany. I to wcale nie na lepsze. Czuła to jak zbliżającą się burzę. Czuła tak samo jak wówczas, gdy była dzieckiem i potrafiła przewidzieć wybuchy złości matki.

Na małym ekranie zobaczyła Calvina Vargusa, który prowadził interes z jej bratem. Stał na wprost szczupłej dziennikarki z wiadomości, masywny, sztywny i zwalisty, ale z głupawym chłopięcym uśmiechem, jakby właśnie odkrył zakopany skarb.

Lillian słuchała opowieści o tym, jak jego maszyna wykopała spośród kamieni beczkę. Część niecenzuralnych słów, a Calvin ich nie żałował, została zagłuszona przenikliwym „bip".

– Upuściłem ją na ziemię. Łup! Właśnie tak. No i ta (bip) pokrywa tak jakoś odskoczyła. No i dam się (bip), jeśli w środku nie było (bip) truposza.

Lillian powiodła wzrokiem po zgromadzonych – było kilkunastu stałych klientów – szukając brata. Czy wpadł już dziś na codzienną szklankę mleka i słodką bułkę, żeby jak zwykle ponarzekać na swoje dolegliwości? Czasami bolały

go plecy, innym razem cierpiał na zapalenie kaletki maziowej albo na żołądek. Ciekawe, co powiedziałby na odkrycie swojego wspólnika.

No i w końcu go wypatrzyła. Walter Hobbs siedział przy końcu lady i popijał mleko trzy stołki od szaleństwa przy ekranie. Lillian obeszła tłumek i siadła obok brata. Podniósł na nią wzrok, po czym wrócił spojrzeniem do leżącego przed nim „Newsweeka", bardziej zainteresowany śmiercią członków Al Kaidy na drugim końcu świata niż ciałem znalezionym na własnym podwórku.

Nie patrząc na siostrę i nie czekając na pytanie, Walter Hobbs potrząsnął głową i mruknął:

– Czemu, do cholery, nie trzymał się z daleka od tego pieprzonego kamieniołomu?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Luc Racine poczuł mdłości. A do tego zażenowanie, ponieważ kamera telewizyjna przyprawiła go o większe mdłości niż zwłoki. Wszystko było w porządku, póki nie skierowali na niego obiektywu i ta młoda dziennikarka nie zaczęła zadawać mu pytań. Bardziej fascynowały go jej powiększone oczy za grubymi szkłami. Takie wyłupiaste i niebieskie, przypominały oczy jakiejś egzotycznej ryby w akwarium. Potem zdjęła okulary, włączyli kamerę i skierowali ją na niego, prosto na niego, jak celownik broni o dużym zasięgu.

Dziennikarka rzucała pytania coraz szybciej. Nie pamiętał już jej imienia, chociaż przedstawiła się przed obiektywem kamery. Jennifer... albo Jessica... nie, Jennifer. Prawdopodobnie. Musi słuchać uważniej. Nie potrafił myśleć i odpowiadać w takim tempie, w jakim ona zadawała pytania. A jeśli nie odpowie wystarczająco szybko, czy ona znowu zwróci się do Calvina?

– Mieszkam tam – oznajmił Luc i pomachał ręką. – Nie, nie czułem żadnego niezwykłego zapachu – dodał, mało jej nie opluwając. – Nic takiego.

Patrzyła na niego w milczeniu. A niech to! Opluł ją. Teraz to widział, małą błyszczącą kroplę na jej czole.

– Drzewa zagradzają teren. – Ponownie pomachał, tyle że w inną stronę. Może nie zauważyła, że ją opluł. Po co tak

wysoko podnosi rękę? – To bardzo odludne miejsce.

– Bardzo odludne – wtrącił Calvin.

Luc zerknął na Vargusa i zobaczył przeznaczony tylko dla niego grymas ukryty za plecami reporterki.

Komentarz Calvina zwrócił jednak jej uwagę i teraz to jemu podsunęła mikrofon. Calvin Vargus miał dobrze ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Kiedy siedział w swojej ogromnej maszynie, Luc pomyślał, że wygląda, jakby stanowił jej część: gruby, ciężki, silny, niczym olbrzym ze stali. Taa, żelazny kloc, tyle że z lekko zaznaczoną talią i karkiem.

Reporterka wyglądała przy Calvinie jak karzeł, stała na palcach, żeby sięgnąć mikrofonem bliżej jego mięsistych warg i mimo kwiecistości opisu porannego znaleziska, z zadowoleniem oddała mu głos. Oczywiście, że wolała wersję Calvina, tym bardziej że nie pluł, tylko gadał.

Luc ograniczył się do patrzenia. Cóż innego miał począć? Cóż mu pozostało? Dostał swoje pięć minut i wszystko schrzanił. Nie pierwszy raz, swoją drogą. Pokazywali go już kiedyś w telewizji podczas paniki spowodowanej wąglikiem. Zachorowała kobieta z jego trasy, po tym, jak Luc dostarczył jej list. Na tydzień zamknęli pocztę w Wallingford, sprawdzali wszystkie urządzenia i pouczali doręczycieli o koniecznych zabezpieczeniach. Luc udzielił wywiadu dla telewizji, chociaż niewiele pozwolono mu powiedzieć. Kobieta zmarła. Jak ona się nazywała? Kiedy to było? W zeszłym roku czy jeszcze rok wcześniej? W każdym razie na pewno nie tak dawno, żeby zapomniał jej nazwiska.

A teraz znowu pokażą go w telewizji w związku ze śmiercią kolejnej kobiety. Jej nazwiska także nie zna. Obejrzał się za siebie. Stali w bezpiecznej odległości od żółtej taśmy i zastępcy szeryfa, który jak opętany wrzeszczał na nich za każdym razem, kiedy podchodzili kilka centymetrów bliżej. Wciąż widział przewróconą, wgniecioną z boku beczkę. Podpierał ją spory kawał piaskowca, żeby się nie stoczyła. Beczkę przykrywała niebieska plandeka, mimo to Luc w dalszym ciągu miał przed oczami siną rękę, jakby zmarła próbowała wydostać się na zewnątrz. Tyle zdołał zobaczyć, tyle mu wystarczyło, ta ręka i kosmyk zmierzwionych włosów.

Wtem poczuł lekkie szturchnięcie w łydkę i nie patrząc, schylił się do psa i dał mu dłoń do polizania. Nie było żadnego lizania. Spojrzał na Scrapple'a, który w jednej chwili przyjął postawę obronną i mocniej ścisnął w zębach zdobycz, którą chciał najpierw pokazać panu, a potem zająć się nią po swojemu. Kolejna kość. Luc wrócił spojrzeniem do zamieszania po drugiej stronie drzew.

Nagle coś mu wpadło do głowy. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Obejrzał się na Scrapple'a, który trzymał łapami swój łup i szarpał zębami za koniec, gdzie zostało mięso. Pod Lukiem ugięły się kolana.

– Dobry Boże, Scrapple. Skąd on to wytrzasnął? – rzekł do psa, a stojący wokół niego ludzie odwrócili się i patrzyli w milczeniu. Luc zerknął na młodą dziennikarkę i zapytał: – Myśli pani, że to jest to?

Zamiast odpowiedzi – albo też wyrażając potwierdzenie w inny sposób – dziewczyna zaczęła wymiotować na wielkie buty Calvina Vargusa. Uniosła rękę, żeby zatrzymać kamerę, i między atakami nudności wrzasnęła:

– Wyłącz to. Na Boga, wyłącz kamerę!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Szeryf Henry Watermeier bez pomocy eksperta medycyny sądowej potrafił powiedzieć, co ma przed oczami. Większa kość, którą pokazywał mu Luc Racine, miała wystarczająco dużo tkanki mięśniowej i skórnej, żeby utrzymać przy sobie mniejsze kości. I choć niektórych brakowało, a ciało było czarne i wyniszczone, nie istniały wątpliwości, co wykopał terier. I co teraz trzymał w drżących dłoniach Luc Racine. W wyciągniętych dłoniach, jakby składał ofiarę. Była to ludzka stopa.

– Gdzie on to znalazł, do diabła?

– Nie wiem – odparł Luc, podchodząc bliżej. Nie spuszczał wzroku z Henry'ego, jak gdyby nie chciał patrzeć na zdobycz psa dłużej niż to absolutnie konieczne. – Przyniósł mi to, ale nie wiem skąd.

Henry machnął do jednego z pracowników laboratorium kryminalnego, wysokiego chudego Azjaty z identyfikatorem na niebieskim uniformie, na którym widniało imię Carl. To dobrze, pomyślał, że nie zna tych wszystkich gości po imieniu, nawet jeśli są z Kryminalnego Laboratorium Policyjnego w Meriden. To znaczy, że najgorsi bandyci popełniają zbrodnie poza granicami okręgu New Haven. Po raz drugi tego dnia pomyślał z nadzieją, że ten popapraniec nie zniweczy jego planów związanych z przejściem na emeryturę. Przyjechał taki szmat drogi z idealną opinią

i czystym kontem – podczas jego rządów nie było niewyjaśnionych przestępstw – i jak diabli pragnął utrzymać ten stan rzeczy.

– Chyba nie wypadło z beczki, co? – spytał Carl, otwierając papierową torbę na dowody rzeczowe. Podstawił ją pod wyciągnięte ręce Luca.

Ale Luc, który, jak się zdawało, pragnął jak najszybciej pozbyć się psiej zdobyczy, teraz tylko wlepiał wzrok w Henry'ego. Szeryf skinął głową, gestem każąc mu wrzucić kości do torby. Luc, niczym przebudzony znienacka lunatyk, wzdrygnął się i wypuścił stopę z ręki.

Henry nie spuszczał z niego wzroku. Racine'a poznał zaraz po tym, jak sprowadził się z Rosie do Connecticut. Do diabła, wszyscy znali Luca. Przecież był najlepszym, najbardziej życzliwym listonoszem w okolicy, i znał wszystkich swoich klientów po imieniu. Henry pamiętał, że kiedyś Luc dostarczył dla niego paczkę i nie zastał go w domu. Owinął ją w folię i zostawił na ganku od frontu z kartką, na której napisał, że zanosi się na deszcz. To było całkiem niedawno. Potem Luc Racine przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Krążyły pogłoski, że ma początki Alzheimera.

Jak to możliwe? Luc wyglądał młodziej niż Henry. Co prawda włosy mu posiwiały, ale miał gęstą srebrną czuprynę, a Henry'emu każdego dnia pogłębiały się zakola. Racine miał opalone ręce i mięśnie wyrobione przez lata dźwigania torby z pocztą. Henry dorobił się wałka tłuszczu w pasie, ale był dumny, że nadal wciska się w swój mundur

nowojorskiego policjanta... bo nadal służbowo tak się nosił. Boże, czyżby to było trzydzieści parę lat temu?

Wciąż lustrując go uważnie, Henry uznał, że jak na faceta po sześćdziesiątce, Luc Racine to prawdziwy okaz zdrowia. Gdyby tylko nie to pozbawione wyrazu, obojętne spojrzenie, którym mu teraz odpowiadał. Zagubione i nieobecne.

– Pewnie są jeszcze inne – rzekł Luc. Sięgnął pod czarny beret i podrapał się w głowę. Wsadził palce w nieuczesane włosy, jakby dzięki temu mógł sobie coś przypomnieć.

– Inne? – Henry popatrzył mu w oczy. Czy to objaw choroby? O czym on gada? Zapomniał, gdzie jest? Zapomniał, co się właśnie stało? – Inne co?

– Kości – odparł Luc. – Stary Scrap przynosił mi inne kości. Zawsze mi coś przynosi, kości, stare buty, szmaty. Ale kości... Myślałem, że znalazł resztki ofiary kojotów. No wiesz, tam przy stawie.

– Masz je jeszcze?

– Nie.

– Cholera.

– Ale Scrapple pewnie ma. Na pewno zakopał je gdzieś na naszym podwórku.

– Musimy poszukać. Pozwolisz, Luc?

– Tak, proszę bardzo. Myślisz, że to kości tej kobiety z beczki?

Zanim Henry dał odpowiedź, jeden z jego zastępców, Charlie Newhouse, głośno poprosił wszystkich o uwagę. Charlie i dwóch speców z laboratorium kryminalnego próbowali ostrożnie unieść beczkę z kobietą, która tkwiła

tam do góry nogami, i znieść ją ze skały. Zrobiono już zdjęcia, zebrano dowody, asystent koronera wykonał wstępne badanie. Nadeszła pora na przewiezienie beczki, ale Charlie był czymś wyraźnie poruszony. Ten sam Charlie Newhouse, który zapisał się w pamięci Henry'ego jako jedyny, którego nic nie rusza, póki nie wypije kilku piw, i to tylko wtedy, gdy drużynie Yankees wyjdzie gra potrójna.

– Okej, co jest? – Henry podszedł do grupy zebranych. Podniósł wzrok na Charliego, zasłaniając oczy przed słońcem. – Co jest, do diabła?

– Może to nic nie znaczy, szeryfie – zaczął zastępca, starając się nie stracić równowagi. Patrzył pod nogi, jakby wypatrywał zgubionych drobnych. Potem przykucnął, żeby lepiej widzieć. – Może to nic, ale tu pod spodem jest więcej takich beczek. I coś tu śmierdzi jak cholera.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Adam Bonzado jedną ręką odsunął na bok nagraną na kasetę powieść, drugą zaś manewrował oporną i popękaną winylową kierownicą. Jechał krętą drogą, a przy każdym przechyleniu stary pikap el camino jęczał, jakby potrzebował dodatkowego biegu. Adam wymieszał kasety rzucone na siedzenie obok kierowcy. W stercie były jeszcze trzy odcinki „Czerwonego królika” Toma Clancy’ego. Zerkając w bok, szukał czegoś innego, co bardziej pasowałoby do jego nastroju. Wiedział tylko, że Clancy mu nie pomoże. W każdym razie nie tego dnia.

Szeryf Henry Watermeier mówił zmienionym głosem, chyba był odrobinę spanikowany. Swoją drogą, Adam nie znał go dość dobrze, żeby to ocenić. Dotychczas pracowali razem nad jedną sprawą, poprzedniej zimy. W centrum Meriden pod wyburzanym budynkiem znaleziono czaszkę. Adam zdołał jedynie ustalić, że należała do niskiego mężczyzny rasy białej pomiędzy czterdziestym drugim i siedemdziesiątym siódmym rokiem życia, który zmarł jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu lat wcześniej. Sama czaszka nie dawała wielu możliwości. Ciało pogrzebano zapewne gdzie indziej. Kopali, ale niczego więcej nie znaleźli, a zatem czas śmierci został określony bardzo ogólnikowo, przy czym kierowano się raczej danymi dotyczącymi miejsca niż wieku tego odkrycia. Mimo braku

dowodów Watermeier był niemal przekonany, że to sprawka mafii.

Adam uśmiechnął się. Nie wyobrażał sobie mafii w samym środku Connecticut, choć Watermeier od razu opowiedział mu kilka niewiarygodnych historii. To znaczy dla Adama brzmiały one niewiarygodnie. Dorastał w Brooklynie i uważał, że wie co nieco o mafii. A przy tym wiedział również, że szeryf Watermeier rozpoczynał karierę jako policjant patrolowy w Nowym Jorku, więc pewnie posiadał niejaką wiedzę o mokrej mafijnej robocie.

Adama Bonzado nękało pytanie, czy tym razem mają do czynienia z taką właśnie historią. Zwłoki wepchnięte w pordzewiałe beczki i zakopane pod tonami piaskowca w opuszczonym kamieniołomie... To pasowałoby do mafijnych porachunków. Skoro jednak na terenie znajdują się porozrzucane kości, jak zameldował Henry, ktoś odpowiedzialny za sprzątnięcie ciał fatalnie spaprał robotę. Mafia nie zwykła działać tak niechlujnie.

Adam sięgnął po kasetę, która wpadła między drzwi i siedzenie. Przeczytał tytuł. Doskonale. Otworzył plastikowe pudełko. Zwolnił na kolejnym podwójnym zakręcie w kształcie litery es i uwolnił Dixie Chicks z zamknięcia. Następnie lekko wsunął kasetę do odtwarzacza i włączył go.

Tak, to idealnie odpowiadało jego nastrojowi. Rytm, który pozwalał mu przytupywać i sprawiał, że krew płynęła szybciej. Nic na to nie poradzi, był podniecony wykopanymi kośćmi. Podnosiły mu poziom adrenaliny, bo trudno o lepszą

zagadkę. Owszem, znajdował przyjemność w belfrowaniu, ale traktował uniwersytet wyłącznie jako źródło utrzymania. A to – zwłoki w beczkach i rozrzucone kości – to był jego prawdziwy żywioł.

Niestety, pomimo że pracował już dziesięć lat, jego rodzice w dalszym ciągu nie byli w stanie tego pojąć. Dochrapał się tytułu doktora antropologii kryminalnej, był profesorem i szefem wydziału uniwersytetu w New Haven, a matka nadal przedstawiała go jako najmłodszego syna, kawalera, który potrafi grać na akordeonie, jakby te dwie rzeczy należały do jego największych osiągnięć. Potrząsnął głową. Kiedy to się skończy? Był dorosły i nie powinien zważać na opinię rodziców. A jednak liczył się z nią, a raczej martwił tym, co o nim myślą, i to także był wpływ rodziców. Adam Bonzado zdawał sobie sprawę, że po swoim hiszpańskim ojcu odziedziczył charakter cichego buntownika, natomiast po matce upór i dumę, którą zawdzięczała polskiej krwi.

Pokonawszy wzniesienie w kształcie litery es, stary pikap poleciał w dół. Adam nie przyhamował. Znajdował wielką frajdę w jeździe przypominającej szaloną podróż kolejką górską i z zapałem kręcił sztywną kierownicą w zmysłowym rytmie Dixie Chicks. Gdy nagle zobaczył skrzyżowanie, nacisnął hamulce. Pikap wpadł w poślizg i zatrzymał się centymetry przed znakiem stopu i ułamek sekundy przed toczącą się ciężarówką.

– Kurde! Mało brakowało!

Zacisnął dłonie na kierownicy, aż palce mu poczerwieniały. Kierowca ciężarówki pomachał mu tylko ręką, o dziwo bez żadnych dwuznacznych gestów ani warg układających się w „Pieprz się”. Może nie zdawał sobie sprawy, jak niewiele brakowało do nieszczęścia. Adam przyciszył Dixie Chicks. Przy okazji zauważył metalowy łom, który wyjechał spod siedzenia obok.

Zerknął w lusterko wsteczne, czy nie wstrzymuje ruchu, potem pochylił plecy, podniósł łom, otworzył tylne okno i rzucił narzędzie na zamkniętą platformę. Łom brzdęknął, Adam wzdrygnął się. Miał nadzieję, że nie uszkodził świeżo zamocowanej okładziny. Wykonał ją z twardego, gofrowanego poliuretanu, który miał być łatwy do mycia i chronić przed rdzą i korozją, niezależnie od tego, ile błota, kości i krwi upchnie się do środka. Adam zrobił to, żeby jego pikap nie zamienił się w cuchnącą kostnicę na kółkach.

Sprawdził, czy na podłodze nie ma więcej narzędzi. Musi przypomnieć studentom, żeby odkładali je na miejsce, kiedy pożyczają jego wóz. A może nie ma prawa narzekać. W końcu łom był czysty. To już coś.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W jednej ręce Maggie niosła aktówkę, pod pachą stertę poczty, a w drugiej ręce butelkę dietetycznej pepsi oraz kość do gryzienia z niewyprawionej skóry. Szła za Harveyem na patio. Gdy tylko wróciła do domu, labrador przekonał ją, że powinni spędzić pierwsze popołudnie wakacji na powietrzu.

Planowała, że wpadnie do Quantico tylko na moment, żeby dokończyć jakąś papierkową robotę. Absolutnie nie zamierzała przynosić pracy do domu. Teraz, wykładając dokumenty z teczki na żelazny stolik, żałowała, że nie zostawiła ich na biurku pod stosami innych papierów, gdzie leżały przez kilka miesięcy.

Harvey z nosem przy ziemi odbywał rutynową inspekcję wzdłuż ogrodzenia. Potężny piętrowy dom w stylu Tudorów otaczał niemal hektar ziemi. Chronił go najnowocześniejszy i najdroższy system alarmowy, a także naturalna bariera sosen, które zasłaniały dachy sąsiadów. Mimo to biały labrador za każdym razem, gdy wychodził z domu, zamieniał się w ochroniarza i nie potrafił spokojnie poświęcić się zabawie, dopóki nie skontrolował każdego centymetra przestrzeni.

Zachowywał się w taki sposób od samego początku, od kiedy Maggie go zaadoptowała. No dobrze, to nie całkiem prawdziwe stwierdzenie. Należy powiedzieć, że go

uratowała, kiedy jego właścicielka została porwana i zamordowana przez seryjnego mordercę Alberta Stucky'ego. Zginęła z tego tylko powodu, że była sąsiadką Maggie. No więc Maggie wzięła Harveya pod opiekę. Jak mogłaby postąpić inaczej? O ironio, pies także okazał się dla niej ratunkiem, bo każdego wieczoru dawał jej powód, żeby wracać do domu, uczył ją bezwarunkowej miłości, przebaczenia i lojalności. Nie nauczyła jej tego matka alkoholiczka i niedoszła samobójczyni. Również w małżeństwie z Gregiem brakowało tych istotnych wartości.

Teraz miała Harveya, który wrócił właśnie z patrolu i poszturchiwał ją nosem, domagając się nagrody. Podrapała go za uszami, a on przekrzywił wielki łeb. Kiedy dała mu kość do zabawy, podskoczył i padł na trawę, chwycił kość potężnymi pazurami i zaczął ją żuć. Nastawił jedno ucho i popatrzył na Maggie. Pokręciła głową z uśmiechem. Czegóż więcej może pragnąć dziewczyna? Lojalność, czułość, podziw i nieustająca opieka. A Tully wyraził zdziwienie, że cieszy ją zakończenie sprawy rozwodowej. W ciągu dziesięciu lat małżeństwa z Gregiem ani razu nie doznała z jego strony niczego podobnego.

Z wahaniem wzięła do ręki teczkę z dokumentami i spojrzała na puszkę dietetycznej pepsi. Nie zaglądała nigdy do tych papierów, nie wypiwszy wprzódy szklaneczki szkockiej. Trzymała w barku jedną, jeszcze nieotwartą butelkę, która stała tam na dowód, że Maggie obywa się bez alkoholu. Na dowód, że nie jest podobna do matki. To

miał być dowód, a nie pokusa. Przyłapała się na oblizywaniu warg i nęcącej myśli, że jeden mały łyk nie ma znaczenia. Wypije go z wodą i lodem, trudno to nawet nazwać piciem alkoholu. Za to taki drink przyniesie jej odprężenie.

W tym samym momencie dotarło do niej, że zagięła róg pierwszej teczki. Mało powiedziane – zagięła, ona go zwinęła w harmonijkę. To śmieszne. Wzięła puszkę z pepsi, napiła się i zaczęła przeglądać dokumenty.

Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio je czytała. Traktowała tę sprawę – traktowała jego – jak jakiś projekt. Nie, raczej jak jedną z wielu prowadzonych przez nią spraw. Na znak tego zostawiła tę teczkę pośród innych na biurku, obok dokumentów rozmaitych zabójców, gwałcicieli i terrorystów. Być może tylko w ten sposób była w stanie poradzić sobie z jego istnieniem. Może robiła tak dlatego, że nie chciała w nie uwierzyć.

Zbiór dokumentów nie zawierał ani jednej fotografii. Pewnie dotarłaby do zdjęć, gdyby ich poszukała. Wystarczyło poprosić o pamiątkowy album z podobiznami absolwentów szkoły albo kopię prawa jazdy. Z całą pewnością dostałaby fotografię w Wydziale Komunikacji w Wisconsin, zwłaszcza gdyby podała swój numer FBI. Nic z tych rzeczy nie zrobiła. Być może z tego powodu, że gdyby zobaczyła go na zdjęciu, stałby się zbyt rzeczywisty.

Maggie znalazła kopertę, którą matka wręczyła jej w grudniu minionego roku. Wszystko wzięło początek właśnie od tej koperty, cała ta spirala… cokolwiek to było.

Rok temu, kiedy po raz pierwszy usłyszała, że ma brata, natychmiast pomyślała, że matka ją okłamuje. Że to kolejna pijacka sztuczka, byle tylko ukarać Maggie za to, że wciąż kocha ojca i wciąż za nim tęskni. Dlaczego miałaby nie uznać, że matka skłonna jest do takiego okrucieństwa? Nawet jej nieudane próby samobójcze Maggie odbierała jako rodzaj kary. Kiedy więc matka w napadzie złości wykrzyczała jej w twarz, że ojciec miał romans, który ciągnął się do dnia jego śmierci, nie chciała dać temu wiary. Nie wierzyła, póki nie otrzymała tej koperty.

Otworzyła ją, jak wiele razy przedtem, i ostrożnie wyjęła pojedynczą kartę katalogową. Trzymała ją za rogi jak bardzo kruchy przedmiot. Patrzyła na pismo matki, zakrętasy i kółka nad „i”. Chłopiec dostał imię po wuju Maggie, jedynym bracie ojca, Patricku, którego nigdy nie poznała. Po legendarnym Patricku, który nie wrócił z Wietnamu. Można by odnieść wrażenie, że heroizm jest cechą dziedziczną w rodzinie O’Dellów. Ten sam heroizm zabrał Maggie ojca, gdy miała ledwie dwanaście lat. A teraz ona ów heroizm nieustannie przeklina.

Wsunęła kartę z powrotem do koperty. Nie musiała czytać, bo znała ten adres na pamięć. Matka podała go jej niemal rok temu, ale Maggie niedawno sprawdziła, że nadal jest aktualny. Patrick w dalszym ciągu mieszkał w West Haven, w stanie Connecticut, czterdzieści kilometrów od miejsca, gdzie zaginęła pacjentka Gwen.

Rozdzwonił się telefon komórkowy. Harvey wypuścił kość i przysiadł naprzeciw Maggie. Takiego nabrał zwyczaju. Dla

niego ten dźwięk oznaczał, że pani wkrótce go opuści.

– Maggie O’Dell – powiedziała, żałując, że nie wyłączyła przeklętego urządzenia. W końcu jest na wakacjach.

– O’Dell, słuchałaś albo oglądałaś wiadomości? – To był Tully.

– Właśnie przyjechałam do domu. Mam wolne.

– To może cię zainteresować. Znaleziono zwłoki kobiety na peryferiach Wallingford w Connecticut.

– Morderstwo?

– Na to wygląda. Na razie mówią, że znaleziono ją w kamieniołomie wepchniętą do beczki, którą zakopano pod kamieniami.

– O Boże. Myślisz, że to pacjentka Gwen?

– Nie wiem, ale taki dziwny zbieg okoliczności… To samo miasto. Trochę nawet za dużo na zbieg okoliczności, nie sądzisz?

Maggie nie wierzyła w zbiegi okoliczności, mimo to uznała, że Tully wyciąga pochopne wnioski. Ona zresztą też. Może po prostu czuła się winna, bo tego ranka nie potraktowała Gwen z należytą powagą. Prawdę powiedziawszy, nie zadzwoniła nawet, żeby sprawdzić tę Joan Begley choćby w raportach osób zaginionych.

– Dlaczego podają to w wiadomościach?

– Bo prawdopodobnie jest tam więcej ciał. Może nawet kilkanaście.

Poznała ten ton. Tully już działał na wysokich obrotach, rozpracowywał ewentualne scenariusze. Kolejne ryzyko zawodowe. Nie, to coś więcej niż ryzyko zawodowe. Trudno

opisać ten stan, ale czuła, że i ją powoli zaczyna brać we władanie. To jest jak swędzenie, jak napęd, jak obsesja. Podobnie jak Tully zaczęła już stawiać pytania i dumać nad odpowiedziami. Jedno pytanie uporczywie wyrywało się przed szereg. A jeśli któraś z ofiar to Joan Begley?

Przez lata ich znajomości Gwen nigdy o nic nie prosiła, aż do tej chwili. A ona, zamiast zrobić wszystko, co w jej mocy, zlekceważyła pełną lęku prośbę przyjaciółki, ponieważ przypomniała sobie o pewnym człowieku i pewnym miejscu, o których chciała zapomnieć.

– Hej,Tully.

– Taa?

Wiedziała, że go nie zaskoczy. Że ją zrozumie. Bo inaczej po co dzwoniłby do niej z wiadomościami?

– Czy moglibyście z Emmą przygarnąć na dwa dni Harveya?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Fatalnie. Naprawdę fatalnie. Jak mogło do tego dojść?

Nacisnął pedał hamulca. Uważał na samochód jadący na przodzie. Musi trzymać się z daleka. Musi patrzeć przed siebie i tylko ewentualnie zerkać we wsteczne lusterko. Tuż za nim toczył się potężny samochód terenowy, miał go na ogonie, z dwoma idiotami, którzy wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć. A nie było na co patrzeć. Za daleko. Za dużo drzew. Z drogi niczego nie można było zobaczyć. Wiedział to, a jednak sam na siłę odwracał wzrok.

Nie patrz.

Stało tam chyba kilkanaście wozów policyjnych. I samochody różnych stacji telewizyjnych. Jak mogło do tego dojść? Zdenerwował się, słuchając wiadomości. Anorektyczna dziennikarka mówiła tak radośnie, jakby właśnie oznajmiała, że leci manna z nieba.

Co sobie myślał ten cholerny Calvin Vargus? Musiał akurat teraz brać się do porządków? Kamieniołom stał pusty ponad pięć lat. Właściciel miał go gdzieś. Potrzebował go tylko po to, żeby sobie odpisać stratę od przychodu. Ten gość nawet tu nie mieszka. Jakiś ważny prawnik z Bostonu, pewnie nawet nie widział tego na własne oczy. I czemu ten cholerny Vargus ni stąd, ni zowąd zaczął wszystko przesuwać? A może wiedział? Może coś

podejrzewał? Czy Vargus chce go zniszczyć? Czy wie? Ale skąd?

Wie, wie, wie!

Nie, to wykluczone. To po prostu niewyobrażalne. Więc nie wie.

Oddychać, musi tylko spokojnie oddychać. Nie był w stanie. Czuł, że zalewa go zimny pot, a jeszcze nawet nie minęła północ. I znowu to mrowienie w palcach. Ziąb ześliznął się z karku na krzyż. Musi go powstrzymać. Zatrzymać panikę, nim ściśnie mu żołądek.

Włożył rękę do worka marynarskiego, który leżał na siedzeniu obok, i grzebał w nim, nie spuszczając oczu z drogi. Samochód przed nim ciągnął się ślamazarnie. I te odwrócone głowy. Durni gapie. Co mogą zobaczyć? Powinni już pojąć, że nie sięgną wzrokiem za drzewa. Dupki! Głupie dupki!

Ruszaj się, dalej, dalej!

Chwyciły go mdłości. To początek paniki, skurcz w żołądku, który wkrótce zaatakuje całą jamę brzuszną, jakby ktoś przekłuł go ostrym nożem od wewnątrz i ciął powoli. Mięśnie zesztywniały w odruchu oczekiwania na przeraźliwy ból. Pot spływał po plecach, a palce szukały coraz bardziej nerwowo.

W końcu znalazły plastikową butelkę i wygrzebały ją z dna zapchanego worka. Ze złością stwierdził, że trzęsą mu się ręce. Zdołał jednak odkręcić zakrętkę, nie wypuszczając kierownicy. Jak człowiek, który umiera z pragnienia, wlał w siebie biały kredowy płyn, przekraczając zalecaną dawkę.

Kiedy nadchodzi ból, należy go jak najszybciej zdusić. Wypił jeszcze jeden łyk i wykrzywił wargi. Obrzydliwy smak wywoływał skurcz żołądka, i pewnie by zwymiotował, gdyby o tym myślał.

Nie myśl. Przestań myśleć.

Kojarzył ten smak z dzieciństwem, z ciemną zagraconą sypialnią, zimną dłonią matki na czole i jej łagodnym głosem, który uspokajał: „To ci pomoże synku, obiecuję”.

Zamknął butelkę i otarł wargi rękawem koszuli. Czekał i patrzył na drogę. Wpatrywał się w płonące czerwienią tylne reflektory samochodu stojącego przed nim. Demonicznie mrugające czerwone oczy. A ci idioci nie przerywali obserwacji. Nie wolno mu zwracać na siebie uwagi. Musi spokojnie czekać. Stać w korku i czekać.

Może to wcale nie Vargus. W głowie mu znowu zawirowało od myśli. A ten drugi gość, Racine. Luc Racine. Luc przez c, tak go podpisali w telewizji na dole ekranu. Nazwisko brzmiało dziwnie znajomo. Czyżby go już kiedyś spotkał? Tak, zapewne. Tylko gdzie?

Gdzie, gdzie, gdzie?

Gdzie widział tego człowieka? A może stary go śledził? Czy to on posłał tam Vargusa? Co ci dwaj zamierzają? Chcieli coś wykopać w kamieniołomie? A może kogoś?

Ale jakim cudem, skąd by się dowiedzieli? Vargus jest głupi, to prymityw. Ale Racine? Może on coś wie. Tak, Luc Racine coś wie.

Musi uważać. Bez przerwy musi uważać. Był ostrożny, a jakże. Nawet kiedy skorzystał ze stojącego tam sprzętu,

zostawił wszystko dokładnie tak, jak było. Nikt by się niczego nie domyślił. Tak, był bardzo ostrożny.

Zresztą w tej chwili to już bez znaczenia. Już nigdy nie będzie mógł wykorzystać kamieniołomu.

Nigdy, nigdy, nigdy.

Na całym terenie aż roiło się od glin i dziennikarzy, a on utknął w korku jak ci gapie. Gorsi niż idioci, którzy każdej jesieni tamują ruch, bo podziwiają drzewa. Jeszcze parę tygodni i znowu się tu zjawią. Długie kręte kolejki gapiów, którzy wytrzeszczają ślepia, jakby nigdy nie widzieli, że jesienią liście zmieniają kolor. Udawał, że jest jednym z nich. Musiał się przyjrzeć, zorientować, wybadać, co się dzieje.

Wreszcie zdołał skręcić i uciec na boczną drogę. Nikt za nim nie jechał. Czuł już tylko niewielkie napięcie w plecach, za to miał sporo zmartwień. Musi ochłonąć i rozwiązać kilka spraw. Byle nie wróciła panika, bo ból go paraliżował. Nie teraz, teraz musi mieć czysty umysł. Byle nie dopuścić do paniki i bólu. Tego samego bólu, który dręczył go w dzieciństwie, a który przychodził ni stąd, ni zowąd. Gwałtowne dźgnięcia, jakby połknął paczkę igieł albo nawet nóż do filetowania mięsa.

Musi wyrzucić to z głowy i wrócić do pracy. Bo jak pracować z głową pełną takich myśli? Jak funkcjonować? Co teraz pocznie? Co zrobi, kiedy stracił takie bezpieczne wysypisko na swoje odpady?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Adam Bonzado przeglądał różne przedmioty zebrane na miejscu zbrodni i rozłożone na folii przez technika kryminalnego o imieniu Carl. Niektóre z nich już spakował i oznakował, zaznaczając dokładnie miejsce, w którym zostały znalezione, oraz roboczo je identyfikując. Na podstawie wstępnego oglądu Adam stwierdził, że okazy pochodzą ze zwłok przynajmniej dwóch różnych osób.

– To przyniósł pies – oznajmił Carl, wskazując coś, co przypominało lewą stopę.

Adam ostrożnie wziął dowód do ręki ubranej w dwie rękawiczki i obejrzał stopę ze wszystkich stron. Zniknęła większość paliczków. Resztki tkanki mięśniowej trzymały razem kości śródstopia i część kości stępu. Zdawało się, że została nawet kość pięty.

– Znaleźliście pozostałe części ciała?

– Nie. Wątpię, żebyśmy znaleźli. Kilka beczek kompletnie przerdzewiało, więc pewnie kojoty się pożywiły. Fragmenty zwłok mogą być porozrzucane po całym okręgu.

– Co jest potrzebne do identyfikacji? – zapytał szeryf Henry Watermeier, patrząc na zbiór dowodów.

– Zależy od wielu czynników. Tu zostało trochę tkanki mięśniowej – odparł Adam, oddając stopę Carlowi, który włożył ją do brązowej papierowej torebki. – To nam pewnie

wystarczy do zbadania DNA. Ale wyniki okażą się bezwartościowe, jeśli nie będzie ich z czym porównać.

– Nie wiem, czy dobrze pamiętam – rzekł Watermeier głosem, który dla Adama zabrzmiał tak, jakby szeryf już był zmęczony sprawą. – Badanie DNA niezidentyfikowanych zwłok ma sens tylko wtedy, gdy posiadamy choćby włos z ubrania tego człowieka, cokolwiek, co można zbadać i porównać.

– Właśnie o to chodzi. Można też wykonać wsteczne DNA, w przypadku gdy szuka się konkretnej osoby. Wykonywaliśmy je, identyfikując ofiary ataku na World Trade Center.

– Co to znaczy wsteczne DNA?

– Powiedzmy, że nie dysponujemy niczym, z czym moglibyśmy porównać DNA pobrane od ofiary. Wtedy możemy wykonać badanie DNA jednego lub obojga rodziców, a w niektórych wypadkach bliźniaczego rodzeństwa, żeby sprawdzić, czy jest wystarczająco dużo podobieństw. To bywa trochę skomplikowane, ale działa.

– Innymi słowy – podjął Watermeier – możemy się nigdy nie dowiedzieć, do kogo należy ta cholerna stopa.

– Jeżeli znajdziemy inne fragmenty ciała i uznamy, że należą do tej samej osoby, będę miał szansę przygotować częściową charakterystykę. To znaczy na przykład stwierdzić, że to kobieta albo mężczyzna, może uda się też określić w przybliżeniu wiek. To już pozwala na pewną selekcję z listy osób zaginionych i tym samym na zawężenie poszukiwań.

– Wie pan, Bonzado, ile osób rocznie uznaje się za zaginione?

Adam wzruszył ramionami.

– Taa, okej, ma pan rację. Może nigdy nie będziemy wiedzieli, czyja jest ta pieprzona stopa.

Carl przyniósł tymczasem kilka kolejnych znalezisk. Niektóre z nich, zdaniem Adama, leżały zagrzebane w ziemi, bo kości zabarwiły się czerwonawą czernią. Pokazał ręką mały biały przedmiot.

– To chyba nie jest kość.

– Nie? – Carl wziął znalezisko do ręki i spojrzał z bliska. – Jest pan pewien? Wygląda na kość. – Podał sporny przedmiot Adamowi.

– To łatwo stwierdzić. – Podniósł go do ust i dotknął końcem języka.

– Jezu Chryste, Bonzado. Co pan wyprawia, do diabła?

– Kość, w przeciwieństwie do kamienia, jest porowata – wyjaśnił Adam. – Jeżeli to kość, powinna przykleić się do języka. – Rzucił przedmiot na ziemię. – To tylko kamyk.

– Jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu – zaczął znów Carl, wciąż krzywiąc twarz z obrzydzenia na widok pokazu Adama – zabiorę teraz dowody, a pan później się nimi zajmie.

– ? propos. – Adam przeniósł wzrok na Watermeiera. – Nie będzie panu przeszkadzało, jak przywiozę paru studentów, żeby pomogli mi to posortować?

– Nie może pan tu urządzać wykładów, Bonzado.

– Nie, ależ skąd. Niech pan nie przesadza, szeryfie. Dwóch albo trzech studentów z ostatniego roku, co to wiedzą, w czym rzecz. Panu też na pewno przyda się pomoc. Mam na myśli konkretną pomoc, na przykład przy kopaniu i pakowaniu znalezisk. Nie będziemy dotykać niczego bez pańskiej zgody. Skoro Carl nazbierał tyle tego z ziemi, niech pan sobie wyobrazi, co może się kryć w tych potłuczonych kamieniach.

– Ma pan rację. – Watermeier sięgnął ręką pod kapelusz i podrapał cienkie kosmyki siwiejących włosów.

Adam dostrzegł, że szeryf, zazwyczaj prosty, jakby kij połknął, lekko opuścił ramiona.

– Ile jest tych beczek? – spytał.

– Nie wiem dokładnie. Dziesięć, może trochę więcej. Najpierw wpuściłem tych z laboratorium kryminalnego, robią zdjęcia i zbierają dowody. Jak zaczniemy kopać, zatrzemy ślady.

– Bardzo słusznie.

– Będzie nam potrzebna jedna z tych maszyn do robót ziemnych. I musimy poczekać na Stolza. Raczej nie dotrze tu do jutra rana, zeznaje przed sądem w Harford. Jego asystent zabrał pierwszą beczkę, zanim odkryliśmy, że jest ich więcej. Teraz mówi, że woli być sam na miejscu. Nie mam mu za złe. Prosiłem patrol stanowy, żeby przysłali kilku ludzi do pilnowania w nocy. Tylko tego mi trzeba, żeby te hieny z mediów się tu wkradły. Nie będę ryzykował. Wygląda, że gubernator nam dokopie.

– Tak źle?

Watermeier podszedł bliżej Adama i rozejrzał się, by mieć pewność, że nikt go nie podsłuchuje.

– Kilka beczek zżarła rdza i można zajrzeć przez dziury.

– I?

– To nie wygląda dobrze, Bonzado – rzekł cicho szeryf. – W życiu czegoś takiego nie widziałem, a napatrzyłem się przez lata na różne makabry. Ale to jest robota niebezpiecznego popaprańca.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Luc Racine oglądał telewizję. Bardzo lubił ten program. Nadawali go codziennie wieczorem o tej samej godzinie. Powtarzali w kilku stacjach, ale Luc oglądał każdy odcinek, jakby widział to po raz pierwszy. Nie pamiętał imion wszystkich postaci, poza tym starym, tym siwym ojcem, który przypominał mu jego samego. Może tylko dlatego, że też miał psa rasy Jack Russell. Pies nazywał się Eddie. Ciekawe, że pamięta imię psa.

Potoczył wzrokiem po pokoju i pomyślał, że warto by włączyć lampę, bo półmrok rozjaśniał już tylko telewizor. Kiedy zaczęło się ściemniać? Miał wrażenie, że dopiero co usiadł do lunchu. Nie znosił ciemności. Czasem martwił się, że któregoś dnia zapomni, jak się włącza lampę. Już mu się zdarzyło coś podobnego z tym pudełkiem w kuchni. To pudełko... do podgrzewania jedzenia. Nie pamiętał nazwy tego piekielnego urządzenia.

Wyciągnął rękę i włączył dwie lampy, po czym zaczął szukać pilota. Bez przerwy gdzieś go kładł, a potem nie mógł znaleźć. Tak, bardzo lubi ten serial. Nie musi zmieniać kanału. Siadł wygodnie i oglądał, odruchowo drapiąc Scrapple’a za uszami. Pies był wykończony pełnym przygód dniem. Jeszcze chyba jest poniedziałek, co?

Dzwonek telefonu zaalarmował Luca. Za każdym razem tak się działo, bo telefon rzadko u niego dzwonił. Mimo to

trzymał go zawsze blisko siebie, pod ręką.

– Halo?

– Cześć, tatuś. Sierżant z wydziału powiedział mi, że widział cię w wieczornych wiadomościach.

– I jak wypadłem?

– Tatuś, co tam się dzieje, do cholery?

– Jules, wiesz, że nie lubię przekleństw.

– Powiedział, że znalazłeś jakieś zwłoki w starym kamieniołomie McCarty'ego. To prawda?

– Calvin Vargus przesuwał zwały kamieni i kobieta wypadła z beczki.

– Żartujesz sobie. Jaka kobieta, do cholery?

– Nie wiem. Wy tam w stolicy macie to na co dzień, co?

– Uważaj, tatuś. Nie lubię, jak tak mówisz. I nie lubię, jak się sam włóczysz nie wiadomo gdzie.

Luc patrzył na ekran telewizora.

– Frasier – powiedział, widząc tytuł serialu na ekranie.

– Co jest, tatuś?

Tym razem odebrał to jako pstryknięcie. Zamrugał powiekami, ale to nic nie pomogło. Rozejrzał się po pokoju i panika chwyciła go za gardło. Za oknem panowała ciemność. Nie znosił ciemności. W pokoju były półki z książkami, stos gazet w rogu, obrazy na ścianach, marynarka na drzwiach. A wszystko to jakieś obce. Gdzie on jest, do ciężkiej cholery?

– Tatuś, wszystko okej? – krzyczał mu ktoś do ucha. – Co się tam dzieje, do diabła?

Miał wrażenie, że krzyk płynie przez tunel. Niosło go echo, które przekręcało słowa, aż przerwało go szczekanie psa.

Czasami odbierał to jak gwałtowne przebudzenie z głębokiego snu. Siedział przed nim Scrapple z podniesionym łbem i szczekał, jakby nadawał informację alfabetem Morse’a.

– Tatuś, jesteś tam?

– Jestem, Jules.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, oczywiście.

Z drugiej strony zapadła cisza. Nie chciał martwić córki. Na domiar złego to go krępowało. Nie chciał, żeby wiedziała, żeby zobaczyła, jak zmienia się jej ojciec.

– Słuchaj, tatuś – mówiła łagodnie. Przypomniało mu się, jak była małą dziewczynką, taką słodką i nieśmiałą. – Przyjadę do ciebie, jak tylko będę mogła się stąd wyrwać. Może za dwa dni, okej?

– Jules, nie musisz. Nic mi nie jest.

– Dam ci znać, tylko sprawdzę, co mnie czeka.

– Nie chcę, żebyś zmieniała przeze mnie swoje plany.

– Cholera jasna! Wzywają mnie pagerem. Tatuś, muszę lecieć. Trzymaj się z daleka od kłopotów. Niedługo pogadamy.

– Ty trzymaj się z daleka od kłopotów. Kocham cię, Jules.

Ale jej już nie było, w słuchawce buczał sygnał. Kiedy zatelefonuje następnym razem, przekona ją, że u niego wszystko w porządku. Bardzo tęsknił za córką, ale za nic

nie chciał, żeby zobaczyła, jaki z niego zapominalski niedojda. Nie zniósłby jej zażenowania ani litości.

Luc objął znowu spojrzeniem pokój i z ulgą stwierdził, że rozpoznaje swoje rzeczy. Przenosząc wzrok na telewizor, odniósł wrażenie, że ktoś przemyka za oknem. Czy to tylko jego wyobraźnia? Czy ktoś tam jednak był i jakiś cień naprawdę mignął?

Nie, to szaleństwo. Przecież nie słyszał, żeby zatrzaskiwały się drzwi samochodu. A nikt nie spacerowałby tutaj po ciemku. Po prostu stresujący dzień daje mu się we znaki. A jednak przechodząc przez pokój, żeby zasunąć żaluzje i upewnić się, że drzwi są zamknięte na klucz, zobaczył, że Scrapple siedzi zapatrzony w okienną szybę z nastawionymi uszami i wciśniętym pod siebie ogonem. Luc uznał wcześniej, że pies szczekał, żeby wyrwać go z chwili otumanienia, ale może jednak Scrapple też kogoś widział?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zbliżała się północ.

Przyczajony w kucki pośród drzew patrzył z wysokości grzbietu wzgórza. Widział stamtąd kamieniołom. Działania na dole ograniczały się do wymachiwania latarkami i rozpalania ogniska przez stróżujących policjantów. Zostały jakieś samochody stacji telewizyjnej. Zainstalowały na swoich dachach jaskrawe światła stroboskopowe. Ciekawe, cóż to spodziewali się zobaczyć?

Na pewien czas jego złość poległa pod ciężarem zmęczenia. Żołądek rozbolał go od wymiotów. Od dziecka tyle nie wymiotował. Nienawidził tych momentów, kiedy tracił kontrolę nad swoim ciałem.

Nienawidził tego, nienawidził, nienawidził.

Nawet w tej chwili, kiedy obserwował, jak bezczeszczą jego kryjówkę, chwytały go skurcze i rozrywały wnętrzności.

I pomyśleć tylko, że wszystko to z winy jednego człowieka, który chce go zniszczyć. Widział z daleka dom starego. Z tej odległości dostrzegał jedynie rozproszone przez żaluzje żółte światło w pokoju od frontu. Z bliska przekonał się, że to salonik. Zanotował w pamięci, że sofa znajduje się na samym środku sporego pokoju, przodem do okna i na wprost telewizora, który stał na taniej szafce na kółkach. Wyobrażał sobie, że ten cholerny staruch siedzi

i ogląda wiadomości, widząc zarazem przez okno, jak ktoś jedzie długim podjazdem.

Gdy tylko zobaczył Luca Racine'a w telewizji, wiedział, że skądś go zna. Spotkał go w mieście, to oczywiste. A jednak cały dzień go to dręczyło. Wreszcie doznał olśnienia. Tak, dosłownie olśnienia.

Ten stary był tam w sobotę w nocy. Był w Hubbard Park, spacerował z tym durnym małym psem. Łazili mimo ciemności i burzy. Jak mogło mu to wylecieć z głowy? Tak, widział go wówczas w takim idiotycznym małym czarnym berecie na siwych włosach. Obserwował nawet, jak Racine daje Joan wskazówki, by mogła dojechać na West Peak. Bardzo uważał, żeby stary go nie zobaczył, zaczekał, aż odszedł na bezpieczną odległość, i dlatego się spóźnił, a nienawidził się spóźniać.

A jednak, pomimo wszelkich środków ostrożności z jego strony, stary wiedział. Coś wiedział. Czyżby go wtedy spostrzegł? Czy ukrył się w cieniu i podglądał? Co zdołał zobaczyć ten stary człowiek? I jakim cudem dowiedział się o kamieniołomie?

Nie, nie, nie.

Jeżeli stary wie, to dlaczego szeryf dotąd go nie zaaresztował? W co ten Racine gra? Czyżby pragnął go tylko zniszczyć? Czy o to chodzi?

Ale dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Znowu wszystko się spaprało, a on nienawidzi papraniny. Matka zawsze kazała mu po sobie sprzątać, stała nad nim,

popychała w jego własne wymiociny, i to twarzą, kiedy się ociągał.

– Napaskudziłeś, to teraz posprzątaj. – Wciąż słyszał jej piskliwy głos.

Trzeba jak najszybciej zabrać się do sprzątania.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wtorek, 16 września

Z taśmociągu bagażowego na lotnisku Maggie zabrała klucze, odznakę służbową i telefon komórkowy, odsunęła na bok plastikowy pojemnik i wzięła laptop, który właśnie się do niej zbliżał. Wystukała numer, ramieniem przytrzymała telefon przy uchu i równocześnie schowała laptop do torby. Powinna już osiągnąć w tym mistrzostwo, a jednak w dalszym ciągu walczyła z pasami, które zabezpieczały komputer.

– Słucham? – powiedział kobiecy głos do jej ucha.

– Gwen, to ja, Maggie. Dobrze, że cię złapałam.

– A gdzie ty się podziewasz? Słychać, jakbyś dzwoniła z dna Potomacu.

– Nie, nie. Nie jestem na dnie Potomacu. Gorzej, jestem na lotnisku National. – Rozciągnęła wargi w uśmiechu, kiedy jedna z pracownic ochrony lotniska skrzywiła się na te słowa. Wyraźnie nie rozbawiła jej ta uszczypliwa uwaga. Machnęła na Maggie, że ma przejść na bok. – Och, niech to szlag, moment, Gwen.

– Rozłożyć ręce – wyszczekała funkcjonariuszka.

Maggie położyła torbę z laptopem na pobliskim krześle, na wierzchu telefon komórkowy, i dalej postępowała zgodnie z instrukcjami, które znała na pamięć. Nigdy nie

zawodziły. Za każdym razem brano ją na bok. I zwykle ochrona natychmiast zaczynała szczebiotać. Wyjęła z kieszeni klucze i odznakę FBI, i także rzuciła je na torbę.

– Proszę usiąść i zdjąć buty.

Maggie zsunęła skórzane buty na płaskim obcasie i uniosła stopy. Przez cały czas uśmiechała się do pracownicy ochrony, która jednak nie odwzajemniała uprzejmości. Ledwie skinęła głową, puściła Maggie i wróciła do swoich okopów, żeby schwytać kolejnego potencjalnego terrorystę albo kolejnego przemądrzałego dupka.

Maggie sięgnęła po komórkę.

– Gwen, jesteś tam jeszcze?

– Nigdy się nie nauczysz, co? – Przyjaciółka zaczęła wykład. – Jesteś agentką FBI, i to ty przede wszystkim powinnaś mieć świadomość, jak ważna jest ochrona na lotniskach. A ty ich naumyślnie podpuszczasz.

– Nikogo nie podpuszczam. Nie rozumiem tylko, dlaczego muszę sprawdzać swoje poczucie humoru przy okazji kontroli bagaży i biletów.

– Myślałam, że wzięłaś sobie wolne. Dokąd znowu wysyła cię Cunningham?

– Jadę do Connecticut.

Cisza. Taka długa cisza, że Maggie pomyślała, czy przypadkiem nie straciła łączności.

– Gwen?

– Zdobyłaś jakieś informacje na temat Joan?

– Nie, jeszcze nie. – Maggie szukała wyjścia numer jedenaście. No i oczywiście okazało się, że pasażerowie już wchodzą na pokład. – Uznałam, że najlepiej zrobię to osobiście. Kto wie, może znajdę ją nad basenem w Ramada Plaza Hotel, ze szklaneczką pinacolady.

– Zaskoczyłaś mnie. Chodziło mi tylko o to, żebyś wykonała parę telefonów. Nie prosiłam, żebyś leciała do Connecticut, zwłaszcza w czasie urlopu.

– A dlaczego nie? Wciąż mi powtarzasz, że powinnam gdzieś wyjechać. – Gdzież ona podziała bilet? Zwykle wkłada go do kieszeni kurtki.

– Tak, bo powinnaś pojechać na prawdziwe wakacje. Kiedy ostatnio zrobiłaś sobie prawdziwe wakacje, Maggie?

– Nie wiem. W zeszłym roku byłam w Kansas City. – Zaczęła szukać biletu w kieszonkach torby laptopa. Gdzieś w końcu ma ten bilet. Może zaraziła się bałaganiarstwem od Tully’ego.

– W Kansas City? To było dwa lata temu i pojechałaś tam na konferencję. To nie były wakacje. Wiesz w ogóle, co znaczy to słowo?

– Jasne, wiem. Siedzisz sobie na plaży, popijasz pinacoladę z tymi małymi różowymi parasolkami, a potem masz spaloną skórę i piasek w miejscach, gdzie wcale nie chcesz go mieć. To akurat wcale mnie nie interesuje.

– A interesuje cię poszukiwanie zaginionej osoby w czasie wakacji? Skoro lecisz do Connecticut, może wreszcie poszukasz pewnego mężczyzny, który tam mieszka?

– Mam. – Maggie z ulgą stwierdziła, że bilet wsunął się pod laptop, kiedy go przypinała paskami. Zignorowała uwagę Gwen o „pewnym mężczyźnie”. Doskonale wiedziała, że przyjaciółce chodzi o kogoś bardzo konkretnego, o zastępcę prokuratora z Bostonu. – Gwen, jeśli nie powiedziałaś mi czegoś ważnego o Joan Begley, masz teraz szansę.

W telefonie zapadło milczenie.

– Gwen?

– Wszystko, co mogłam, przesłałam ci faksem.

Maggie zauważyła, że przyjaciółka starannie dobiera słowa.

– Gwen, powiem ci coś, zanim usłyszysz to w wiadomościach. Powinnaś wiedzieć, że wczoraj rano w kamieniołomie w okolicy Wallingford znaleziono zwłoki kobiety.

– O mój Boże! To Joan, tak?

Maggie uważała, że przyjaciółka ma silny charakter, i tej siły często u niej szukała. Nie spodobało jej się, że teraz słyszy panikę w jej głosie.

– Tego nie wiem. Zresztą zataiłabym to przed tobą, gdyby media już o tym nie trąbiły. Zwłoki nie zostały zidentyfikowane. Usiłuję złapać kontakt z szeryfem, który prowadzi śledztwo. Ma do mnie oddzwonić, ale z całą pewnością jestem na końcu jego długiej listy petentów. – Znowu ramieniem przycisnęła telefon do ucha, przygotowując dowód tożsamości i bilet. – Słuchaj, wchodzę na pokład. Zadzwonię, jak tylko czegoś się dowiem.

– Wielkie dzięki. Mam nadzieję, że to nie Joan, ale muszę ci coś wyznać. Mam złe przeczucia.

– Nie martw się na zapas. Odezwę się później.

W samolocie Maggie otworzyła wszystkie zamykane na suwaki kieszenie torby i szukała – co się stało z jej doskonałą organizacją? – książki, którą kupiła w księgarni na lotnisku. Ostatni thriller prawniczy Lisy Scottoline. Poprzednie powieści tej autorki skutecznie blokowały jej świadomość, że leci jedenaście i pół tysiąca metrów nad ziemią. Znalazła książkę, a przy okazji z bocznej kieszeni wypadła koperta, którą tam włożyła w ostatniej chwili, kiedy postanowiła, że nie zabierze ze sobą teczek z dokumentami.

Włożyła torbę do przegrody na bagaż podręczny i wcisnęła się w siedzenie przy oknie. Drobna siwowłosa kobieta wierciła się na sąsiednim fotelu. Maggie otworzyła książkę, ale zamiast czytać, wlepiła wzrok w kopertę.

Wspominając o pewnym mężczyźnie, Gwen sugerowała, żeby Maggie skontaktowała się z Nickiem Morrellim. To nie był wcale zły pomysł. Nick mieszkał w Bostonie, to pewnie jakaś godzina drogi samochodem z serca Connecticut. Kilka lat wstecz coś się między nimi zaczęło, kiedy wspólnie rozpracowywali pewną sprawę w Nebrasce. Jakkolwiek nazwać ów związek, uległ osłabieniu podczas przeciągającej się sprawy rozwodowej Maggie, która nie chciała wiązać się na serio, póki rozwód nie zostanie sfinalizowany. Nie powodowała nią bynajmniej wierność prawu czy zasadom. Po prostu nie chciała ryzykować uczuć.

Mówiąc szczerze, nigdy nie wierzyła, że łączy ją z Nickiem coś poważnego, gdyż za dużo było w tym gorączki i podniecenia. W ten sposób nadrabiali braki we wspólnych zainteresowaniach. Była to całkowita odwrotność związku z Gregiem. Może to właśnie tak bardzo przyciągało ją do Nicka.

Potem, przed rokiem, w okolicy Święta Dziękczynienia, Maggie zadzwoniła do mieszkania Nicka. Słuchawkę podniosła jakaś kobieta i poinformowała ją, że Nick bierze prysznic. Od tamtej pory Maggie nie ponawiała prób kontaktu. Dystans rósł za jej sprawą, coraz bardziej skracała rozmowy, nie podnosiła słuchawki i nie odpowiadała na wiadomości nagrane na sekretarce. Nie liczyła na to, że Nick będzie czekał, aż ona dostanie rozwód. I chociaż ją to zdziwiło – i trochę zraniło – że się przeprowadził, poczuła niespodziewaną ulgę, która umocniła jej decyzję. Postanowiła, że lepiej jej będzie samej. Przynajmniej przez jakiś czas.

Stewardessa przerwała jej refleksje instruktażem na temat zachowania w czasie lotu. Maggie zignorowała ją grzecznie. Jej sąsiadka nerwowo szukała laminowanego informatora w tylnej kieszeni fotela. Maggie wyjęła swój i podała go starszej pani, która szybko podziękowała i natychmiast zaczęła przewracać kartki, by odnaleźć właściwą stronę.

Maggie otworzyła książkę i zatonęła w lekturze, używając koperty jako zakładki.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Lillian Hobbs przeniosła stertę książek w miękkiej oprawie i ostrożnie położyła na ladzie wystawowej, gdzie Rosie zaczęła je układać. Rosie wpadła na kolejny wspaniały pomysł, tyle że myśli Lillian krążyły zupełnie gdzie indziej. Jak mogła się skupić, kiedy co pół godziny przed sklepem przejeżdżał samochód kolejnej stacji telewizyjnej czy radiowej. To było o wiele bardziej atrakcyjne niż codzienny widok szarych, smętnych kamieni nagrobnych, które wyglądały przez ceglany mur cmentarza.

Tego ranka obsłużyły z sześciu zamiejscowych dziennikarzy, oglądając równocześnie „Good Morning America" na nowym przenośnym odbiorniku telewizyjnym. Może niedługo odwiedzą ich małą kafejkę Diane Sawyer i Charlie Gibson? Lillian była przekonana, że rozpoznała dziennikarza, który zamawiał podwójne espresso. Widziała go w wiadomościach stacji Fox, tylko nazwisko wyleciało jej z głowy.

Układała książki, co i rusz zerkając przez okno wystawowe. Rosie zaproponowała, żeby zrobić wystawę z kryminałów, może nawet znajdą jedną czy dwie powieści o seryjnych mordercach. To byłoby zgodne z panującą w mieście atmosferą wywołaną przez makabryczne odkrycie w kamieniołomie. Rosie widziała w tym szansę na zarobek. Lillian zgadzała się z nią, choć zarazem bała się,

by ktoś nie poczuł się urażony, aż dotarło do niej, że zyska okazję na wyeksponowanie swych ulubionych autorów powieści kryminalnych.

Wszystko, co zdarzało się w życiu, Lillian kojarzyła od razu z historiami przeczytanymi w książkach. Podobnie było z tragedią w kamieniołomie. To naprawdę przypominało pomysły zrodzone w twórczej wyobraźni Jeffery Deaver czy Patricii Cornwell. Z powieściowymi fabułami Lillian nie miała problemu, były niczym układanki, których części należy do siebie dopasować, i zazwyczaj poprzez pełen napięcia punkt kulminacyjny prowadziły do jasnych rozwiązań. A jeśli nawet zakończenie nie było oczywiste, to przynajmniej, tak czy owak, miało sens. Jednak w życiu jedno nie wynikało logicznie z drugiego i często brakowało sensu. Czyż nie byłoby miło, gdyby można podsumować rzeczywiste zdarzenia w kilkustronicowym epilogu?

Lillian zaczęła kartkować jedną z książek. Pamiętała wszystkie postaci z tej serii, ważniejsze wątki i sposób działania morderców, ale te morderstwa w kamieniołomie były niepojęte. Lillian potrząsnęła głową. Rzeczywistość jest dużo trudniejsza do pojęcia niż fikcja. Uświadomiła sobie, że traktuje to makabryczne znalezisko podobnie jak nowy kryminał, który wyszedł spod pióra nieznanego jej jeszcze autora. Czytała, zbierała poszlaki i układała fragmenty w całość. Zaczęła nawet tworzyć portret mordercy za pomocą detali, cech charakteru i dewiacji, o których dowiedziała się od swoich mistrzów. Myśląc o mistrzach, brała pod uwagę takich pisarzy, jak Cornwell,

Deaver czy Patterson. Nie podzieliła się swoimi przemyśleniami nawet z Rosie, z obawy, że zostanie wyśmiana. Za to pozornie od niechcenia wyciągała od niej wszelkie możliwe informacje, każdy drobiazg, o którym wspomniał mąż Rosie, Henry.

Lillian poukładała książki w artystyczną piramidę, potem kolejnych dwanaście ustawiła na nowych podstawkach z plastiku, do których kupna przekonała Rosie. Wcisnęła biało-lodowo-błękitną „Rzekę tajemnic" Dennisa Lehane'a między czarno-czerwone „Kości" Iana Burke'a i czarno-białe, trudne do zdobycia „Cudowne piórko" autorstwa Johna Philpina i Patricii Sierry. Miała znakomitą sposobność udowodnić Rosie, że jej nałogowe zakupy to rozsądne posunięcia biznesowe.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych i Lillian obejrzała się przez ramię. Jej brat, Wally, pomachał do niej palcem. Lillian też mu pomachała i zesztywniała, widząc za jego plecami Calvina Vargusa. W jednej chwili Calvin wypełnił przestrzeń sklepu szerokimi barami, grubym karkiem i tubalnym śmiechem. Poklepał Wally'ego po plecach dłonią wielką jak rakieta tenisowa. Lillian zajęła się na powrót wystawą. Nie chciała i nie musiała wiedzieć, jakie żarty wymieniali między sobą mężczyźni. Zawsze znajdowali jakiś temat, a jej bardzo nie podobało się, że brat pokornie znosi zniewagi Calvina. Zresztą Wally nigdy nie nazwałby tego zniewagą.

Brata Lillian i jego wspólnika łączyła osobliwa więź. Calvin z wiekiem stał się potężniejszą i gorszą wersją

zabijaki i despoty, którym był, kiedy wszyscy troje chodzili jeszcze do szkoły. Wally, wieczna ofiara, sprawiał wrażenie, że jest zadowolony, iż ma brutala po swojej stronie, niezależnie od kosztów i konsekwencji. Lillian nerwowo poprawiła okulary na nosie i pokręciła głową. Nie była jedyną osobą, która dostrzegała ten dziwny układ. W końcu mówiono o nich Calvin i Hobbs, biorąc owe przydomki z komediowego komiksu o pełnym wyobraźni chłopcu oraz jego tygrysie. Tygrysie, który odzywał się wyłącznie w obecności swojego pana Calvina.

Lillian Hobbs obserwowała zachowanie tyrana i jego dobrowolnego kozła ofiarnego. Tego dnia nie patrzyła na nich z niesmakiem. Patrzyła z zażenowaniem. Zawstydzała ją słabość brata, to, że jest mu wszystko jedno. A nawet, że znajduje w tym przyjemność. Czyż znosiłby tę sytuację, gdyby było inaczej? A jeśli to tylko lata doświadczenia? Te wszystkie lata dorastania u boku matki, która go znieważała i chwaliła często w tym samym zdaniu.

A może Lillian nie czuła wcale wstydu, lecz żal? Żal, że jako starsza siostra nie potrafiła obronić brata. Ale jak miała to uczynić? Matka nie szczędziła jej podobnego rytuału, choć Lillian znalazła ucieczkę w książkach. Nauczyła się chronić we własnym świecie wymyślonych przyjaciół i wspaniałych miejsc. Wally nie miał tyle szczęścia. Zabawne, że zbrodnia wygrzebała z dna jej pamięci te wszystkie wspomnienia. Wygrzebała! O Boże, co za niezamierzona, wielce niestosowna gra słów. A jednak Lillian rozciągnęła wargi w uśmiechu.

Calvin przechwalał się, jak znalazł pierwsze zwłoki. Który to już raz, i to w ciągu dwudziestu czterech godzin? A za każdym razem jego opowieść puchła od nowych szczegółów, zapomnianych w pierwszej relacji.

– Od razu wiedziałem, że kobieta nie żyje – oznajmił tubalnym głosem kolejnej grupie słuchaczy spragnionych upiornych detali. – Widziałem, że ma rozwaloną czaszkę. Wszędzie była krew. Wylewała się z beczki. Wiadra krwi. Dobrze, że staruszek Wally nie był wtedy ze mną, taki z niego palant, że wyrzygałby śniadania z całego tygodnia. Dobrze mówię, Wally? – Potężnym łapskiem zmierzwił kumplowi włosy jak dziecku.

Lillian zauważyła, że brat na nią patrzy, i przewróciła oczami. Wally siedział na stołku przy ladzie z głupim krzywym uśmiechem, jakby wcale nie został obrażony.

– Nasza stała rozrywka – rzekła Rosie. Stanęła obok Lillian i zdjęła z półki kilka książek w miękkiej oprawie.

– Mam ich wyprosić? – Lillian poczuła, jak ściska ją w dołku na myśl, że Rosie może sobie tego zażyczyć.

– Daj spokój. Ludzie chcą tego słuchać. Popatrz tylko. – Wskazała na rosnący tłumek wokół Calvina i Wally'ego. – To nic strasznego, że można wpaść do naszej księgarenki i usłyszeć najnowsze wiadomości. Chyba ci to nie przeszkadza, co?

– Nie, oczywiście że nie. Ale co na to Henry?

– To nie jego sklep – rzuciła Rosie, a Lillian uświadomiła sobie, że powinna była ugryźć się w język. – Poza tym

przestaną nieustannie nagabywać Henry’ego, skoro gdzie indziej mogą zdobyć informacje.

Lillian postanowiła przemilczeć, że Calvin Vargus prawdopodobnie kłamie albo zmyśla. Twarz Rosie pojaśniała od uśmiechu. Minione dwadzieścia cztery godziny odcisnęły już swój ślad wokół jej ust i na czole. Za każdym razem, kiedy Lillian patrzyła na twarz wspólniczki, natychmiast przypominała sobie, jaka urodziwa była z niej niegdyś kobieta. Miała przed sobą dawną królową piękności z liceum, choć i teraz Rosie pozostała atrakcyjną kobietą. Zmarszczki nie oszpeciły jej twarzy, sprawiły, że stała się bardziej interesująca.

Wtem Lillian zobaczyła, co tak rozpogodziło Rosie. W drzwiach stanął jej zwalisty, przystojny John Wayne. Jej mąż. Zebrani natychmiast przenieśli na niego uwagę, a on odpowiadał na pytania i torował sobie drogę do barku kawowego.

– Lepiej pospieszę mu na ratunek – rzekła Rosie z uśmiechem.

Patrząc na nią, jak witała męża, Lillian spostrzegła kątem oka, że jej brat, Wally, cichaczem wymknął się z księgarni tylnym wyjściem. A nawet nie dostał swojej codziennej porcji bear claw i szklanki mleka.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Henry przebijał się przez tłum kamerzystów i przekrzykujących się reporterów. Ta ładna, drobna dziennikarka w okularach z grubymi szkłami nie odstępowała go na krok. Wcześniej czekała na niego w księgarni, jakby wiedziała, że wpada tam każdego ranka. Teraz towarzyszył jej operator z włączoną kamerą. Wiedział to, ponieważ dziewczyna zdjęła okulary ze szkłami jak dno butelki. Nie mógł się nadziwić, że z taką wadą wzroku przyjęli ją do telewizji.

– Szeryfie Watermeier, czy to prawda, że w kamieniołomie może być zakopanych ponad sto ciał?

– Sto ciał? – roześmiał się. To nie była właściwa odpowiedź, ale pytanie było idiotyczne. – Miejmy nadzieję, że nie.

– Czy prawdziwe są pogłoski, że niektóre z tych ciał zostały poćwiartowane? Może pan powiedzieć coś więcej na ten temat?

Tym razem Henry nie robił min.

– Chciałbym zaspokoić pani ciekawość, ale będzie to możliwe dopiero za jakiś czas, kiedy dowiem się czegoś więcej.

Szedł dalej przed siebie, nie oglądając się i nie zważając na dalsze pytania, klik migawek i szum kamer wideo. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce będzie musiał dać jakiś

komunikat do mediów. Dzwonił już do niego Randal Graham, asystent gubernatora, i poradził, żeby nieco wyciszyć sprawę. Zdaniem Randala gubernator ogromnie się przejął, że w mediach nazwano to największym i najokrutniejszym zbiorowym mordem w historii Connecticut. Henry miał ochotę powiedzieć tej gnidzie Grahamowi, że prawdopodobnie dziennikarze mają rację, a jeśli on życzy sobie wyciszenia sprawy, niech sam ich wyciszy. Zamiast tego oznajmił, że panuje nad sytuacją. Innymi słowy, skłamał.

Wysoka trawa była mokra i śliska od rosy błyszczącej w porannym słońcu. Dotarłszy do ujścia krateru kamieniołomu, Henry nie słyszał już dziennikarzy. Skały i drzewa stanowiły doskonałą izolację. Pozostały po poprzednim właścicielu zardzewiały przenośnik taśmowy, który wisiał nad lśniącą, żółtą koparko-spycharką Vargusa i Hobbsa, nie pasował do tego sanktuarium. To było naprawdę piękne miejsce. Gigantyczne kamienie wypełniały drogę do samego szczytu, a wszystko osłaniane było przez gęste poszycie oraz dąb z żółtopomarańczowymi liśćmi i orzechy. Dopiero w tej chwili dotarło do niego, że morderca bardzo mądrze wybrał teren na cmentarz swoich ofiar.

Szeryf trzymał się z dala od zamieszania i obserwował, jak Bonzado i jego pomocnicy wyładowują sprzęt z bagażnika el camino. Studenci – jedna kobieta i dwóch mężczyzn – wyglądali na typowych półgłówków pozbawionych ekstrawagancji swojego mistrza, który miał na sobie tego

dnia różowo-niebieską hawajską koszulę, krótkie spodnie w kolorze khaki i brązowe buty turystyczne. Henry uśmiechnął się nawet na jego widok. Naprawdę polubił tego gościa. Ufał profesorowi Bonzado, czego nie mógł powiedzieć o niektórych ze swoich ludzi. Większość z nich widziała zwłoki wyłącznie z okazji poważnej kraksy samochodowej. Mógł polegać na technikach z policyjnego laboratorium, ale jego zastępcy to zupełnie inna historia. Jak na zawołanie zobaczył Trumana, który darł mordę na dziennikarza. Cholera. Henry poznał, że facet jest z NBC News. Wspaniale! Będzie fantastyczna relacja w wieczornych wiadomościach prowadzonych przez Toma Brokawa.

Co za pieprzony burdel. Nawet Rosie nie znalazła w tym nic pozytywnego. Potrzebował kogoś, na kogo mógłby zwalić winę, gdyby coś poszło nie tak. Jakiegoś eksperta. Doktor Stolz nie nadawał się do tej roli. Henry patrzył, jak koroner dzielnie toruje sobie drogę przez tłum dziennikarzy. Ubrany jak na rozprawę, w garniturze, pod krawatem i w kosztownych skórzanych butach. W butach, w których łatwo... No właśnie, Stolz poślizgnął się na mokrej trawie, o mały włos nie stracił równowagi i nie wylądował na kościstym tyłku. Henry z trudem powstrzymał śmiech, gdy podobny los spotkał Bonzado.

W kieszeni koszuli poczuł wibrujący sygnał telefonu komórkowego. Poinstruował Beverly, żeby łączyła jedynie ważne rozmowy. Byle tylko znów nie dzwonił Graham. Powinien był go wstawić na listę nieważnych.

– Watermeier – warknął do telefonu.

– Tu agentka specjalna Maggie O’Dell z FBI.

– Nie przypominam sobie, żebym prosił FBI o pomoc, agentko O’Dell.

– Wydaje mi się, że możemy sobie pomóc wzajemnie, szeryfie Watermeier.

– Niby jak?

– Jestem psychologiem kryminalnym, a wygląda na to, że ma pan do czynienia z seryjnym mordercą.

Henry niemal odruchowo już chciał odrzucić propozycję, jedną z wielu ofert od przemądrzalców, którzy pragnęli mieć w tym całym bagnie swój udział. Powstrzymał się jednak. Miejscowe kmiotki z wielką rezerwą traktowały obcych, ale Henry naprawdę potrzebował pomocy. Agentka O’Dell może mu się przydać, jeżeli będzie musiał wskazać kozła ofiarnego.

– Powiedziała pani, że pomożemy sobie wzajemnie. Czego pani ode mnie oczekuje?

– Szukam zaginionej osoby.

– Nie mam teraz czasu na szukanie wiatru w polu. Mam pełne ręce roboty, jeśli pani wie, o czym mówię.

– Nie rozumie pan, szeryfie. Wolałabym się mylić, ale przypuszczam, że już pan ją znalazł.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Maggie zwolniła. Była trochę na siebie zła, bo wynajmując samochód na lotnisku, nie zauważyła, że skrzypią hamulce. Powinna była zażądać czegoś lepszego niż świeżo umyty biały ford escort. Bardzo nie lubiła wynajętych wozów. Na zewnątrz prezentowały się świetnie, ale wnętrze nieodmiennie zdradzało poprzedniego użytkownika. Poprzedni kierowca escorta palił papierosy i pociły mu się dłonie. Nietrudno to zatuszować, otwierając okna, przecierając tu i ówdzie wilgotną chusteczką i wkładając do środka aromatyczne frytki z McDonalda. Co innego skrzypiący układ hamulcowy, zwłaszcza w takim terenie.

Kręte drogi wiodące w górę denerwowały Maggie tak samo jak gwałtowne spadki. Odnosiła wrażenie, że nie mają końca. Drobny detal, o którym Watermeier i Tully zapomnieli uprzedzić, dając jej wskazówki, jak dojechać do celu. Zresztą wskazówki Tully’ego dziwnie przypominały ojcowskie pouczenia. Maggie pomyślała, że musi bardzo tęsknić za córką, skoro potraktował swoją partnerkę jak nastolatkę, która po raz pierwszy wypuszcza się z domu sama i z całą pewnością zginie bez jego szczegółowych instrukcji. W pewnym momencie Maggie przerwała tę ojcowską perorę, mówiąc, że weźmie sobie mapę. Widząc zagniewaną minę Tully’ego, uznała, że lepiej mu już nie przerywać.

Kto by pomyślał, że ten sam R.J. Tully, który robi notatki na rachunkach, serwetkach i kwitach z pralni, okaże się tak upierdliwy podczas udzielania wskazówek dotyczących podróży. Prawdę mówiąc, Maggie to nawet rozbawiło. Po dwóch latach pracy poczuł się w końcu na tyle swobodnie, by przestać się kontrolować i dać upust swoim nawykom. Jak powinno być między prawdziwymi partnerami.

Zanim znalazła swój cel na rozłożonej na sąsiednim siedzeniu mapie, za kolejnym zakrętem zobaczyła zbiornik wodny. Tablica głosiła, że to rezerwat McKenzie, i po chwili Maggie ujrzała drogę, Whippoorwill Drive, która przeprowadziła ją nad wodą. Wszystko zgadzało się ze wskazówkami szeryfa. Jeszcze dwa zakręty do góry, jeden zjazd i dostrzegła jakieś zamieszanie na dwupasmowej drodze. Jeden pas był zakorkowany wozami policyjnymi, samochodami stacji telewizyjnych, przewoźnym laboratorium kryminalnym i kilkoma nieoznakowanymi sedanami.

Mundurowy policjant machał, żeby jechała dalej, a kiedy stanęła obok niego, dalej kręcił głową.

– Niech pani jedzie. Nie ma tu nic ciekawego, a ja nie odpowiem na żadne pytania.

– Jestem z FBI, agentka specjalna Maggie O’Dell. – Pokazała mu odznakę przez okno. Policjant stał z rękami na pasie z bronią, minę miał obojętną. Spróbowała raz jeszcze. – Rozmawiałam przed chwilą z szeryfem Henrym Watermeierem.

Policjant wyciągnął walkie-talkie i wziął od Maggie odznakę, podniósł ją do światła, jakby sprawdzał, czy jest autentyczna.

– Taa, mówi Trotter. Mam tu kobietę w wynajętym aucie, mówi, że pracuje w FBI i że szeryf Watermeier właśnie z nią rozmawiał. – Wypluł te słowa, jakby w nie kompletnie nie wierzył.

Z drugiej strony padło jakieś pytanie. Policjant ponownie podniósł odznakę i odparł:

– Jakaś Margaret O’Dell.

W aparacie zatrzeszczało, zaś twarz Trottera uległa gwałtownej przemianie. Oddał odznakę przez okno i uprzejmie pokazał, gdzie można zaparkować.

– Będzie pani musiała tam podejść. – Wyciągnął rękę w stronę zarośniętej drogi. – Szeryf Watermeier czeka na panią. – I pognał, by pogonić kolejny samochód, dżip cherokee z rejestracją Rhode Island, wypełniony turystami, którzy przyjechali zobaczyć najnowszy cud w Connecticut.

Maggie rozpoznałaby Watermeiera nawet w cywilnym ubraniu. Przypominał jej Johna Wayne’a, tę jego zwycięską wersję z pierwszych filmów. Brakowało mu tylko przewiązanej na szyi zakurzonej chustki. Rozpiął kołnierzyk, a krawat zniknął. Rękawy brązowej koszuli podwinął do łokci, a kapelusz zsunął nisko na czoło. Czekał na agentkę O’Dell cierpliwie, a gdy podeszła bliżej, uniósł żółtą taśmę, żeby pod nią przeszła. Obyło się bez uśmiechów, bez wstępów, przedstawiania się i bez

uniesionych znacząco brwi. Odezwał się, jakby od zawsze pracowali razem:

– Jeszcze zabezpieczamy miejsce zbrodni, więc nie otwieraliśmy dotąd beczek. Musimy odsunąć część kamieni, żeby je wydobyć. Nie chciałbym przez pośpiech zniszczyć żadnych dowodów.

– Bardzo rozsądnie.

– Ta zaginiona kobieta… – Spojrzał na nią podejrzliwie. – Mam nadzieję, że nie sprowadzi nam piekła na głowę, co?

– Nie jestem pewna, czy dobrze pana rozumiem.

– Sprawdziłem panią, O’Dell. – Zrobił pauzę, jakby oczekiwał, że Maggie wyrazi protest. Ponieważ jednak milczała, ciągnął dalej: – Moje biuro jest nieźle wyposażone, nie pracuje jak w epoce kamienia łupanego, mamy też swoje sposoby, i to szybkie.

– Jestem o tym przekonana, szeryfie Watermeier.

– No. Więc wiem, że pani jest z Quantico. A jak FBI szuka zaginionej osoby, to znaczy, że jest ważna. Racja?

– Każda zaginiona osoba, której poszukujemy, jest dla kogoś ważna, szeryfie.

Wlepił w nią wzrok. Maggie zdawało się, że leciutko uniósł kąciki warg w uśmiechu. W każdym razie zakończył ten temat.

– Prowadziła już pani taką sprawę? – Ruszył naprzód długimi krokami, lecz zwolnił, gdy uprzytomnił sobie, że Maggie zostaje w tyle. – Chodzi mi o to, czy w innych stanach jakiś szaleniec robił podobne rzeczy?

– Sprawdziłam w naszych archiwach i…

– To jest doktor Stolz. – Wskazał na szczupłego, łysiejącego mężczyznę w garniturze. – Nie zaczął jeszcze autopsji kobiety, którą znaleźliśmy wczoraj. Jeśli pani ma chęć, może pani do nas dołączyć. Ale to koszmarny widok, nie sądzę, żeby pani mogła ją zidentyfikować na podstawie wyglądu.

– Znam parę cech charakterystycznych tej kobiety, co przynajmniej może pomóc ją wyeliminować.

– Koroner ma teraz nie lada zagwozdkę. Namyślamy się, jak przechować zawartość beczek, które popękały. On uważa, że trzeba będzie urządzić tutaj prowizoryczną kostnicę. Z drugiej strony, jak już je wyjmiemy... do diabła, kto to wie. Według moich informacji pracuje pani dla FBI od dziesięciu lat. Spotkała się pani już z czymś takim?

– Była podobna sprawa, chyba w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym albo dziewiątym. John Robinson.

– Coś pamiętam. Ten maniak internetowy, tak?

– Tak. Zwabiał kobiety przez internet na swoją farmę, zabijał je i wsadzał ciała do beczek. – Maggie patrzyła pod nogi. Z ziemi wystawały kamienie ukryte w wysokiej do kolan trawie. – Nie pracowałam przy tej sprawie, ale jeśli mnie pamięć nie myli, beczki znaleziono w szopie. A zatem nie istniało ryzyko, że się coś zniszczy, tak jak u was. Wie pan już, ile jest tych beczek? I w ilu z nich są zwłoki?

– Beczek będzie z dziesięć, może więcej, ale nie wiem, czy we wszystkich są ciała. Widzieliśmy je w paru. Makabra, czysta makabra. – Przesunął kapelusz na tył głowy i otarł

pot z czoła. – W jednej są same kości, ale w tej… – Pokręcił głową i wskazał na jedną z beczek. – W innej zwłoki są całkiem nieźle zachowane. W każdym razie mamy tu do czynienia z prawdziwym skurwysynem.

Przystanął, Maggie czekała na niego. Znajdowali się jakieś trzysta metrów od głównej krzątaniny. Kilka osób pochylało się nad jedną z beczek. W pobliżu technicy z laboratorium kryminalnego przeszukiwali teren w lateksowych rękawiczkach. Szeryf znakomicie wszystko zorganizował, Maggie była pod wrażeniem. Zbyt często policjanci z małych miasteczek wpuszczają na miejsce zbrodni zakłócających pracę cywilów. Nie widzą w tym nic złego, że burmistrz czy radny miejski rzucą okiem. Ale to, co uważają za politycznie mądre posunięcie – w końcu szeryf to stanowisko wybieralne – często kończy się zanieczyszczeniem miejsca zbrodni.

Nagle Maggie uświadomiła sobie, że Watermeier waży w myślach, o co ją jeszcze zapytać albo co powiedzieć, zanim dołączą do innych.

– Ponad trzydzieści lat pracowałem w policji nowojorskiej, więc dla mnie taka rzeź to nie nowina, okej? – Spojrzał jej w oczy, jakby czekał na jakąś reakcję. – Przeprowadziliśmy się tutaj z żoną cztery lata temu. Żona jest współwłaścicielką małej księgarni w centrum Wallingford. Miejscowi wybrali mnie, ponieważ chcieli kogoś z doświadczeniem. Bardzo nam się tu podoba. Planujemy zostać tutaj, kiedy przejdę za parę lat na emeryturę.

Przerwał i spojrzał na swoich podwładnych, jakby ich liczył. Maggie splotła ramiona na piersi i przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę. Wiedziała, że szeryf nie oczekuje odpowiedzi. Co ważniejsze, wiedziała też, że jeszcze nie skończył.

Wreszcie Watermeier przeniósł na nią wzrok. Ich oczy spotkały się. Znała to spojrzenie: była w nim determinacja, frustracja, odrobina złości, a przy tym cień paniki – dosłownie mignięcie, które jednak wystarczyło, by Maggie pojęła, że doświadczony szeryf Henry Watermeier jest przerażony.

– Pieprzony burdel. – Pokazał na beczkę. – Może ten szaleniec robi to od lat. Nie będę pani wciskać kitu, O'Dell. Nawet jeżeli nie znajdziemy tej pani zaginionej, przyda mi się pomoc, żeby dorwać tego psychopatę. Nigdy się nie zakładam, ale jakbym miał się założyć, powiedziałbym, że drań wciąż przebywa w okolicy. Jeśli go nie złapię, nie wyciągnę za tyłek i nie wpieprzę mu solidnie, mogę się pożegnać z marzeniem o spokojnej emeryturze wśród tych ludzi.

Watermeier czekał na odpowiedź. Tym razem unikał wzroku Maggie, szukał czegoś, sprawdzał, byle tylko zbagatelizować ogromną wiarę, jaką pokładał w kobiecie, którą widział pierwszy raz w życiu i która wkręciła się do jego śledztwa. Niezależnie od tego, czy powodowała nim desperacja, czy tylko strategia, Maggie była przekonana, że twardemu, niezależnemu szeryfowi nie przyszło to łatwo.

Odwróciła się ku grupie przenoszącej beczkę i powiedziała zwyczajnym tonem:

– Wobec tego do roboty.

Nie sprawdziła, jak na to zareagował. Po chwili kroczył obok niej, uważając, żeby jej nie wyprzedzać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Henry, przedstawiając agentkę specjalną O’Dell grupie współpracowników, bacznie obserwował wymianę pozdrowień.

Oczywiście spojrzenie O’Dell najdłużej spoczęło na Bonzado, ale też w tej swojej hawajskiej koszuli wyglądał jak surfer z Kalifornii. a nie poważny profesor. Poza tym był skromny i pozbawiony arogancji, i niezależnie od oryginalnego stroju, w magiczny sposób potrafił zidentyfikować stertę kości. Henry z miejsca wiedział, co myśli o nim doktor Stolz, koroner. Kiedy pierwszy raz zobaczył Bonzado, rzucił szeryfowi jedno z tych spojrzeń pod tytułem: „Co u licha?’. Teraz, pomimo iż koroner milczał, Henry słyszał jego niezadowolone: „Federalsi? Sprowadziłeś tu pieprzonych federalsów?”.

Stolz był zapewne wkurzony, że Henry tym samym podważa jego kompetencje. A on, prawdę mówiąc, nie brał sobie do serca, co myślą inni. Dawno temu nauczył się żyć zgodnie z prostą zasadą: PST – czyli Pilnuj Swojego Tyłka.

Przy jednej z beczek, która popękała od wstrząsów koparki Vargusa, położono plastikowy worek na zwłoki. Henry najchętniej załadowałby biednego frajera i odesłał do kostnicy, gdzie przewieziono już kobietę wyjętą z beczki poprzedniego dnia. Ale to działka Stolza, który chciał załatwić popękane beczki na miejscu z obawy, że podróż

narazi na szwank delikatne szczątki. Henry z kolei uważał takie rozwiązanie za złe, lecz to Stolz podejmował ryzyko. Innymi słowy, koroner narażał swój tyłek. A on, Henry, był w stanie martwić się tylko jednym tyłkiem, i póki co był to jego własny tyłek.

Jedynie głowa i ramiona ofiary były widoczne w beczce, kępka przyprószonych siwizną włosów i coś, co wyglądało na klapy granatowej marynarki. Stolz i Bonzado, obaj w lateksowych rękawiczkach, ostrożnie obmacali zwłoki w poszukiwaniu solidnej części ciała, za którą mogliby pociągnąć, nie ryzykując, że coś się podrze, złamie albo urwie. Dwaj zastępcy szeryfa trzymali mocno sznur, którym obwiązano beczkę w miejscu pęknięcia. Byli przygotowani do ewentualnych makabrycznych zawodów w przeciąganiu liny.

Henry podał agentce O’Dell słoiczek VapoRub Vicksa. Kiedy wyciągną nieszczęśnika, smród będzie nie do zniesienia. Tymczasem agentka grzecznie podziękowała. Coś mu powiedziało, że nie ma to nic wspólnego z udawaniem twardziela. Nie, ona naprawdę tego nie potrzebowała. Była przyzwyczajona do zapachu śmierci, choć tak naprawdę nie sposób przywyknąć do tego kwaśnego, gryzącego smrodu. Ludzkie zwłoki mają swoistą woń, zupełnie inną od zwłok zwierząt. Henry nienawidził tego zapachu. Nie oswoił go i nie zamierzał tego robić. A jednak schował słoiczek Vicksa do kieszeni, nie skorzystawszy z niego. Nie było sensu proponować go Stolzowi czy Bonzado. Studenci trzymali się w pewnej

odległości, zapewne na polecenie profesora, zgodnie z zapewnieniem, które złożył Henry’emu, że nie będą wchodzić nikomu w drogę.

Powoli zaczęli wyjmować ciało z beczki i natychmiast rozległ się niski, cichy, odrażający dźwięk, nasuwający na myśl ssanie. Henry wzdrygnął się z obrzydzenia. To były całkiem świeże zwłoki. Zerknął na O’Dell. Może miał nadzieję zobaczyć, że i ona czuje obrzydzenie, a przynajmniej cień dyskomfortu. Nic podobnego. Patrzyła z zaciekawieniem, bez zmieszania czy niepokoju. Do diabła, pewnie widziała dużo gorsze gówno.

O’Dell była drobnej, a równocześnie mocnej budowy ciała, i na tyle urodziwa, że nie pasowała szeryfowi do stereotypowego wizerunku agentki FBI. Za to jej pewność siebie działała na niego kojąco. Zauważył to już podczas rozmowy telefonicznej. Pewna siebie, ale nie zadufana. Nie nagadałby jej tyle, gdyby była zuchwała i z tupetem, tak powszechnym u federalsów.

Może stracił rozum, że do tego stopnia zawierzył nieznanej osobie, ale wykorzysta agentkę specjalną Margaret O’Dell, gdyby coś poszło nie tak. Nie przeputa trzydziestu lat kariery przez jakiegoś psychola, koniec kropka. O’Dell to dosyć miła babka, ale kiedy gubernator będzie się domagał odpowiedzi, Henry musi być gotowy. Do diabła, to wcale nie taki zły pomysł, żeby mieć na kogo zwalić winę, jeżeli odpowiedzi nie przyjdą wystarczająco szybko.

– Hej, uważaj! – krzyknął Stolz na Bonzado. Zwłoki wysunęły się z beczki. Ciało wyśliznęło się z rąk koronera i upadło na plastikowy worek z głuchym łoskotem twarzą do dołu. Tors uderzył mocno o kamienie, pękła czaszka.

– Boże wszechmogący! – krzyknął znowu Stolz. – Musimy to robić inaczej. Mogliśmy całkiem rozwalić tę głowę. Jak mam potem odróżnić ciosy mordercy i efekty naszej niezdarności?

Henry już miał rzucić: „To był twój pomysł”, ale ugryzł się w język. To dopiero druga beczka, a Stolz, miotając się w rażących sprzecznościach, już udowodnił swój brak profesjonalizmu. Ten fakt upewnił szeryfa, że słusznie postąpił, sprowadzając Bonzado i O’Dell, dwoje niezależnych świadków, którzy w razie czego potwierdzą ewentualne nieprawidłowości.

Kiedy inni odeszli na bok, żeby obmyślić nową metodę działania, O’Dell zbliżyła się i przyklękła na kamieniach. Oprócz złamanej, a teraz otwartej czaszki na ciele nie widać było żadnych ran. Granatowy garnitur miał ledwie kilka zagnieceń.

– Ten facet jest w świetnym stanie – rzekł Henry.

– Zbyt dobrym. W ogóle nie widzę tu krwi – zauważył Bonzado. Zrobił miejsce Carlowi, by mógł zrobić zdjęcia.

Studenci wreszcie odważyli się podejść, najśmielsza była dziewczyna, która zerkała zza ramienia profesora, natomiast obaj młodzi mężczyźni sprawiali wrażenie, że za chwilę zwymiotują. Jeden z nich bezwładnie trzymał aparat, nie próbował nawet fotografować. Może czekał, aż Carl

skończy swoje? Henry ciekaw był, czy chłopcy żałują w tej chwili, że nie wybrali innych studiów.

– Ładny garnitur – stwierdził Carl. Odłożył aparat i szczypcami zdjął nitkę z marynarki denata.

Stolz przykucnął naprzeciw O'Dell.

– Myślę, że czaszka została otwarta – powiedziała.

– Pękła na kamieniach.

– Nie, raczej nie. Proszę spojrzeć. – Odsunęła się, żeby koroner miał lepszy widok, i podniosła wzrok na Henry'ego. Po raz pierwszy zauważył to coś w jej oczach. Może właśnie ślad dyskomfortu, którego wcześniej szukał. – Wygląda, jakby ktoś użył piły. Może takiej do kości albo piły Strykera.

– Piły Strykera? – Stolz wyraził w końcu zainteresowanie.

O'Dell wstała, obeszła kamienie i spojrzała z góry. Czubek czaszki zwisał jak pokrywka albo przesunięty tupecik. Prawie przykleiła doń nos i oznajmiła:

– Narzędzie, którego użył morderca, cokolwiek to było, zostawiło bardzo delikatne ślady. Linia cięcia jest niemal gładka.

Bonzado patrzył na O'Dell z podziwem.

– No właśnie, a po cienkim ostrzu, które trochę ślizga się podczas cięcia, linia byłaby lekko poszarpana. Na przykład po pile do metalu, zwłaszcza z początku.

Zawsze musi być profesorem, pomyślał z przekąsem Henry, chociaż smarkaczowi szczerze zależało na tym, żeby podzielić się wiedzą. Nie odgrywał gwiazdy ani nie traktował nikogo protekcjonalnie, co z kolei lubił Stolz.

– Z tego co widzę – ciągnęła O'Dell – czaszka jest pusta.

– Pusta czaszka? O czym pani mówi, do diabła? Chce pani powiedzieć, że nie ma tam mózgu? – krzyczał Stolz, przestępując przez ciało, żeby stanąć obok O’Dell.

Niepokaźny człowieczek tak rzadko bywał czymś poruszony, że Henry mało nie wybuchnął śmiechem. Koroner zwykle wyrażał emocje przez swoje słynne miny. Szeryf wiedział, że nie powinien skupiać uwagi na Stolzu, ale obserwowanie jego niekompetencji i postępującej histerii było o wiele łatwiejsze niż zapanowanie nad własną paniką. To gówno z każdą minutą stawało się bardziej gówniane.

– Jeżeli napstrykałeś już dosyć zdjęć, spróbujmy go przewrócić i przesunąć w całości na worek – polecił Stolz Carlowi.

Henry stał nieco dalej. Nie przyznałby się do tego głośno, ale zaczęło go bawić, jak mały człowieczek traci parę. Szczęśliwie koronerowi pomagał Bonzado i jego dwaj studenci. Nawet O’Dell podwinęła rękawy i chwyciła zwłoki za ramię. Tym razem nie ryzykowali i nie upuścili ciała. Ledwie je obrócili, żołądek podszedł Henry’emu do gardła.

– Jezu Chryste – mruknął.

Wszyscy stanęli jak wryci, patrząc na niego, a potem na ciało.

– To Steve Earlman.

– Zna go pan? – spytała O’Dell.

Henry oparł się na najbliższym głazie, czując, że nogi uginają mu się w kolanach.

– Czy znam? W maju zeszłego roku był jego pogrzeb. Niosłem trumnę ze zwłokami Steve’a.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Maggie zobaczyła szpilki, które trzymały na miejscu krawat i klapy marynarki pana Earlmana. Podniosła powiekę zmarłego i znalazła w oczodole mały wypukły plastikowy dysk, stosowany przez pracowników kostnicy do zachowania kształtu oka i utrzymania zamkniętej powieki.

– Wygląda jak cięcie w ramach autopsji – stwierdził Stolz, zdjął okulary i schował je do kieszeni.

– Niemożliwe – rzekł szeryf. – Nie było żadnej autopsji.

– Jest pan pewny? – Maggie znowu wstała, przyglądając się innym fragmentom zwłok, a koroner grzebał w wiszącym czubku czaszki. Garnitur ofiary był zaskakująco czysty, jakby dostał się do beczki prosto z trumny. – To wygląda na piłę.

– Z całą pewnością jakąś specjalistyczną piłę do kości – potwierdził Stolz.

– Na sto procent nie było autopsji – trwał przy swoim Watermeier.

– A operacja? – Adam Bonzado kucnął obok Stolza i zaglądał do czaszki zmarłego.

– Żadnej operacji – odparł cicho Watermeier. – Steve zmarł na guza mózgu. Wiedział o nim, ale nie zgodził się na operację.

Maggie zerknęła na Watermeiera, żeby upewnić się, czy dobrze się czuje. Wiedziała, jak to jest, kiedy człowiek

odkrywa, że jego przyjaciel padł ofiarą okrutnej zbrodni. Minął już prawie rok od momentu, kiedy otworzyła worek ze zwłokami i znalazła w nim przyjaciela z przestrzeloną głową. Była pewna, że nigdy nie zapomni martwych oczu agenta specjalnego Richarda Delaneya, oczu, które na nią patrzyły. Żadne ćwiczenia, żadne doświadczenie nie jest w stanie przygotować człowieka na tak wielki szok, na taką bezradność, na tę huśtawkę w żołądku.

Szeryf zdjął kapelusz i wytarł rękawem koszuli spoconą twarz. Aż perliła się od potu, chociaż słońce skryło się już za skały i drzewa, i powiało chłodem. Włożył kapelusz i przesunął go na tył głowy. Maggie oglądała sprzęt, który technicy kryminalni ostrożnie składali na jednym z wielkich głazów. W końcu zobaczyła czerwono-biały dzbanek z wodą. Wzięła go do ręki, spojrzała na Carla i poczekała na jego pozwolenie. Potem wypiła spory łyk i najzwyczajniej w świecie przekazała dzbanek szeryfowi. Nie wahał się ani chwili, pociągnął solidnie i podał dalej.

– Czy wszyscy o tym wiedzieli? – spytała znów Maggie.

Szeryf przeniósł na nią wzrok. Rozumiał, że pytanie skierowane jest do niego, ale w jego oczach była pustka.

– O czym?

– Czy pan Earlman mówił, że ma guza? Przyjaciołom, znajomym, rodzinie?

– Tak, nie ukrywał tego. Ale nie skarżył się bez przerwy.

– Czy wspominano o tym publicznie? Na przykład w nekrologu?

Watermeier w zamyśleniu podrapał się w głowę pod kapeluszem.

– Nie pamiętam, jak brzmiał nekrolog, ale prawie wszyscy znali Steve’a. Miał sklep mięsny w centrum Wallingford. Kupił go od starego Ralpha Shelby’ego wiele lat temu, ale zachował nazwę. Słusznie myślał, że wszyscy znają sklep „U Ralpha”. Taki był Steve, skromny, dobry, uczciwy i szczery. Codziennie chodził do pracy, nawet jak zachorował. Sam obsługiwał stałych klientów. Po jego śmierci sklep został zamknięty. Ktoś kupił całe wyposażenie, ale nie był zainteresowany dalszym prowadzeniem interesu. Teraz sprzedają tam jakieś bibeloty.

Doktor Stolz podniósł wzrok na Maggie.

– Co pani myśli, O’Dell?

– To nie jest cięcie chirurgiczne, bo musiało zostać wykonane po śmierci, zgoda?

– Zgoda.

– Czy w czasie pogrzebu trumna była otwarta? – Spojrzała na szeryfa, a ten skinął głową. – Więc to nastąpiło po pogrzebie.

– Ktoś go wykopał z grobu? – Sądząc po minie, Watermeier nie miał ochoty o tym myśleć.

– Kiedy i jak to zrobili? – spytał z kolei Stolz. – Niełatwo otworzyć zamkniętą kryptę.

– Nie wszystkie trumny są kładzione do krypty – wtrącił Bonzado. – Zależy czy rodzina ma ochotę na dodatkowy

wydatek. Jeśli mnie pamięć nie myli, to jakieś siedemset do tysiąca dolarów.

– Istnieje inna możliwość – oznajmiła Maggie. – Ciało mogło zostać wyjęte z trumny, zanim ją zakopano.

– Ktoś miałby ukraść zwłoki z domu pogrzebowego? – Bonzado wstał i otrzepał kolana.

Jego strój był doprawdy ekscentryczny jak na antropologa kryminalnego, do tego profesora. Choć z drugiej strony może całkiem odpowiedni dla profesora oryginała o atletycznych, opalonych nogach. Przyłapawszy się na tym, że patrzy na nie z przyjemnością, Maggie spostrzegła przy okazji, że kolana Bonzado pokrywa pył w kolorze rdzy, a jakieś zielsko przyczepiło mu się do skarpetek. Pomyślała, że trzeba sprawdzić, czy na ubraniu zmarłego są podobne ślady.

– Jeżeli ktoś miał tam dostęp, mógł zamienić ciała – odparła, oglądając z bliska garnitur z niskogatunkowej wełny, wilgotny i lepki prawdopodobnie od płynu do balsamowania.

Była więcej niż przekonana, że czaszka została przecięta po zabalsamowaniu i przygotowaniach do pochówku. Nie ma takiej możliwości, żeby ukryć przeciekający płyn do balsamowania, jeżeli zmarły leży w otwartej trumnie. Patrząc z bliska na granatowy garnitur, nie widziała na nim śladu zielska ani rdzawego pyłu, a zatem cięcie zostało wykonane gdzie indziej. Swoją drogą, poza plamami z płynu do balsamowania garnitur był czysty.

– Pomagałem nieść trumnę – powtórzył Watermeier cichym i jakby odległym głosem. – Była ciężka. Musiał być w środku. – Pocierał skronie, ale nie jak człowiek w głębokim namyśle. Przyciskał rękę mocno aż do bólu, jakby pragnął wymazać obraz, który miał przed oczami.

– Mówię tylko, że musimy wziąć pod uwagę rozmaite możliwości – rzekła Maggie. – W każdym razie na pewno należy sprawdzić, kto miał dostęp do trumny i do grobu. Może garnitur Steve'a Earlmana powie nam coś więcej. – Podniosła wzrok i zobaczyła, że Stolz na nią patrzy. Zignorowała sceptycyzm, a nawet ślad podejrzenia w jego oczach. Nie minęła jeszcze godzina od rozpoczęcia śledztwa, a koroner już uznał ją za intruza. Nieważne. Była do tego przyzwyczajona. – Ubrania, w które pracownicy kostnicy ubierają zmarłych, zazwyczaj są czyste, prawda? – ciągnęła. – Na ubraniu nie powinno więc być niczego poza tym, z czym miało kontakt w kostnicy albo potem, w kaplicy.

Stolz tylko przytaknął.

– Więc może znajdziemy coś na ubraniu, na przykład włos mordercy. Nie mógł tego zrobić, nie dotykając zwłok.

– Włożył wiele trudu, żeby wyjąć mózg. Może sprzedaje narządy ludzkie szkołom medycznym – zasugerowała studentka, pomagając Carlowi zbierać dowody, które wylały się z beczki. Dziewczyna była przesadnie chętna do pomocy, trzymała otwartą plastikową torebkę, do której Carl wrzucał coś szczypcami.

Maggie była pod wrażeniem, bo Carl trzymał już w drugiej ręce dwie torebki. Jedna zawierała kosmyk włosów albo futra, druga mały zgnieciony kawałek białego papieru.

– Co to?

– Nie jestem pewien. – Carl podał Maggie torebkę. – To nie jest notatka, jeśli miała pani taką nadzieję. To nie jest nawet papier do pisania.

Uniosła torebkę i obejrzała dowód z bliska.

– Wygląda jak nawoskowany.

– A wracając do ważniejszych kwestii – wtrącił Stolz. – Na przykład jak brakujący mózg. Seryjni mordercy często zabierają coś, co należało do ofiary, ubranie, biżuterię, nawet części ciała. – Przeniósł spojrzenie z Bonzado na Carla, potem na Watermeiera i wreszcie na Maggie. – Jako trofeum, prawda?

– Tak, seryjni mordercy tak robią. Ale tu jest pewien mały szkopuł. – Zaczekała, aż wszyscy skupią na niej uwagę. – Pan Earlman nie został zamordowany.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Adam Bonzado pomagał Simonowi nieść torby z kanapkami i wodą sodową, nie spuszczając wzroku ze swojego studenta. Ramonę i Joego dosłownie pochłonął jego projekt, za to Simon... Cóż, trudno powiedzieć. Jego blada ziemista cera i ciche zachowanie nie były niczym wyjątkowym. Kiedy więc zgłosił się na ochotnika, że pójdzie po lunch, Adam nie widział w tym nic dziwnego. Simon był zawsze pierwszy, kiedy trzeba było coś załatwić.

Torowali sobie drogę przez rosnący tłum reporterów i kamer. Trotter i patrol stanowy pilnowali, żeby dziennikarze nie przekraczali żółtej taśmy, ale to oczywiście nie powstrzymało gradu pytań.

– Profesorze, Jennifer Carpenter z WVXB Channel 1. Kiedy dostaniemy oficjalne oświadczenie?

Adam poznał atrakcyjną blondynkę w okularach.

– Nie ja tu dowodzę, panno Carpenter. Musi pani spytać szeryfa Watermeiera.

– Już go pytałam. Co znaleźliście? Dlaczego to ukrywacie?

– Niczego nie ukrywamy – odparł Adam. Kiedy blondynka zdjęła okulary, dotarło do niego, że kamera poszła w ruch. Jezu, tylko tego mu trzeba. Nie mógł trzymać gęby na kłódkę? – Na razie próbujemy ocenić sytuację. Z całą pewnością, jak tylko będzie to możliwe, powiemy państwu, co się dzieje.

Odwrócił się do nich plecami i pospieszył do kamieniołomu. Simon czekał na niego za drzewami.

– Hieny – rzucił Adam z nadzieją, że wywoła uśmiech na twarzy studenta.

– Pan jej się chyba podoba.

Adam zerknął na młodego mężczyznę, spodziewając się, że nastąpi jakiś przemądrzały komentarz. Studenci nieustannie żartowali z jego kawalerskiego stanu. Tymczasem Simon miał poważną minę. Adam wiedział, że Simon, który dość późno trafił na jego seminarium, jest starszy od swoich kolegów z ostatniego roku.

– Tak sądzisz? Nie jestem pewien, czy ona jest w moim typie.

Co innego agentka specjalna Maggie O'Dell. Od momentu gdy zostali sobie przedstawieni, Adam myślał, że to jest właśnie kobieta, która miałaby u niego szansę. Poza tym, że dawno nie widział tak cudownych brązowych oczu i że w granatowym uniformie FBI wyglądała jednocześnie oficjalnie i atrakcyjnie, agentka O'Dell była inteligentna. A tylko taka kobieta mogłaby skraść mu serce. Zainteresował się nią do tego stopnia, że starał się sprawdzić, czy nosi obrączkę. Coś takiego już dawno mu się nie przytrafiło.

Zdaniem jego matki ten okres trwał nienormalnie długo.

– Dla młodego mężczyzny to bardzo niedobra sytuacja – powtarzała przy każdej okazji. Gdy zabrakło Kate, Adam wybrał samotność. A może to samotność wybrała jego, bo niby jak miałby wypełnić pustkę, którą Kate po sobie

zostawiła? Kiedy utonęła, czuł się tak, jakby wciągnęła go ze sobą na dno. W dalszym ciągu, gdy o niej myślał, pamiętał i czuł jej zimne, pozbawione życia ciało. Oraz te wszystkie ręce, które go odciągały, gdy bez końca naciskał jej klatkę piersiową i sztucznym oddychaniem próbował przez sine wargi na powrót wtłoczyć w nią życie.

Wtem zdał sobie sprawę, że Simon mu się przygląda.

– W porządku, profesorze?

– W porządku. – Odwrócił się w stronę drogi, udawał, że coś przyciągnęło jego uwagę, a potem sobie uświadomił, że o czymś zapomniał. – O której masz być w pracy?

Simon zerknął na zegarek.

– Po południu.

– Masz jeszcze moje kluczyki?

– Taa, przepraszam. – Simon przełożył torebki z kanapkami do jednej ręki, a drugą włożył do kieszeni dżinsów.

– Mógłbyś wrócić do samochodu? Mam tam łom, który może nam pomóc przy otwieraniu beczek. Mógłbyś go przynieść?

– Jasne, tak. – Simon wyciągnął do Adama torebki z kanapkami. – Leży pod siedzeniem?

– Rzuciłem go za siedzenia, ale dam głowę, że poleciał na sam tył, kiedy ładowaliśmy rzeczy.

Simon ruszył w drogę powrotną. Adam nabrał głęboko powietrza. Miał nadzieję, że znikną mu sprzed oczu obrazy Kate. Sądził, że pogrzebał je dawno temu. Henry machał do

niego, spotkali się w połowie drogi. Szeryf uratował przed upadkiem na ziemię torebki z jedzeniem.

– Hej tam wszyscy, lunch! – zawołał.

Pracownicy odłożyli narzędzia i schowali dowody w specjalnych pojemnikach. Zebrali się, jakby nie było nic nadzwyczajnego w jedzeniu kanapek i popijaniu coli w samym środku kamieniołomu, w otoczeniu beczek z gnijącymi zwłokami.

– Gdzie pan je kupił? – spytała agentka O'Dell, rozwijając kanapkę.

– W sklepie Vinny.

– Vinny ma najlepsze kanapki w Connecticut – poinformował Henry.

Adam mógłby iść o zakład, skąd to pytanie agentki O'Dell. Nie chodziło jej o to, że kanapki wyglądały apetycznie. Zaintrygował ją biały papier, w który były zapakowane. Tylko dlaczego?

– Wygląda tak samo jak skrawek papieru, który znalazł pan na marynarce Earlmana – powiedziała do Carla.

– Chyba ma pani rację.

– O czym wy znów mówicie? – zdenerwował się Henry.

– Ten biały, woskowany papier. – Po jej słowach Adam też sobie przypomniał. – Znaleźliśmy taki w beczce Earlmana.

– Mnóstwo ludzi tego używa, O'Dell.

– Nie sądzę, szeryfie. Nigdy nie widziałam takiego papieru na półkach w sklepie. Założę się, że to coś specjalnego.

– Więc co chce pani przez to powiedzieć? Że morderca rżnął ofiary piłą i zagryzał kanapką?

Adam nie wiedział, czy Henry podnosi głos, bo jest już tak wyczerpany sprawą, czy też może jesienne słońce zmęczyło starzejącego się szeryfa. Czy wychodzi z niego tłumiona panika? Lęk, że ta sprawa go przerasta? Lęk przed niewidzialnym mordercą, zbrodniczym czubkiem, który nie wiadomo jak długo zabija ludzi i chowa ich w beczkach? Do tej pory Henry zachowywał wręcz przesadny spokój, lecz z jakiegoś powodu to się zmieniło.

Tak czy inaczej, szeryf oczekiwał odpowiedzi. Stanął nad O'Dell, lecz nie zastraszył jej potężną posturą. Maggie oderwała kawałek białego papieru i schowała go do kieszeni. Pozostali przyglądali się temu w bezruchu, jakby potrzebowali pozwolenia, by kontynuować lunch. Adam nie rozumiał, dlaczego nagle Henry traktuje agentkę O'Dell tak nieuprzejmie. W końcu sam ją zaprosił.

– Uważa pani, że to coś ważnego? – spytał w końcu szeryf prawie normalnym tonem. Pewnie dotarło do niego, że łatwo nie wyprowadzi jej z równowagi.

– Kiedy morderca używa czegoś niecodziennego, zazwyczaj jest to po prostu rzecz, którą ma pod ręką. Dla pana może to być ślad, który doprowadzi do celu.

– Kawałek papieru?

– Czasem do mordercy doprowadza nas najbardziej banalny drobiazg. Coś, czemu odmawiamy znaczenia. Seryjny morderca John Joubert posługiwał się dziwnym sznurem. Zdaje się, robionym w Korei, więc raczej nie znajdzie pan tego w każdym domu. Wiązał tym sznurem swoje młode ofiary. Kiedy go zaaresztowano, znaleziono

taki sznur w jego bagażniku. Miał do niego dostęp jako drużynowy skautów. I nigdy nie przyszło mu do głowy, że akurat ten sznur na niego wskaże. Więc przypuszczam, że nasz morderca ma nieograniczony dostęp do tego białego papieru.

– No dobra. – Henry wcale nie był przekonany. – Ale do czego go używa, co?

– Muszę zobaczyć więcej ofiar, ale w tej chwili zgaduję... – O’Dell zawahała się, rozejrzała, jakby nie była pewna, czy powinna dzielić się swoją opinią. – Przypuszczam, że coś w niego pakuje. Prowizorycznie, tymczasowo.

– Coś! – burknął zniecierpliwiony Henry, jakby ją beształ.

– Tak, coś, na przykład mózg Earlmana.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Maggie przyjęła od szeryfa butelkę dietetycznej coli. Wolała dietetyczną pepsi, ale rozumiała, że to taki pokojowy gest. Kiedy skończyli lunch, Watermeier usiadł obok niej na głazie.

– Jak skończymy po południu, muszę coś podrzucić tym piraniom z mediów. – Uśmiechnął się, zadowolony z własnego porównania. – Stolz mówi, że potem zrobi autopsję tej kobiety, którą znaleźliśmy wczoraj. Jak to się ma do pani planów?

– Świetnie, bardzo proszę.

Siedział dalej w milczeniu. Maggie zastanawiała się, czy ma jej jeszcze coś do powiedzenia.

– Pięknie tu, prawda?

Spojrzała na niego zdziwiona. Nie takich słów oczekiwała od szorstkiego twardziela, byłego nowojorskiego policjanta, który został prowincjonalnym szeryfem.

Powiodła za nim wzrokiem, po raz pierwszy od chwili przybycia przyjrzała się okolicy. Wokół panowała nadzwyczajna cisza. Drzewa nadal szczyciły się gęstwiną pomarańczowych i żółtych liści, a płomiennie czerwona winorośl oplatała pnie. Niebo z kolei niebieściło się jak na widokówkach. Sięgająca kolan trawa nakrapiana była maleńkimi żółtymi kwiatami.

– Tak – przyznała. – Pięknie.

– Wszyscy gotowi? – Watermeier przerwał ciszę i wstał gwałtownie, jakby musiał znowu zapanować nad sytuacją.

Bonzado i jego studenci przynieśli właśnie kolejną popękaną beczkę. Tym razem nawet Maggie zasłoniła nos kurtką, bo smród był wszechogarniający, a ledwie tknęli beczkę lewarkiem, stał się wprost nie do zniesienia. Mimo wysiłków Bonzado pokrywa beczki poddawała się opornie, poskrzypywała przy tym, co przypominało otwieranie próżniowo zamkniętej puszki z kawą.

– O rany, ten już dojrzał – rzekł profesor. Zacisnął dłonie na łomie i otarł twarz koszulą, na moment pokazując twardy jak skała brzuch. Maggie odwróciła wzrok, zdając sobie sprawę, że po raz drugi w ciągu paru godzin zwraca uwagę na tego faceta.

Reszta osób trwała w oczekiwaniu. Brakowało ochotników, żeby wymienić profesora. Nie zareagował żaden z jego studentów. Joe stał w bezpiecznej odległości, Ramona, pomimo zainteresowania, też zachowała dystans. Najstarszy z nich, Simon, tkwił w milczeniu, niemal sztywny, z rydlem w jednej ręce i aparatem fotograficznym w drugiej, ale z żadnego z tych przedmiotów nie zrobił użytku. Wydawał się zaszokowany, a może przytłoczony. Albo tak działał ten smród.

– Może przeciąć beczkę? – zaproponował Watermeier.

– Ale czym? – Stolz potarł czoło, które uparcie błyszczało od potu. – Każde narzędzie może zanieczyścić zawartość. Zajrzyjmy przynajmniej do tych beczek, zobaczmy, co jest w środku, zanim je gdzieś przewieziemy. Nie chciałbym,

żeby nagle trafiło do mojego laboratorium dwanaście beczek śmieci, Henry. Okej? Możemy zobaczyć, co w nich jest? Wiem, że to zabiera czas, i wiem, że to potwornie upierdliwe.

– Rób, co chcesz. To twoja działka.

– Nigdy nie powiedziałem... – Stolz urwał, kiedy chmara czarnych much wyleciała przez małą dziurę w beczce. – Co do diabła?

– O kurwa! – Watermeier cofnął się o krok.

Bonzado wahał się przez sekundę, potem uderzył w wieko.

– Powinniśmy złapać kilka z nich, co? – Spojrzał na Maggie, a potem na Carla, który już szukał pojemnika. – Ramona i Simon, pomożecie?

Dziewczyna dosłownie doskoczyła do Carla, za to Simon stał wciąż na boku, jakby nie słyszał profesora.

– Simon?

– Taa, okej. – Odłożył aparat fotograficzny i rydel tak powoli, jak na filmie puszczonym w zwolnionym tempie.

Maggie pomyślała, że Bonzado chyba zbyt wiele oczekuje od swoich studentów. Wyobrażali sobie, że będą badać czyste, pozbawione ciała kości w sterylnych, ciepłych i suchych laboratoriach.

Bonzado powtórnie podważył wieko, a Carl i Ramona złapali w prowizoryczną siatkę kilka much, które strzepnęli do pojemnika trzymanego przez Simona. Ten zaś, zakręciwszy pojemnik, natychmiast wrócił do swojej poprzedniej postawy, z rydlem w jednej i aparatem fotograficznym w drugiej ręce.

Teraz Bonzado ruszył pełną parą i wieko spadło na ziemię. Wyleciało jeszcze więcej much i zapach, kwaśny gryzący smród jak ze zgniłych jaj. Maggie zobaczyła, że Joe i jeden z zastępców Henry'ego wycofują się szybkim krokiem. Joe nie dotarł nawet do drzew i zaczął wymiotować. Odrzuciło nawet Carla i Watermeiera, który zakrył nos kapeluszem.

– Cholerne pieprzone gówno – rzucił szeryf stłumionym przez filc głosem.

Maggie weszła na skały i z tej odległości usiłowała zajrzeć do beczki.

– Czy ktoś ma latarkę?

Bonzado rzucił na bok łom i grzebał w skrzynce z narzędziami. Maggie odniosła nieodparte wrażenie, że chciał uspokoić nerwy. Kiedy wyciągnął do niej rękę z miniaturową latarką, uświadomiła sobie, że jednak niczego nie ukrywał. Patrzył jej prosto w oczy, a jego ręka ani drgnęła.

– Jak się tam, do diabła, dostały muchy? – spytał Watermeier. – Beczka była zamknięta na amen. Przecisnęły się przez pęknięcie?

– Kto wie – rzekła Maggie. – Albo zwłoki przez jakiś czas nie były schowane i natura zrobiła swoje, dopiero potem wciśnięto je do beczki. – Zaświeciła latarką, ale widziała tylko plamy światła. Kołyszące się nad ich głowami gałęzie tworzyły tańczące cienie, i wyglądało, jakby to w beczce coś się poruszało.

– Przecież nie mogły tam przeżyć tak długo – upierał się Watermeier.

– Mogły złożyć jaja – odparła Maggie skupiona na świetle, które wyłaniało z ciemności fragmenty podartego materiału, strzęp włosów, może but.

– Muchy plujki są bardzo szybkie, sprawne i skuteczne – wtrącił Bonzado. – Wyczują krew z odległości pięciu kilometrów i zajmą ciało, nim jeszcze ostygnie, czasami nim nastąpi zgon.

Maggie potoczyła wzrokiem po twarzach obecnych. Zniknęła z nich bladość, nikt nie krzywił się na makabryczne szczegóły opisu profesora.

– To będzie prawdziwy horror – oznajmił Bonzado. Za pomocą drugiej latarki zajrzał do beczki. – Spora część ciała odeszła.

– Cudownie – rzekł Stolz i narzucił kurtkę, bo ni stąd, ni zowąd zaczęło wiać. Nalegał, żeby otworzyli beczki, ale sam nie próbował zaglądać do środka. – Wyładujmy ją.

– Ciekawe – rzekł Bonzado, wciąż oglądając makabryczną zawartość beczki. – Ciało ułożone jest plecami do góry, tak mi się zdaje. Na skórze widać dziwny wzór.

– To znaczy tatuaż? – zainteresował się koroner, a Maggie popatrzyła z bliska.

Bonzado pokazał im latarką jaskrawoczerwone pręgi, skrzyżowane na plecach, a w każdym razie na tym, co pozostało z pleców. Muchy wyżarły już całe płaty skóry, choć Maggie zgadywała, że większą ucztę urządziły sobie po drugiej stronie, zaczynając od miejsc, gdzie była wilgoć.

– To stężenie pośmiertne – orzekł Stolz obojętnym tonem. – Ona... albo on zmarł, leżąc na czymś, co odcisnęło się na

plecach. Cała krew osiada. Jezu, ależ to śmierdzi. – Odsunął się, kręcąc głową. – Henry, zakończmy na dzisiaj. Muszę wracać do laboratorium i wziąć się do autopsji.

– A co z tą? – Henry wskazał na wgniecioną beczkę, która leżała z boku.

Maggie nie wiedziała, co w niej jest. Otworzyli ją przed jej przyjazdem.

– Daj ją Bonzado. – Koroner machnął ręką nad głową i ruszył w kierunku drogi. – Tam są same kości.

Maggie zapięła kurtkę, bo poczuła chłód. Słońce zaczęło opadać za wzgórze, choć wydawało się, że jest jeszcze dosyć wcześnie. Bonzado ze studentami przygotowywał beczkę do transportu. Henry pokazał im między drzewami drogę gruntową, którą podjeżdżały samochody. W tym właśnie momencie Maggie zauważyła, że coś wystaje spod zrzuconej pokrywy beczki i powiewa na wietrze.

– Carl – zawołała. – Spójrz tutaj.

Technik przykucnął obok niej.

– Niech mnie kule biją. – Wyjął szczypce i torebkę na dowody i ostrożnie pociągnął biały papier, gdy Maggie uniosła nieco pokrywę.

To był ten sam biały, woskowany papier.

Wówczas Maggie poczuła szturchańca. Kiedy się odwróciła, zobaczyła teriera, który zamierzał polizać jej rękę.

– ? propos zakopywania – rzekł Carl. – Jeśli Watermeier jeszcze raz zobaczy tu tego psa…

– Niech to szlag, Racine!

– Za późno.

– Co ja ci mówiłem, Racine? – Szeryf krzyczał na starego mężczyznę, który pospiesznie zmykał ścieżką między drzewami. – Masz trzymać tego kundla z daleka.

– Przepraszam, szeryfie. Czasami mnie nie słucha i robi, co chce. Chodź, Scrapple.

Ale pies siedział przytulony do ręki Maggie, która drapała go za uszami.

– No to przekonaj go – ciągnął Watermeier – żeby trzymał się stąd z daleka. Nie pozwolę, by pies kradł mi dowody.

– Rozumiem, że znajdował tu kości? – Maggie popatrzyła z uśmiechem na starego mężczyznę, który z zakłopotania przestępował z nogi na nogę. Potem przypomniała sobie słowa Tully'ego, który wspominał, że detektyw Julia Racine pochodzi z tych stron. – Racine? Ma pan może córkę o imieniu Julia?

– Nie wiem – mruknął.

Maggie wstała, przekonana, że źle go zrozumiała.

– Słucham?

– Tak, Jules, nazywa się Jules – rzekł i spojrzał jej w oczy, chociaż nie przyszło mu to łatwo. Podrapał się w głowę pod czarnym beretem. – Tak, detektyw Julia Racine pracuje w... w policji w stolicy. Tak, proszę pani. To moja córka, Jules.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Luc Racine obracał pękiem kluczy, które znalazł w kieszeni. Scrapple czekał niecierpliwie i patrzył na drzwi, jakby potrafił je otworzyć wzrokiem. Luc wiedział, że terier jest przestraszony, bo kilka razy, kiedy chciał go pogłaskać, zrobił unik.

– Nie wolno ci zjadać ludzi – powtarzał psu po raz trzeci. – Nawet jeśli już nie żyją. – Teraz Scrapple go ignorował, nie nadstawił ucha, nie drgnął, nie dał żadnego znaku, że go słucha. Wciąż siedział ze wzrokiem wbitym w drzwi.

Luc postanowił mu to wynagrodzić, na pewno wyszpera coś w lodówce prócz kwaśnego mleka. Przejrzał ponownie klucze. Dawniej automatycznie, bez chwili namysłu wybierał właściwy, jednak ostatnio otwarcie drzwi do domu wymagało umiejętności logicznego myślenia, a przynajmniej tyle, ile mu z tej zdolności pozostało.

I raptem sobie przypomniał, jakby doznał objawienia. Nacisnął klamkę i rozciągnął wargi w uśmiechu. Przestał zamykać drzwi na zamek z obawy, że któregoś dnia, wychodząc z domu, zapomni zabrać klucze. Ogarnęła go wielka ulga, tak wielka, aż poczuł chłód. Tak teraz reagował, najpierw zdumienie i rozczarowanie, a potem ulga, że umysł wciąż z nim współpracuje.

Utrata pamięci nie byłaby taka zła, gdyby nie zdawał sobie z niej sprawy. To właśnie było najgorsze. Mordował

się ze sznurówkami, wiązał beznadziejne supły i cały czas towarzyszyła temu świadomość, że niegdyś robił to bez jednej myśli, nie wspominając już o trudzie.

Sznurowanie butów. Czy to takie skomplikowane? Dość łatwe dla pięciolatka. Tymczasem Luc Racine nosił teraz miękkie buty bez sznurówek.

Ale jakże mógł zapomnieć imię Jules? To niewybaczalne. Wyobrażał sobie, co Julia by na to powiedziała. „Nigdy nie zapominasz imienia tego pieprzonego psa, ale nie możesz zapamiętać, jak ma na imię twoja córka”.

W domu panował ziąb, jakby okno było otwarte. Lato zdecydowanie się kończyło. Nie musiał nawet widzieć płonących czerwienią dębów. Czuł koniec lata w wieczornym powietrzu, słyszał zapowiedź jesieni po zmierzchu w cykaniu świerszczy.

Przystanął na środku pokoju i powoli powiódł wzrokiem dokoła. Coś mu nie pasowało. Było jakoś inaczej niż poprzedniego wieczoru, kiedy niczego nie poznawał. Tak, coś zmieniło miejsce. Oblał się zimnym potem. Kiedy wracał z kamieniołomu, wstrząsały nim identyczne dreszcze. Szedł ścieżką i patrzył pod nogi, by nie potknąć się o wystające kamienie schowane w wysokiej trawie. Całą drogę miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Nie Watermeier ani żaden z jego ludzi, którzy sprawdzali, czy Luc sobie poszedł. Ktoś inny go śledził. Luc słyszał trzask gałęzi za plecami. Scrapple też słyszał, raz nawet warknął, a później podwinął pod siebie ogon, położył uszy i pobiegł do domu. Nie czekał na Luca, kundel jeden, zwolnił tylko po to, żeby w razie

zagrożenia Luc go obronił. Było w tym coś dziwnego. Odwrotnie niż trzeba. Czy instynkt nie każe psu bronić swojego pana?

Luc szukał w pokoju śladów cudzej obecności. Wyjrzał przez okno, czy nikt nie kryje się między drzewami. Uspokajał go jedynie Scrapple, który wyraźnie zadowolony legł na ulubionym dywaniku. Luc podszedł szybkim krokiem do drzwi, zamknął zasuwę, potem upewnił się, że drzwi kuchenne są dobrze zamknięte. Pewnie coś sobie uroił, choć nie pamiętał, by napotkał gdzieś informację, że jego choroba powoduje halucynacje albo paranoję. Ale jak miał pamiętać, jeżeli zapomniał imienia swojej córki?

Pokręcił głową, bardzo z siebie niezadowolony. Otworzył lodówkę, by sprawdzić mizerne szanse na kolację. W końcu musi tam znaleźć cokolwiek, co mogliby zjeść, on i Scrapple. Jego wzrok padł na górną półkę.

I ponownie ogarnęła go panika. Co, do diaska? Spokój, powiedział sobie. To nic. Nic. Nic, tylko jego głupie roztargnienie. Zabrał pilota do telewizora z górnej półki lodówki.

– Szukałem tego po całym domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Henry oznajmił O’Dell, że może mu towarzyszyć w kostnicy. Pewnie pomyślała, że jest taki uprzejmy, on zaś pragnął tylko mieć ją obok, wychodząc z kamieniołomu, kiedy zaatakują te piranie z mediów. Wiedział już, że nie ma co liczyć na Stolza. Koroner miał alergię na dziennikarzy i dawno temu zniknął.

– Przychodzi pani do głowy, na podstawie tego, co pani widziała, kogo powinienem szukać? Proszę mi tylko oszczędzić elementarza: biały mężczyzna, lat dwadzieścia kilka, samotnik, matka źle go traktowała i teraz nie potrafi nawiązać normalnych kontaktów z kobietami, więc jest wobec nich agresywny.

– Jak ma się okaleczenie Earlmana do tej charakterystyki?

Cholera! Zapomniał o Stevie, nawet nie chciał myśleć o biednym Stevie.

– Okej, okej. Zatem posłuchajmy pani wstępnych wniosków.

– Za wcześnie na dokładny portret, poza tym, że prawdopodobnie to rzeczywiście biały mężczyzna po dwudziestce, może tuż po trzydziestce. Jeździ terenówką albo pikapem, w każdym razie ma do nich dostęp. Prawdopodobnie mieszka sam za miastem, jakieś siedemdziesiąt kilometrów od kamieniołomu.

Henry spojrzał na nią z góry, nie okazując zaskoczenia.

– Wiele mówi o nim wybór miejsca, gdzie zakopał ciała – ciągnęła nieproszona. – Zazwyczaj seryjni mordercy zostawiają swoje ofiary na widoku, niektórzy nawet robią z tego przedstawienie, chwalą się swoim dziełem. To należy do rytuału. Są tacy, których podnieca widok ludzi zaszokowanych zbrodnią, jednak ten bardzo się napracował, żeby ukryć ciała. Nie chciał, żeby je znaleziono. Być może nawet jest w pewnym stopniu zawstydzony. Zgaduję, że to człowiek cierpiący na paranoję urojeniową, co znaczy, że teraz, kiedy odkryliśmy jego cmentarz, poczuje się przez nas zagrożony. Pomyśli, że chcemy go złapać, a to może go pchnąć do nieracjonalnych czynów.

– Innymi słowy, noga mu się powinie i go schwytamy?

– Może spanikować i zabić kogoś, kto według niego mu zagraża. Możliwe więc, że noga mu się powinie i zostawi ślad, który nas do niego doprowadzi. Tylko że ktoś przedtem straci życie.

– Nie to chciałem usłyszeć, O’Dell. – Henry żałował, że w ogóle pytał. Gubernator już siedział mu na karku. Co to będzie, do diabła, jak ten szaleniec znowu zacznie zabijać? Jezu! Nie pomyślał o tym.

Kiedy dotarli do drogi, Henry spostrzegł, że przyjechał patrol stanowy, dwóch nowych policjantów, którzy mieli zmienić Trottera i pilnować terenu w nocy. Randal Graham, ten szczur od gubernatora, proponował mu miejscową Gwardię Narodową. Henry pomyślał tylko o panice, w jaką

wpadną mieszkańcy, gdy zobaczą pieprzoną Gwardię. A i tak atmosfera nie była najlepsza.

– Szeryfie Watermeier.

Te kundle z mediów zaatakowały ogniem pytań, gdy tylko wyszedł z O'Dell z kamieniołomu.

– Co się dzieje?

– Ile ciał znaleziono?

– Czy to prawda, że w okolicy grasuje seryjny morderca?

– Kiedy poznamy nazwiska ofiar?

– Jak długo to trwało?

– Chwila. – Watermeier uniósł jedną rękę, a drugą zatrzymał O'Dell. Obrzuciła go spojrzeniem, w którym widniało zdumienie i irytacja, co wystarczyło, by zrozumiał, że tego nie miała w planie. Ale jego wcale nie obchodziły jej plany. Jedynym zmartwieniem szeryfa było, żeby doczekać emerytury pośród ludzi, którzy darzą go szacunkiem. Lepiej więc, by ci ludzie myśleli, że robi wszystko, co zapewni im bezpieczeństwo.

– Nie mogę podać żadnych szczegółów, poza tym, że mamy dwustupięćdziesięciolitrowe szczelnie zamknięte beczki zakopane pod kamieniami – oznajmił powoli, żeby nie dać nikomu pretekstu do przekręcenia jego słów. – W niektórych z tych beczek znajdują się zwłoki. Tyle mogę powiedzieć w tej chwili. W każdym razie panujemy nad sytuacją. Mamy ekspertów, którzy zbierają dowody i mamy...

– Ale co z mordercą, szeryfie? – krzyknął ktoś z tłumu, wchodząc mu w słowo. – Tutaj grasuje seryjny morderca.

Co pan robi w tej sprawie?

Jezu! Te dupki uparły się, żeby wzniecić panikę. Henry wciągnął kapelusz na oczy, jakby chciał zasłonić się przed kolejnymi ciosami i dać piraniom do zrozumienia, że nie wmanewrują go w swoją histerię.

– Pracujemy nad tym – skłamał. To był dopiero drugi dzień. Jak, do cholery, miał już dysponować listą podejrzanych? – Dlatego jest z nami agentka specjalna Maggie O'Dell. – Pchnął ją lekko naprzód. – Jest psychologiem kryminalnym z FBI, pracuje w Quantico, w Wirginii. Specjalizuje się w rozpracowywaniu takich gości. Sami widzicie, że mamy w naszym zespole samych najlepszych. To wszystko.

Chwycił O'Dell za rękę i wyprowadził ją z tłumu. Trotter torował im drogę.

– Ma pan jakichś podejrzanych, szeryfie?

– Kiedy dostaniemy więcej danych?

– To wszystko, moi drodzy. To wszystko na dzisiaj. – Szeryf machnął ręką i brnął naprzód, odsuwając na bok kamerzystów, którzy trwali uparcie w miejscu.

Gdy tylko zdołali przejść przez drogę, O'Dell wyrwała rękę z uścisku Watermeiera i bez słowa pomaszerowała do swojego forda escorta. Szeryf ani trochę nie przejął się, że ją zdenerwował. Jutro pewnie już jej tu nie będzie, myślał. Chciała przecież jedynie znaleźć tę zaginioną kobietę, a było więcej niż prawdopodobne, że zaginiona czeka na nich w kostnicy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Doktor Stolz rozsunął zamek błyskawiczny worka ze zwłokami. Maggie włożyła rękawiczki i czekała. Autopsja nie była dla niej niczym nowym. Wykształcenie z zakresu medycyny oraz medycyny sądowej przygotowało ją do wszechstronnych działań, od właściwego ułożenia zwłok począwszy, przez pobieranie płynów ustrojowych, a kończąc na ważeniu organów. A przy tym wiedziała także, kiedy trzymać się z boku, i teraz właśnie nastąpił taki moment. Doktor Stolz dał to jasno do zrozumienia. Stała zatem obok szeryfa, wciąż na niego zła, że ją tak niemile zaskoczył. Poza tym pragnęła jak najszybciej stąd wyjechać.

Starała się zachować cierpliwość, choć złość ją roznosiła, a poza tym bardzo chciała pomóc przy oczyszczaniu rany na piersi denatki, żeby mogli dokładnie zobaczyć rodzaj cięcia i ślady narzędzia. Niewykluczone zresztą, że było ich wiele.

Stolz znakomicie wyczuwał niepokój Maggie.

– Rana na piersi nie była śmiertelna. Tyle mogę powiedzieć na podstawie wstępnego badania. – Zaczął rozdzielać na boki splątane długie włosy, rękami w rękawiczkach ostrożnie odsuwał zakrwawione kosmyki, pod którymi pokazała się spora rana w kształcie półksiężyca z boku głowy ofiary. – Założę się, że to ją na dobre wykończyło.

– W okolicy klatki piersiowej jest strasznie dużo krwi – wtrąciła Maggie, uważając, żeby zbyt ostro nie kontrować opinii lekarza. – Jest pan pewien, że nie została tylko ogłuszona uderzeniem w głowę?

Stolz spojrzał na Watermeiera i ściągnął wąskie wargi, pokazując, że z rozmysłem wstrzymuje się od odpowiedzi. Potem zaczął myć gąbką klatkę piersiową zmarłej.

– Gdyby zaczął ją ciąć zaraz po śmiertelnym ciosie, mielibyśmy tu w dalszym ciągu wiadra krwi. Bo ciął głęboko, może nawet do serca.

– Chwileczkę. Zdaje się, że to głębokie rany są fatalne w skutkach – rzekł Watermeier, na co Stolz głośno jęknął.

– Ale nie rany kłute. – Koroner uniósł oczyszczony fragment skóry. – Chociaż nie można powiedzieć, że to dobra robota. W każdym razie nie tak dokładna jak w przypadku Earlmana.

– A co wyjął? – spytał Watermeier, wyprzedzając Maggie.

– Pokażę wam. – Doktor Stolz jedną ręką odsłonił ranę, a drugą polał ją wodą z wąskiej rurki przymocowanej do stołu z nierdzewnej stali. – Najpierw sądziłem, że serce, ewentualnie płuca. Ci szaleńcy zazwyczaj wyciągają takie rzeczy. Ale to przeczy wszystkiemu, co dotąd widziałem.

Oczyściwszy ranę, Stolz odsunął na bok pokaleczoną skórę i zrobił krok do tyłu, żeby szeryf i Maggie mogli spojrzeć z bliska.

Watermeier otworzył szeroko oczy i podrapał się w głowę. Zbity z tropu nie rozpoznał poharatanej tkanki. Za to

Maggie poznała od razu. Wiedziała też, nie patrząc na zdjęcie, które dała jej Gwen, że to nie jest Joan Begley.

– Nie rozumiem – przyznał w końcu szeryf, przenosząc wzrok z Maggie na koronera i zdając sobie sprawę, że jest w tym osamotniony.

– Ta kobieta chorowała na raka piersi i przeszła mastektomię – wyjaśnił Stolz. – Morderca zabrał implant piersi.

Maggie przygotowała sobie wcześniej, co powie Gwen, kiedy zatelefonuje do niej z informacją, że jej pacjentka została zamordowana. W zasadzie powinna teraz poczuć ulgę. Tymczasem z jakiegoś powodu zaczęła wpadać w panikę. Jeżeli Joan Begley żyje, to gdzież się podziewa, do diabła?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Pierwszym dźwiękiem, który Joan Begley usłyszała po przebudzeniu, było gruchanie gołębi. Tak to w każdym razie odczytywał jej przytłumiony umysł. Zdawało jej się, że pajęczyny uczepione rzęs zaklejają jej oczy, w ustach miała kompletnie sucho. Ale gruchanie gołębi przywoływało na pamięć letni poranek na farmie mlecznej babci w Wallingford w stanie Connecticut. Mruczenie i szmery rozlegające się gdzieś w oddali na zmianę to usypiały ją, to znowu budziły. Wiatr nadlatujący znad łąki i owiewający głowę pachniał zroszoną trawą. A wraz z łagodnym powiewem i czułym gruchaniem przyszło błogie zadowolenie.

Potem jakiś trzask ostatecznie wyrwał ją ze snu. Trzask, a następnie cichy niski szum budzącego się do życia silnika. Usiadła, podniosła powieki. Bolały ją ręce. Skórzane pęta wokół nadgarstków przywróciły ją do rzeczywistości, a może raczej do nocnych koszmarów.

Patrzyła na skrępowane, przywiązane do łóżka ręce, i przez ulotny moment pomyślała, że jest w szpitalu. Czyżby zabrał ją do szpitala? Pomieszczenie było słabo oświetlone, a duże okna wypełniała ciemność. Zobaczyła ściany z solidnego drewna, drewniane krokwie i okna o szybach z grubego szkła, wszystkie zamknięte. Wiatr, o którym śniła, brał się z wentylatora nad łóżkiem, szum zaś

pochodził z zamrażarki, która stała w kącie. Mimo przestrachu musiała przyznać, że to ciepłe i przytulne wnętrze, choć unosił się zapach środka dezynfekującego w połączeniu – nie do wiary – z wonią bzu.

Gdzież on ją przywiózł? I po co?

Ponownie rozejrzała się wokół. Przyćmiony wzrok zniekształcał przedmioty na półkach, wydłużał je i wprawiał w wirujący ruch, na skutek czego wyglądały, jakby wyszły spod pędzla van Gogha. Może to halucynacje? Tak, to wszystko sen, senny koszmar.

Usiłowała zagonić swój przymulony umysł do pracy. Najważniejszy jest spokój, z paniki nic dobrego nie przyjdzie. Miała wrażenie, że nie zostało jej ani grama energii. Nie mogła ulec przerażeniu i pozwolić, by jeszcze bardziej odebrało jej siły. Ostatniej nocy... a może to było przed wielu dniami? Skąd ma to wiedzieć? Odurzył ją czymś. Poprosił uprzejmym tonem, żeby wypiła butelkę jakiejś mikstury.

– To nie boli – obiecał głosem małego chłopca, który tak ją niegdyś rozczulał. – Smakuje jak syrop na kaszel.

Kiedy odmówiła, chwycił ją mocno i pchnął. Zaskoczył ją przemocą, gwałtownością i... szaleństwem. Wlał jej miksturę do gardła, chociaż wbijała paznokcie w jego ręce, kopała, krztusiła się i kasłała. Tak, oszalał, zupełnie przestał nad sobą panować. Nie poznawała go, to nie był ten Sonny, którego znała.

Wspominając tamte chwile, zalała się łzami. Dlaczego to zrobił? Dlaczego ją tu przywiózł? Jakie ma wobec niej

plany? Czy ktoś usłyszy jej krzyk, jeśli zacznie wołać o pomoc?

Po raz kolejny rozejrzała się po pokoju. Drzwi były zamknięte, nie wydostałaby się na zewnątrz, nawet gdyby uwolniła ręce z pęt. Dopiero teraz spostrzegła, że nogi ma także przywiązane skórzanymi paskami do łóżka. Nie, nie wpadnie w panikę, porozmawia z nim, tak, porozmawia. Tylko gdzie on jest? Zostawił ją? Co, na Boga, planuje? Wiedziała, że jej nie zgwałcił. O co zatem mu chodzi?

Dumając nad odpowiedzią, zaczęła baczniej przyglądać się otoczeniu. Na półkach stały rozmaitej wielkości słoiki, naczynia gliniane, pojemniki z tworzywa sztucznego, butelki i szklane gąsiory. Niedaleko łóżka znajdował się stół, a na nim podświetlone akwarium, na powierzchni wody pływały meduzy. Z drugiej strony drugi stół zastawiony był miskami zrobionymi chyba z kawałków skorup, pancerzy i muszli.

Ściany zdobiły czarno-białe fotografie chłopca z rodzicami. Nie potrafiła odgadnąć, czy chłopiec na zdjęciach to Sonny. W każdym razie to miejsce było czyimś warsztatem, pracownią albo kryjówką. Wmawiała sobie, że nie ma powodu do strachu. Może przecież porozmawiać z Sonnym. Tak, porozmawiać i spytać, czego od niej oczekuje.

Nieco uspokojona położyła się na miękkich poduszkach. Zadbał o to, żeby zapewnić jej wygody, mimo tej mikstury, którą w nią wmusił. Ale w końcu lekarstwo tylko ją uśpiło. Nie bolała po nim głowa, nie spowodowało kaca. A zatem

poczeka, bo przecież Sonny w końcu przyjdzie i będą mogli porozmawiać. Czuła, że zaczyna głębiej oddychać. Wówczas jej wzrok padł na półkę nad głową.

Aż podskoczyła na łóżku, naciągając skórzane wiązadła i wykręcając się, żeby lepiej widzieć. Chciała to zobaczyć, chociaż panicznie się bała i równocześnie coś pchało ją do ucieczki. Na półce nad jej głową leżały trzy czaszki, wpatrzone w nią pustymi oczodołami.

O Boże drogi! Dlaczego? Co to za miejsce?

Teraz zaciekawiło ją, co zawierają słoiki na półkach na przeciwległej ścianie, ale odległość była zbyt duża, by to zobaczyć. Przeniosła wzrok na przezroczyste, podświetlone od tyłu meduzy. Poza nimi akwarium było puste. Żadnych kamyków, żadnych roślin wodnych. Spojrzała uważniej. Czy prawdziwe meduzy pływają na powierzchni wody?

Wtem zauważyła, że obie meduzy mają wydrukowane liczby. Ciąg cyfr, jak jakiś numer serii czy numer identyfikacyjny.

– O mój Boże!

Nagle przypomniała sobie wizytę u chirurga plastycznego i już wiedziała, co pływa w akwarium. To wcale nie były meduzy. To były implanty piersi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Doktor Stolz nie krył niezadowolenia. Maggie dostrzegła grymas, jaki posłał w stronę Watermeiera, trzeci lub czwarty tego dnia, już straciła rachubę. Szeryf oznajmił, że musi wyjść, lecz ona może zostać w kostnicy. Przez moment sądziła, że Stolz ją wyprosi. Ale chyba mu nie wypadało. Mruknął tylko coś pod maską na temat intruzów. Maggie odniosła wrażenie, że nie dotyczyło to wyłącznie jej obecności.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, co skłoniło ją do pozostania. Jedyny powód, dla którego tu przyjechała, to ewentualne zidentyfikowanie Joan Begley. Ale skoro to nie była Joan, może liczyła jeszcze, że ofiara mordercy dostarczy jej jakichś informacji, które pomogą w poszukiwaniu pacjentki Gwen.

Stała z rękami w kieszeniach obok stołu z nierdzewnej stali i patrzyła. Nie przyszło jej to wcale łatwo, bo instynktownie wręcz rwała się do działania. Już nawet raz prawie sięgnęła po szczypce, powstrzymując się, zanim koroner to zobaczył.

Stolz pracował powoli. Powoli, co nie znaczy zbyt pedantycznie. Jego ruchy były odrobinę niedbałe, przypominał Maggie rybaka, który obdziera rybę ze skóry, zanim ją wypatroszy jednym ruchem. W jego przypadku nie chodziło o szacunek wobec śmierci, który obserwowała

zwykle u innych koronerów. Zresztą może tylko urządził dla niej przedstawienie. Początkowo zdenerwowała się, że Stolz posłuży się mniej popularną procedurą Rokitansky'ego, polegającą na tym, że wszystkie organy wewnętrzne wyjmuje się jednocześnie – w jednym bloku – zamiast metodą Virchowa, zgodnie z którą organy wyjmuje się i bada po kolei.

Patrzyła na zgiętą w łokciu rękę koronera, który wycinał zygzaki dziwnym, przypominającym piłowanie ruchem, do przodu i do tyłu. Potem odetchnęła, bo dłonią w rękawiczce sięgnął do środka i wyjął płuca. Najpierw prawe, które rzucił na wagę i po chwili krzyknął do dyktafonu: „Prawe płuco, 680 gramów". Wrzucił je do pojemnika z formaliną i wyciągnął lewe. „Lewe płuco, 510 gramów. Oba różowe".

Maggie nie zgadzała się z nim. Chciała dodać, że lewe płuco nie jest tak różowe jak prawe, a jednak milczała. Wyciągając implanty piersi, morderca nawet nie dotknął płuc nożem. Nie były one także na tyle przebarwione, by stwierdzić, że kobieta paliła papierosy. Ciemniejszy róż lewego płuca mógł jedynie sugerować, że większą część życia spędziła w dużym mieście.

Doktor Stolz wziął z tacy igłę i strzykawkę, obejrzał je, wymienił igłę na większą, potem wbił ją w serce i pobrał krew. Serce niewątpliwie zostało przebite przez mordercę. Maggie widziała cięcie obok miejsca, z którego Stolz pobierał krew. Zadowolony koroner podpisał próbkę i odłożył strzykawkę, ale nie wyjął serca, tylko od razu przeszedł do żołądka.

Maggie nie dała mu odczuć, że jest zirytowana. W porządku, każdy robi po swojemu. Swoją drogą, uważała żołądek za jeden z najbardziej niewiarygodnych i tajemniczych ludzkich organów, zdecydowanie najbardziej zagadkowy. Na pozór przypomina małą różową sakiewkę. Zwykle wystarcza jeden prosty ruch skalpelem, żeby go otworzyć. Stolz, mimo że dotąd postępował jak słoń w składzie porcelany, zajął się nim z zadziwiającą delikatnością. Położył go na małej tacy z nierdzewnej stali, otworzył powoli i ostrożnie, i czubkami palców odsunął na bok ściany żołądka. Potem, powracając do swojego rutynowego zachowania, chwycił czerpak ze stali i wyjął nim zawartość do małej miski.

Maggie obeszła stół, żeby lepiej widzieć. Stolz nie zwracał na nią uwagi. Był poruszony i chętny do udzielania informacji.

– Wciąż tu pełno – oznajmił. Wyjmował i mieszał treść żołądka, postukiwał metalową chochlą o miskę. – To nam chyba pozwoli najlepiej ocenić czas zgonu. Zbyt wiele ewentualnych wskazówek straciliśmy przez tę beczkę.

A więc dlatego był taki zainteresowany. W końcu miał okazję pochwalić się swoim profesjonalizmem.

– Czy to zielony pieprz? – spytała Maggie.

– Zielony pieprz, cebula, może pepperoni. Pewnie jadła pizzę. Sporo tego pozostało, co znaczy, że została zamordowana w krótkim czasie po posiłku.

– Jak pan sądzi? Ze dwie godziny? – Wiedziała, że prawie dziewięćdziesiąt pięć procent pokarmu opuszcza żołądek

w ciągu dwóch godzin od chwili konsumpcji. Nie była to jednak żelazna reguła, istnieją bowiem różne czynniki, które przyspieszają trawienie bądź je zwalniają. Do ważniejszych z nich należy stres.

– Niewiele trafiło do jelita cienkiego – rzekł z palcami zanurzonymi znowu w jamie brzusznej, badając zwój jelita. – Powiedziałbym, że mniej niż dwie godziny. Raczej godzinę z niewielkim okładem.

– Więc kolejne pytanie brzmi: może pan określić, czy pizza była mrożona, czy z restauracji?

Koroner uniósł brwi.

– Pizza? A jakie to ma znaczenie, na rany Boga?

– Jeżeli z restauracji, istnieje spora szansa, że kobieta nie zamówiła jedzenia do domu, tylko była tego wieczoru w jakimś lokalu. Może w towarzystwie. Być może uda nam się dowiedzieć, gdzie i z kim spędziła czas tuż przed morderstwem.

– Cóż, to po prostu nierealne. – Stolz pokręcił głową. – Ale – dodał, jakby przemyślał sprawę, pomieszawszy w treści żołądka czymś, co przypominało zwykły kuchenny nóż – kolory, zwłaszcza warzyw, są jaśniejsze niż w rzeczywistości, co według mojego doświadczenia wskazuje, że były świeże, a nie mrożone.

Maggie wyjęła notes i coś zapisała. Kiedy podniosła wzrok, Stolz patrzył na nią z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Patrzył ze złością, która była skierowana na Maggie, bo tylko ona pozostała w kostnicy i wystawiała jego cierpliwość na próbę.

– Pani nie mówi poważnie, co? Sądzi pani, że morderca najpierw zaprosił ją na pizzę, a potem rozwalił jej głowę i zabrał sobie implanty piersi na pamiątkę? To jakiś absurd.

– Doprawdy? A na jakiej podstawie pan tak twierdzi, doktorze Stolz? – W końcu pokazała, że jest zniecierpliwiona kwestionowaniem jej kompetencji i brakiem zaufania koronera do wiedzy innych.

– Po pierwsze taki stan rzeczy sugerowałby, że to najpewniej ktoś z miejscowych.

– A pan to wyklucza?

– Jesteśmy w samym sercu Connecticut, agentko O’Dell. Nie na wybrzeżu albo w okolicy Nowego Jorku. Ten gość, kimkolwiek jest, urządził w kamieniołomie cmentarz dla ofiar swoich chorych zabaw. Moim zdaniem on mieszka daleko stąd. Po co miałby ryzykować i grzebać zwłoki na własnym podwórku?

– A czy Richard Craft właśnie tak nie postąpił?

– Kto?

– Richard Craft, który zabił żonę i poćwiartował jej ciało siekierą do rąbania drewna. – Obserwowała, jak mina Stolza zmienia się z pewnej siebie w zakłopotaną. – Podczas śnieżycy, o ile mnie pamięć nie myli. I niedaleko swojego domu w Newtown, Newtown w Connecticut. Czy to przypadkiem nie na zachód stąd?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Lillian siedziała w milczeniu i słuchała z niedowierzaniem, jak Henry opowiada Rosie o ciałach, które znaleźli do tej pory. Rzecz jasna, mówił to w sekrecie, zdawała sobie również sprawę, że nie zdradził im wszystkiego, ponieważ obowiązuje go tajemnica służbowa. Kiedy przyszedł, był tak wyczerpany i zdenerwowany, że Rosie zaproponowała, by wcześniej zamknąć księgarnię. Lillian nie spodziewała się, że kiedykolwiek usłyszy takie słowa z ust swojej wspólniczki. Teraz siedzieli we troje i popijali kawę bezkofeinową w otoczeniu tysięcy najlepszych kryminałów, jakie wyszły drukiem. Lillian nie mogła pozbyć się wrażenia, że opowieść Henry'ego bije je wszystkie na głowę. Niech się wypchają Deaver i Cornwell, coś podobnego mógłby wymyślić tylko Stephen King albo Dean Koontz.

– Kochanie – rzekła Rosie do męża. Położyła drobną dłoń na jego potężnej ręce. – Może to ktoś, kto nigdzie nie zagrzewa miejsca i całe to zamieszanie już go od nas wygnało.

– Nie, O'Dell twierdzi, że on ma osobowość paranoiczną. Tacy ludzie z zasady trzymają się znanego miejsca. Brałem pod uwagę wszystkich, którzy mieszkają sami na naszym terenie, ale żaden z nich mi nie pasuje.

– Psycholog uważa, że on mieszka niedaleko? – Lillian sama nie wiedziała, dlaczego jej serce opuściło jeden skurcz. Może wolała myśleć o tych zdarzeniach jako o książkowej fabule, a osadzenie ich w bliskiej przestrzeni nieodwołalnie przenosiło je do rzeczywistości.

– Pewnie co dzień ogląda wiadomości i ma niesamowitą frajdę.

– Jeżeli to paranoik, Henry, to nie ma żadnej frajdy – stwierdziła Rosie. – Chyba raczej jest załamany, że odkryliście jego kryjówkę. Kto wie, może nawet jest wściekły?

Henry spojrzał na żonę ze zdumieniem, jak gdyby nie oczekiwał, że trafi w samo sedno. Ale jej opinia brzmiała po prostu rozsądnie. Nie trzeba być supernaukowcem ani Sherlockiem Holmesem, by wiedzieć, że facet będzie zdenerwowany.

Lillian spojrzała na szeryfa.

– Tak, może być bardzo zdenerwowany. I pewnie szuka winnych. Nie obawiasz się, że będzie starał się zemścić na jednym z was?

– To samo zasugerowała agentka O’Dell. – Szeryfa wcale nie ucieszyło, że komuś jeszcze przyszedł do głowy ten pomysł. – Powiedziała, że facet może wpaść w panikę, ale nie sądzę, żeby zechciał znowu ryzykować.

Lillian rozpierała radość, że doszła do tego samego wniosku co psycholog z FBI. Może jest w tym dobra. Jak widać, nieprawda, że potrzebne jest doświadczenie, jej wystarczyły przeczytane książki.

– Pewnie ta agentka powiedziała, że to samotnik, prosty człowiek, który żyje w cieniu, zajęty swoimi sprawami. – Spodobała jej się ta zabawa. Przywoływała w pamięci ulubione kryminały. – Pewnie to ktoś, kto nie zwraca na siebie uwagi – ciągnęła, a Henry i Rosie słuchali, popijając z wolna kawę. – Ale sprawia sympatyczne wrażenie. Pracuje fizycznie, jest uzdolniony manualnie i ma dostęp do rozmaitych narzędzi. I, oczywiście, jego skłonność do zabijania ma źródło w zaburzonych relacjach z matką, która niewątpliwie miała bardzo dominującą osobowość.

Teraz małżonkowie patrzyli na nią z podziwem, a może osłupieniem. Lillian wolała myśleć, że to podziw.

– Skąd tyle o nim wiesz? – spytał Henry.

Lillian myliła się co do podziwu z jego strony. Bo podziw zaprawiony był podejrzeniem.

– Czytam dużo powieści kryminalnych. I thrillerów.

– Tak, ona mnóstwo czyta – potwierdziła Rosie, jakby musiała zaręczyć za wspólniczkę.

Lillian przeniosła wzrok z Rosie na Henry’ego, który bacznie ją obserwował. Zbiło ją to nieco z tropu, rumieniec oblał jej kark. Nerwowo poprawiła okulary i zaczesała włosy za uszy. Czyżby szeryf naprawdę sądził, że ona wie coś o sprawie? O zabójcy? Czyżby podejrzewał ją, że wie, kim jest ten psychopata?

– Może ja też powinienem więcej czytać – rzekł wreszcie z uśmiechem. – Pewnie szybciej rozwiązałbym tę sprawę. Ale muszę ci powiedzieć, że przez chwilę brzmiało to tak, jakbyś opisywała kogoś, kogo dobrze znasz.

– Naprawdę? – Usiłowała dopasować swój opis do któregoś z powieściowych bohaterów. I raptem jej żołądek wykonał niespotykaną woltę. Znała kogoś, kto odpowiadał opisowi, ale to nie była postać fikcyjna. Ta charakterystyka pasowała jak ulał do Wally’ego. Do jej brata.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Maggie dotarła do Ramada Plaza Hotel dopiero późnym wieczorem. Zmęczenie całego dnia dawało o sobie znać. Bolały ją plecy, mięśnie miała zesztywniałe, oczy prosiły o sen. Zastanawiała się, czy z tego wszystkiego wyobraźnia nie płata jej figla. Bo kiedy wyjmowała bagaż na parkingu, odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się, ale nie widziała żywej duszy.

Czekając, aż załatwi ją recepcjonistka – a raczej adeptka tego zawodu, jak głosił identyfikator Cindy – myślała, co powie Gwen. Taki bogaty w wydarzenia dzień, lecz ani na krok nie zbliżył jej do odpowiedzi na pytanie, gdzie jest Joan Begley. Pewnie nadal mieszka w Ramada Plaza Hotel i po prostu ukrywa się przed ludźmi.

Maggie spojrzała na recepcjonistkę, która sprawdzała jej kartę kredytową. Zasady obowiązujące w hotelu nie zezwalały Cindy na podanie numeru pokoju Joan, zaś Maggie nie chciała zwracać na siebie uwagi ani wzbudzać alarmu, wymachując odznaką FBI. A zatem powiedziała tylko:

– Moja znajoma zatrzymała się u państwa. Mogę zostawić dla niej wiadomość?

– Oczywiście. – Recepcjonistka podała jej pióro, złożoną na pół kartkę oraz kopertę z logo hotelu.

Maggie napisała swoje nazwisko i numer telefonu komórkowego, włożyła kartkę do koperty, wsadziła skrzydełko koperty do środka i napisała na niej „Joan Begley”. Oddała kopertę Cindy, która zerknęła na nazwisko, potem na ekran monitora, po czym zapisała pod nazwiskiem jakiś numer i odłożyła kopertę na bok.

– To pani karta magnetyczna do drzwi, pani O’Dell. Windy są za tym rogiem na prawo. Pomóc pani wnieść bagaż?

– Nie, dziękuję, mam wszystko ze sobą. – Zarzuciła na ramię podróżną torbę, drugą, z laptopem, chwyciła za rączkę i ruszyła do windy, jednak po kilku krokach odwróciła się do Cindy.

– Wie pani co? Zapomniałam napisać przyjaciółce, o której mamy się jutro spotkać. Mogłabym to szybciutko dopisać?

– Oczywiście. – Recepcjonistka przesunęła kopertę po ladzie.

Maggie otworzyła ją i udała, że dopisuje godzinę spotkania, potem z powrotem schowała kartkę, tym razem zakleiła kopertę i oddała Cindy.

– Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. – Dziewczyna odsunęła kopertę na bok, nieświadoma, że właśnie przed chwilą ujawniła numer pokoju Joan Begley.

Maggie rzuciła bagaż na łóżko, zdjęła buty i kurtkę, wyciągnęła na wierzch bluzkę. Potem znalazła wiaderko na lód, wzięła kartę magnetyczną i ruszyła do pokoju 624. Wysiadłszy z windy, przystanęła przed maszyną z lodem,

żeby zapełnić plastikowe wiaderko, po czym poszła dalej w samych pończochach na poszukiwanie pokoju Joan.

Włożyła do ust kostkę lodu i dopiero w tej chwili uzmysłowiła sobie, że od rana nie jadła nic poza kanapką w kamieniołomie. Może później zamówi coś do pokoju. Raptem zadzwonił dzwonek windy. Zza rogu wyszedł młody człowiek w białej marynarce i czarnych spodniach. Niósł nad głową tacę do pokoju w odległym końcu korytarza. Maggie odczekała, aż mężczyzna zawróci i ją zobaczy, i wtedy włożyła kartę magnetyczną do czytnika.

– Cholera – powiedziała głośno, żeby ją usłyszał.

– Jakiś problem, psze pani?

– Ta karta znowu nie działa. Już drugi raz dziś wieczorem.

– Proszę mi pozwolić.

Wziął do niej kartę i wsunął ją do czytnika, oczywiście z takim samym skutkiem. Niezrażony podjął kolejną próbę, tym razem wolniej.

– Chyba musi pani poprosić w recepcji o nową kartę.

– Wie pan co, Ricardo, padam z nóg – oznajmiła, zerkając na jego identyfikator. – Marzę tylko, żeby rzucić okiem na wiadomości Foksa i zapaść w sen. Mógłby mnie pan wpuścić, żebym nie musiała iść taki kawał drogi na dół?

– Oczywiście, moment. – Sięgnął do kieszeni i wyjął uniwersalną kartę. Chwilę później drzwi stały przed Maggie otworem.

– Bardzo dziękuję – rzekła z wdzięcznością. Była w tym coraz lepsza. Machała do niego z progu, czekając, aż młodzieniec zniknie jej z oczu. Potem weszła do środka.

Pierwsza myśl, jaka ją nawiedziła, to że Joan Begley jako artystka musi być na topie, a jej prace świetnie się sprzedają. Wynajęła apartament, a na pierwszy rzut oka nie było jej tu co najmniej od dwóch dni. Trzy kolejne numery „USA Today” leżały na stoliku do kawy, na biurku zaś karta perforowana za opłacone dodatkowo śniadania kontynentalne na cały tydzień. Były na niej zaznaczone wszystkie dni prócz niedzieli. Znajdował się tam również rachunek za hotel z wymeldowaniem w niedzielę, czternastego września, oraz kopia z datą wymeldowania przesunięta na poniedziałek i jeszcze jedna z poprawką na wtorek.

W garderobie przy drzwiach wisiało parę kostiumów i bluzek. Na oparciu krzesła przy łóżku przerzucony był żakiet. Maggie sprawdziła kieszenie i znalazła w nich książeczkę czekową w skórzanej oprawie. Otworzyła ją, zadowolona, że Joan Begley odnotowywała swoje transakcje. Od przyjazdu do Connecticut było ich kilka. Pierwszy czek na tysiąc dolarów dla firmy Marley & Marley opisany był jako „przedpłata za pogrzeb”. Kolejny ze Stop & Shop był za zakąski. Następny z DB Mart za paliwo.

Ostatni pochodził z soboty trzynastego września. Początkowo Maggie nie zwróciła na niego uwagi. Czek wypisano dla Pizzerii Felliniego z notatką „kolacja z Marleyem”. Zerknęła na poprzedni opis. Czyżby Joan jadła kolację z jednym z szefów zakładu pogrzebowego? Tak, niewykluczone. Gdyby w grę nie wchodził interes, a na przykład randka, zapewne pan Marley uiściłby rachunek.

Sobota, trzynastego września. Jeżeli Gwen ma rację, Joan Begley zaginęła w nocy z trzynastego na czternastego, ale najwyraźniej wróciła przedtem do pokoju, bo przecież inaczej nie byłoby tam książeczki czekowej. Czy przyszła się przebrać? Czy to Marley był tym mężczyzną, na którego czekała i o którym mówiła Gwen przez telefon?

Wsuwając książeczkę czekową z powrotem do kieszeni żakietu, Maggie przypomniała sobie autopsję w kostnicy. Kimkolwiek jest nieszczęsna kobieta z beczki, została zamordowana wkrótce po zjedzeniu pizzy, być może właśnie w Pizzerii Felliniego. Może niebawem po jakimś spotkaniu, może nawet z mordercą. Maggie schowała książeczkę czekową do kieszeni swoich spodni.

Rozejrzała się uważnie po sypialni. Pod małym stolikiem stały dwie pary butów. W łazience porozkładane były rozmaite kosmetyki i przybory toaletowe. Na drzwiach łazienki wisiała nocna koszula.

Maggie stała na środku apartamentu i przecierała zmęczone oczy. Niewątpliwie Joan Begley nie uciekła na wybrzeże czy gdziekolwiek indziej z jakimś nowym mężczyzną w jej życiu, ponieważ nie zostawiłaby tych wszystkich rzeczy. Wyglądało na to, że zamierzała wrócić do hotelu. A jednak z całą pewnością od paru dni jej tu nie było. Co więc się stało?

Raz jeszcze Maggie zwiedziła obydwa pokoje w poszukiwaniu jakiejś podpowiedzi. Tym razem zajrzała do notesu obok telefonu. Bingo! Na pierwszej stronie odcisnęły się ślady długopisu, którym pisano na brakującej wyrwanej

kartce. Znalazła w szufladzie ołówek i zamazała nim ową stronę. To stara sztuczka. Odciśnięte ślady w magiczny sposób zamieniły się w białe linie na czarnym tle i ułożyły w litery i cyfry. I już po chwili Maggie dysponowała adresem i godziną: Hubbard Park, Percival Park Road, West Peak, dwudziesta trzecia trzydzieści.

Wyrwała kartkę z notesu i schowała do kieszeni. W drzwiach przystanęła, żeby po raz ostatni objąć pokój spojrzeniem. Zanim zgasiła światło, powiedziała do pustego apartamentu:

– Niech cię szlag, Joan Begley, gdzie jesteś?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– Opowiedz mi o swojej chorobie – poprosił, przysiadając na brzegu łóżka.

Joan spała, był chyba sam środek nocy. Obudziła się nagle, kiedy rozbłysło światło. On tam był. Musiała zmrużyć oczy, żeby go zobaczyć. Siedział w nogach łóżka z wlepionym w nią wzrokiem.

Czuła jego zapach, zmieszane wonie ludzkiego potu i wilgotnej ziemi, jakby przed chwilą kopał w lesie. O Boże! Czyżby kopał dla niej grób?

– Co mówiłeś? – Chciała przetrzeć oczy, zrzucić z nich sen, i wtedy przypomniała sobie o skórzanych pętach. Ogarnęła ją panika, a jej mięśnie zesztywniały. Wyciągnęła się, by sięgnąć ręką do twarzy, odsunąć z niej opadające kosmyki, i wyczuła przy okazji, że jej skóra zrobiła się bardzo sucha, popękała w kącikach oczu i warg. Jakby zabrakło jej łez i śliny. Czy to możliwe? Czy człowiek może wypłakać wszystkie łzy do cna?

Strach wbił w nią pazury. Oczy mężczyzny wędrowały badawczo. Zaburczało jej w brzuchu, przez moment myślała o tym, że jest głodna.

– Która godzina? – Próbowała zachować spokój. Jeśli nie będzie histeryzować, może nie obudzi w nim szaleństwa.

– Opowiedz mi o swojej chorobie, o niedoborze hormonów.

– Co?

– Dobrze wiesz, niedobór hormonów.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – skłamała, bo świetnie wiedziała, o co pytał. Sama poinformowała go przecież, że to niedobór hormonów jest powodem jej ciągłej walki z nadwagą. Skłamała, bo wstydziła się przyznać, że chodzi tylko o brak dyscypliny. O Boże drogi. Do czego doprowadziło ją kłamstwo? Potoczyła wzrokiem dokoła, popatrzyła na pojemniki i czaszki nad łóżkiem. Czy tego od niej pragnie?

– Powiedz mi, o który gruczoł chodzi. Czy to przysadka mózgowa? Wspominałaś chyba o tarczycy? – ciągnął niemal śpiewnym tonem, jakby chciał ją w ten sposób nakłonić do zwierzeń. – Wiesz, który hormon odpowiada za twoją otyłość? A raczej niedobór hormonu, jak sądzę. Mówiłaś mi o tym. Pamiętasz? Zdaje mi się, że chodziło o tarczycę, ale nie wiem, czy dobrze zapamiętałem. Czy to tarczyca?

Joan spojrzała ponad jego ramieniem na słoiki stojące w rzędach na półkach. Były rozmaitych kształtów i rozmiarów: z kamionki i do piklowania, ze zdrapanymi oryginalnymi naklejkami, na których przylepiono nowe nalepki. Z tej odległości widziała w środku jedynie jakieś kulki, ale ponieważ wcześniej rozpoznała w akwarium implanty piersi, podejrzewała, że i te pojemniki zawierają części ludzkiego ciała. A teraz on pyta ją o tarczycę. O Jezu! Czy dlatego wykazywał tyle zainteresowania jej osobą? Czy przygotował już słoik na jej tarczycę?

– Nie wiem – wydusiła przez gulę, która zatkała jej gardło. – To znaczy, oni nie wiedzą. – Wargi jej drżały, naciągnęła

przykrycie na ramiona, udając, że to nie strach, tylko zimno.

– A ja myślałem, że tarczyca – burknął jak urażony chłopiec, prawie się nadąsał.

– Nie, nie, nie tarczyca. Skądże znowu. – Robiła wszystko, by jej głos brzmiał mocno i pewnie. Musi go przekonać. – Prawdę mówiąc, wykluczyli tarczycę, absolutnie ją wykluczyli. No wiesz, to pewnie tylko brak samodyscypliny.

– Samodyscypliny?

Zmarszczył czoło – raczej zdziwiony niż zły. I znowu przypominał jej chłopca, chyba z powodu niebieskiego fluorescencyjnego światła z akwarium. Ale też ze sposobu, w jaki siedział, ze skrzyżowanymi nogami, z jedną stopą podkuloną pod siebie. Ręce trzymał na kolanach, jego wzrok przesłoniło zmęczenie, włosy miał zmierzwione, jakby i on dopiero co się obudził.

Czy próbuje wymyślić, jak stłamsić jej samodyscyplinę, a raczej jej resztki? Czy powinna poszukać innej odpowiedzi? Nagle spostrzegła błysk metalu. Jej pusty żołądek gwałtownie się skurczył. W dłoniach położonych spokojnie na kolanach mężczyzna trzymał coś, co wyglądało jak nóż do filetowania.

Joan zamarła, tylko nerwowo rzucała wzrokiem po pokoju. Panika wypełzła z jej pustego żołądka, o mały włos nie zamieniając się w krzyk.

A zatem przyszedł po jej tarczycę. Chce ją wyciąć z jej ciała. Czy najpierw ją zabije? O Boże najdroższy.

Wtedy mężczyzna oznajmił:

– Nigdy nie uważałem, że jesteś gruba. – Spuścił wzrok na swoje dłonie, po czym podniósł je z uśmiechem, nieśmiałym, chłopięcym uśmiechem.

Przypomniało jej się ich pierwsze spotkanie. Był wówczas taki uprzejmy i cichy, patrzył z zainteresowaniem i słuchał, i pragnął jej zrobić przyjemność.

– Dziękuję – powiedziała, rozpaczliwie próbując się uśmiechnąć.

– Czasami lekarze się mylą. – Wstał z posmutniałą miną.

Rozdygotana Joan każdym nerwem przygotowywała się na najgorsze.

– Oni nic nie wiedzą – zakończył.

A potem odwrócił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Środa, 17 września

Północ przyszła i minęła, a mdłości nie ustąpiły.

Do wyjścia pozostała mu tylko godzina. Czekał go długi dzień. Niegdyś także miewał podwójne dyżury i wcale mu to nie przeszkadzało, ale nie da się tego porównać z tym, co niedługo go czeka. Minionej nocy sen nie nadszedł, podobnie jak w dzieciństwie, gdy nasłuchiwał, aż matka zajrzy o północy i poda mu lekarstwo domowej roboty, po którym ból tylko się wzmagał. Dziś będzie zmuszony ukrywać te same mdłości, niesłabnące mdłości, z którymi musiał żyć dzień po dniu przez całe dzieciństwo. Ale już tak robił i przeżył. Jest w stanie to powtórzyć.

Szkoda tylko, że nie zajął się nią pierwszej nocy, zgodnie z planem. Przyniósł ze sobą piłę łańcuchową, sądząc, że ją poćwiartuje, z nadzieją, że w końcu odnajdzie nagrodę. Zamiast tego w ostatniej chwili zdecydował, że z tym poczeka.

To była zła decyzja.

Głupia, głupia, głupia decyzja.

Liczył na to, że sama wyzna, gdzie tkwi źródło niedoboru hormonów, i w ten sposób zaoszczędzi mu papraniny. A on nienawidził całej tej papraniny.

Nienawidził, nienawidził, nienawidził.

Piłą łańcuchową paprał się zawsze najbardziej. A teraz wpadł w jeszcze większe tarapaty. Nie dość, że ma na głowie tych, którzy chcą go zniszczyć, to jeszcze musi wykombinować, co zrobi potem z jej ciałem.

Ale teraz nie czas o tym myśleć. Nie wolno mu przysparzać sobie zgryzot, bo inaczej żołądek nie pozwoli mu przetrwać tego dnia.

Wyskrobał resztkę majonezu ze słoika. Skrobanie noża o szkło podziałało mu na nerwy, które i tak miał już w strzępach. Jak ma z tym żyć? Jak sobie poradzi?

Nie, nie, nie. Oczywiście, że sobie poradzi. Poradzi sobie.

Rozsmarował majonez na miękkim białym chlebie, powoli, żeby nie dotknąć nożem skórki. Odwinął z papieru dwa plasterki sera i położył je na chlebie, tak by zachodziły na siebie, lecz nie wystawały poza kromkę. Następnie starannie naciął wierzchni plaster, dokładnie w miejscu, gdzie oba plastry na siebie zachodziły, i odłożył naddatek.

Sięgnął do szafki, za pepto-bismol i syrop przeciwkaszlowy, i wyjął brązową butelkę, którą matka przez lata ukrywała. Otworzył ją, kilkoma kroplami spryskał ser, następnie włożył butelkę z powrotem do schowka.

Przykrył chleb z serem drugą kromką, ale najpierw posmarował ją odpowiednią ilością majonezu. Na koniec została mu rzecz najważniejsza. Odciął skórkę, przeciął kanapkę na pół, na ukos, nie pośrodku. No i już. Idealnie.

Idealnie, idealnie, idealnie.

Zawinął swoje dzieło w woskowany biały papier i położył na tacy, na której była już butelka coli, małe opakowanie

chipsów ziemniaczanych i baton snickers. Taki właśnie lunch w dzieciństwie szykowała mu co dzień matka, codziennie, tak daleko, jak sięgał pamięcią. Idealny lunch, dzięki któremu miał poczuć się lepiej. Ale ten lunch nie był dla niego, tylko dla jego gościa.

To określenie przywołało na jego twarz uśmiech. Gość. Nigdy dotąd nie przyjmował gości, a już zwłaszcza z noclegiem. I chociaż to przypadek, konsekwencja błędu… Cóż, chyba tak, chyba cieszył się, że ma w domu gościa. Podobało mu się, że dla odmiany to on ma nad kimś władzę. Przynajmniej na krótki czas. Przynajmniej dopóki nie zdecyduje, co zrobi z tymi częściami jej ciała, które nie będą mu potrzebne.

I wtedy właśnie wpadło mu do głowy, że mógłby skorzystać z jednej z zamrażarek. Tak, ona na pewno zmieści się w zamrażarce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Luc Racine siedział w drugim rzędzie składanych krzeseł. Pierwszy był zarezerwowany, ale pusty, więc Luc znakomicie widział trumnę. Nawet zbyt dobrze, bo zobaczył mocno umalowaną twarz kobiety z przesadnie uróżowanymi policzkami. Ciekawe, czy za życia malowała usta takim ciemnym odcieniem czerwieni. Wyglądała przez to, jakby nosiła maskę.

Luc wyjął mały notes i długopis z kieszeni koszuli, otworzył go i zapisał datę, a dalej: „Bez makijażu, absolutnie bez makijażu”, i podkreślił „absolutnie”. Z notesem w dłoni rozejrzał się wokół.

Marley stał przy drzwiach, czekał na kogoś. Może na tę młodą dziennikarkę. Luc spostrzegł ją w recepcji, kiedy wchodził. Dzięki Bogu, nie poznała go, ale pewnie nie widziała dobrze bez tych swoich grubych szkieł.

Marley stał w pozycji, którą Luc nazywał postawą przedsiębiorcy pogrzebowego: ramiona wyprostowane, ręce złączone poniżej pasa, z szacunkiem, jakby w modlitwie, za to broda uniesiona, świadcząca o zdumiewającej sile i autorytecie. No i jeszcze odpowiednie do postawy spojrzenie.

Luc tyle już razy obserwował Jake’a Marleya, że zauważał zmiany, które zachodziły w nim dosłownie w ułamku sekundy. Zresztą Marley osiągnął w tym mistrzostwo.

Zaczynając od którejkolwiek z szerokiego wachlarza min, czy będzie to złość na podwładnego, sarkazm, czy choćby znużenie, w ciągu kilku sekund potrafił dokonać całkowitej transformacji i jego twarz wyrażała dogłębne współczucie. Dogłębne, co nie znaczy szczere, o czym wiedział Luc. Tak, prawdę powiedziawszy, wiedział, że wyraz twarzy Jake'a Marleya nie jest szczery. To należało do jego profesji, doprowadzonej do perfekcji sztuki, równie niezbędnej w pracy Jake'a, jak bystre oko dla rzemieślnika czy, w przypadku Luca, listonosza, zdolność do zapamiętania ciągu cyfr. Było jednak coś w owej umiejętności Marleya, co... Hm. Lucowi zabrakło słowa. Czasami miał problem z przywołaniem właściwych słów. Podrapał się w brodę, wytężając pamięć.

Tam do diaska! Zapomniał się ogolić.

Spuścił wzrok na swoje stopy – niech to kule biją! Był w kapciach.

Spojrzał na Marleya, żeby sprawdzić, czy przedsiębiorca pogrzebowy odnotował jego obecność. Może zdołałby wyśliznąć się tylnym wyjściem. A niech to! Ta salka nie ma tylnego wyjścia, a Marley wprowadzał akurat do środka dwie kobiety, kierując je w stronę trumny. Skinął lekko głową Lucowi, ale całą uwagę skupił na dwóch żałobnicach. Luc wiedział, że nie musi przejmować się Marleyem.

Starsza z kobiet miała siwe włosy i ogromne okulary w czerwonych oprawkach, które dominowały na jej drobnej, ptasiej twarzy. Idąc, opierała się na swojej towarzyszce. To ta druga właśnie dała Lucowi pewność, że nie musi obawiać

się Marleya. Obcisły niebieski kostium podkreślał jej kształty. Związane z tyły długie, ciemne włosy odsłaniały kremową, nieskazitelną cerę.

Tak, Jake Marley nie spuści z niej oczu. Prowadząc kobiety, trzymał dłoń na jej plecach. Ciekawe, czy wyobraża sobie, że trzyma rękę trochę niżej, pomyślał Luc. Oczywiście nie zrobi tego, bo z niego szczwany kombinator. Luc przyglądał mu się niejeden raz. I podobnie jak dostrzegał momentalne transformacje jego twarzy, słyszał także gładkie słówka i widział, jak Jake traktuje ładne kobiety, jak dotyka ich rąk, lekko poklepuje po ramieniu, kładzie dłoń na plecach. Luc widział te wszystkie sztuczki.

Może kobiety znajdowały w nich pocieszenie? W końcu Marley nie był namolny. Był za to dosyć przystojnym mężczyzną. Pewnie wiele mu brakowało do prawdziwego amanta, ale kiedy włożył jeden z tych swoich czarnych garniturów za pięćset dolarów, imponował siłą, spokojem, i tak, ogromną pewnością siebie. A kobiety chyba lubią pewnych siebie mężczyzn, zwłaszcza kiedy same są akurat wyjątkowo bezbronne.

Żałobnice podeszły do trumny, patrzyły na drogą im osobę. Porozumiewały się szeptem, jakby nie chciały jej obudzić.

– Włosy wyglądają pięknie – zauważyła starsza, po czym dodała: – Ale nigdy nie pomalowałaby ust taką szminką.

Twarz Luca przeciął triumfalny uśmiech. Od razu wiedział, że to nie jej kolor. Otworzył notes i zapisał:

„Żadnego szeptania. Niech ludzie rozmawiają normalnym głosem”.

Młoda kobieta odwróciła głowę i posłała Lucowi uśmiech. Miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy, chociaż już nie płakała. Odpowiedział stonowanym uśmiechem i skinął głową. W notesie zapisał: „Nie wolno płakać. Może jakaś wesoła muzyka. Żadnej takiej… pogrzebowej muzyki”.

Chciał sobie przypomnieć, jakiej muzyki lubi słuchać, ale miał w głowie pustkę. Przecież musi pamiętać jakąś piosenkę albo piosenkarza. Jak to możliwe, żeby zapomniał muzykę?

W tym momencie zauważył, że kobiety znowu coś szepczą, tym razem starsza oglądała się przez ramię, a młodsza w tym czasie mówiła coś do Marleya. Pewnie rozmawiały o nim, zastanawiały się, kto to. I dlaczego go nie poznają.

Pora sobie iść.

Luc wstał i powoli poczłapał wzdłuż rzędu krzeseł. Kiedy dotarł do drzwi, usłyszał, jak jedna z kobiet mówi coś o kapciach, i już wiedział, że na pewno mówią o nim.

Wyszedł korytarzem na zewnątrz, na ulicę. Marley zostawił go w spokoju, oczywiście, bo nie odejdzie przecież od pięknej brunetki. Luc złapał oddech i zapisał w notesie: „Kapcie. Pochowajcie mnie w kapciach, tych niebieskich, nie brązowych”.

Zamknął notes i wraz z długopisem włożył go do kieszeni. W oknie wystawowym zobaczył mężczyznę, który stał po drugiej stronie ulicy i patrzył na niego. Czy to Marley? Nie chciał się oglądać, nie chciał, żeby mężczyzna zorientował

się, że on go widzi. Udawał, że podziwia duperele w sklepie, gdzie był kiedyś rzeźnik. Patrzył na dzwonki oznajmiające wiatr i kolorowe ozdoby, które wisiały tam, gdzie niegdyś wisiało salami. Szukał w szybie odbicia mężczyzny, ale nic nie wypatrzył. Szybko zerknął przez ramię. Mężczyzna gdzieś przepadł.

Luc spojrzał na swoje stopy, na kapcie. Nie pamiętał, jak i kiedy włożył je tego ranka. Czy w ogóle był tam jakiś mężczyzna? Czy go śledził? Czy to tylko jego wyobraźnia fiksuje?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Maggie odsunęła na bok tacę, wziąwszy z niej ostatni kawałek tosta. Zerknęła na zegarek. Tego dnia czekało ją wiele zajęć, chciała pójść w różne miejsca, porozmawiać z różnymi ludźmi. Adam Bonzado z samego rana odnalazł ją w hotelu i zaprosił do swojego laboratorium na uniwersytecie, żeby obejrzała jedną z ofiar. Odniósł widać wrażenie, że Maggie oficjalnie zajmuje się tą sprawą. A może tak mu przekazał szeryf Watermeier? W zasadzie nie wiedziała, czemu bierze tę wizytę pod uwagę. Najprawdopodobniej nie pomoże jej to znaleźć Joan Begley. Tyle że laboratorium należało do uniwersytetu w New Haven, tego samego, na którym studiował Patrick.

Raz jeszcze spojrzała na zegarek i wyjęła komórkę. Zbyt długo to odkładała. Wybrała numer z pamięci.

Gwen odebrała po drugim dzwonku, zupełnie jakby czekała na telefon.

– To nie ona – oznajmiła Maggie bez wstępów. Przeczekała milczenie przyjaciółki, pozwoliła jej przyswoić sobie tę informację.

– Dzięki Bogu!

– Ale jej nie ma. – Maggie zależało, by dobrze została zrozumiana. Przesunęła na bok dokumenty, które rzuciła na hotelowe biurko. Otworzyła teczkę i wyjęła z niej zdjęcie Joan Begley.

– Powiedz mi – zaczęła Gwen. – Powiedz wszystko, co wiesz.

– Wczoraj w nocy byłam w jej pokoju w hotelu.

– Wpuścili cię?

– Powiedzmy, że po prostu byłam w jej pokoju, okej? – Tego ranka nie miała cierpliwości do wysłuchiwania wykładów przyjaciółki, tej samej przyjaciółki, która jakimś podstępem wyciągnęła od kogoś informację, że Joan Begley nie wsiadła do samolotu. – Wygląda na to, że nie ma jej od soboty. Nie sądzę, by wyjechała. W pokoju jest pełno rzeczy, jakby zamierzała tam wrócić.

– Czy to możliwe, żeby namówił ją do ucieczki bez bagażu?

– Nie wiem. Zostawiła wszystkie kosmetyki i książeczkę czekową. Ty mi powiedz, Gwen, czy ona należy do kobiet, które są do tego zdolne?

W słuchawce zapadła cisza, którą Maggie wykorzystała na obejrzenie zdjęcia. Fotograf uchwycił Joan Begley przy pracy, kazał jej odwrócić wzrok od metalowej rzeźby. Podniesiona ochronna maska spawalnicza odkryła poważne brązowe oczy i porcelanowobiałą cerę. W tle widniały oprawione grafiki, jaskrawe plamy czerwieni, oranżu i szafiru, zachwycająca eksplozja kolorów z czarnymi smugami pośrodku. W szkle dało się zobaczyć inny, odbity obraz. Portret artystki i autoportret fotografa.

– Nie – odparła w końcu doktor Patterson. – Ona nie należy do kobiet, które uciekają, zostawiając swoje rzeczy. Nie, nie przypuszczam, żeby tak postąpiła.

– Potrzebuję twojej pomocy, Gwen. – Maggie zrobiła pauzę, by mieć pewność, że przyjaciółka słucha jej z uwagą. – To nie pora na ukrywanie czegokolwiek i lojalność wobec pacjenta.

– Nie, oczywiście, że nie. Jeżeli tylko moje informacje pomogą ją odnaleźć.

– Mówiłaś, że dostałaś od niej maila, w którym wspomina, że umówiła się z jakimś mężczyzną. Pisała o nim Sonny, tak?

– Tak, zgadza się.

– Możesz mi przesłać ten mail?

– Oczywiście, jak tylko skończymy.

– Rozmawiałam z Tullym. Spróbuje wejść do mieszkania Joan.

– Jakim cudem?

– Nie ma jej wystarczająco długo, żeby oficjalnie zgłosić zaginięcie. Chciałabym, żeby się rozejrzał. Sprawdził, czy Joan ma w domu komputer i czy uda mu się dostać do jej skrzynki. Musimy zobaczyć, czy w poczcie nie ma czegoś więcej na temat Sonny’ego. Jeśli to będzie możliwe, Tully pojedzie tam jeszcze dzisiaj. Masz czas, żeby mu towarzyszyć?

Znowu cisza. Maggie czekała. Czy Gwen ją słyszy? Czy może prosi o zbyt wiele?

– Tak – padła wreszcie odpowiedź, tym razem pewnym głosem. – Pojadę.

– Gwen, jeszcze jedno. – Maggie ponownie spojrzała na fotografię. – Czy Joan wspominała kiedykolwiek mężczyznę

o nazwisku Marley?

– Marley? Nie, raczej nie.

– Okej, tylko sprawdzam. Zadzwoń do mnie, jak coś ci przyjdzie do głowy.

– Maggie?

– Tak?

– Dziękuję.

– Podziękujesz mi, jak ją znajdę. Pogadamy później, dobra?

Ledwie się rozłączyła, telefon zaczął dzwonić. Widocznie Gwen o czymś zapomniała.

– Zapomniałaś o czymś? – zaczęła Magie bez powitania.

– Agentko O'Dell, dlaczego, do diabła, oglądam panią w telewizji?

To nie była Gwen, ale szef Maggie, zastępca dyrektora Kyle Cunningham. Niech to szlag!

– Dzień dobry, sir.

– Kamieniołom jest w Connecticut. Myślałem, że siedzi pani w swoim ogrodzie, ale widzę, że zajmuje się pani morderstwem w Connecticut. Nie przypominam sobie tylko, żebym panią wyznaczył do tej sprawy.

– Przyjechałam tu prywatnie, sir. Szeryf Watermeier przez pomyłkę powiedział, że z nim pracuję.

– Naprawdę? Przez pomyłkę? Ale była pani w kamieniołomie?

– Tak, zatrzymałam się, żeby zobaczyć...

– Zatrzymała się pani? O'Dell, pani nie pierwszy raz gdzieś się zatrzymuje. Lepiej, żeby to był ostatni raz.

Wyraziłem się jasno?

– Tak, sir. Ale oni mogą rzeczywiście potrzebować psychologa kryminalnego. Wszystkie znaki wskazują na seryjnego...

– W takim razie potrzebny im psycholog kryminalny. Może lokalne biuro FBI ma kogoś na podorędziu.

– Zapoznałam się już ze...

– Rozumiem, że jest pani na urlopie, agentko O'Dell. Jeżeli ma pani w tamtej okolicy prywatne sprawy do załatwienia, proszę bardzo, to pani wolny czas, ale wolałbym już nie oglądać pani w telewizji. Rozumie pani, agentko O'Dell?

– Tak, sir, rozumiem.

W słuchawce już buczał sygnał.

Niech to szlag!

Maggie zaczęła krążyć po pokoju, przystając przy oknie, żeby popatrzeć na poranny ruch na Pomeroy Avenue i Research Parkway. Spojrzała na zegarek. Ma jeszcze czas. Zarzuciła kurtkę, włożyła do kieszeni kartę magnetyczną, wzięła notes, w którym wcześniej zapisała, jak ma dojechać. Wyszła na korytarz i zawahała się. W końcu co jej szkodzi? Wróciła do torby z komputerem, otworzyła kieszeń i znalazła to, co kazało jej wrócić. Potem, nie myśląc już wiele, schowała kopertę do notesu i wyszła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Lillian zrobiła coś, czego nie robiła przez wszystkie te lata, odkąd została współwłaścicielką księgarni. Zadzwoniła do Rosie i poinformowała ją, że przyjedzie później. Teraz, siedząc w samochodzie i patrząc na stary dom, w którym dorastała, nie mogła uciec od myśli, że popełnia błąd.

Wszystko było zniszczone i zapuszczone, poczynając od obłażących z farby budynków po zardzewiałe samochody stojące na podwórzu, które wyglądało jak cmentarzysko dla niechcianych pojazdów. Kilku z nich nie rozpoznała, przypuszczalnie pojawiły się po jej ostatniej wizycie. Stały obok starego kombi, pierwszego wozu, który po śmierci matki został skazany na emeryturę. Uznali z bratem, że nie powinni nim jeździć bez jej pozwolenia.

Lillian wyjrzała przez okno samochodu. Dłonie trzymała wciąż na kierownicy, niezdecydowana, czy zostać, czy odjechać. Jakże jej brat, Wally, może tu żyć? Czy mu to nie przeszkadza? Nigdy tego nie rozumiała. Przez wszystkie lata dojrzewania pragnęła tylko stąd uciec. Nie wyobrażała sobie, że zostanie w tym domu, bo zadręczyłyby ją wspomnienia. Wally’emu to jakoś nie wadziło.

Starała się podtrzymać w sobie odwagę i stanowczość, z którymi rozpoczęła ten dzień. W myślach obsadziła się w roli detektywa z jednej ze swoich ulubionych powieści kryminalnych. Usiłowała wrócić myślą do minionej nocy,

kiedy składała różne fragmenty w całość, i doszła do pewnych wniosków, zgodnych, jak przyznał sam Henry, z teorią psychologa z FBI. Jednak musi odsunąć od siebie dokuczliwe podejrzenie, że Wally ma coś wspólnego ze zwłokami, które znaleziono w beczkach. Może jej brat chroni Vargusa? Tak, to nie jest pozbawione sensu. To byłoby podobne do Wally'ego.

Kiedy podeszła do drzwi frontowych, ogarnęły ją poważne wątpliwości. Mimo to schyliła się, sięgnęła pod donicę i wyjęła spod niej zapasowe klucze. Nie rozumiała, po co Wally zamyka drzwi na klucz. Nie posiadał nic takiego, co zainteresowałoby złodzieja. Ale taki był Wally. Zawsze podejrzliwy wobec ludzi. Zawsze paranoicznie wystraszony, że ktoś chce wyrządzić mu krzywdę.

W domu cuchnęło stęchlizną, jakby od dawna stał zamknięty i pusty, lecz ostry zapach przypalonego jedzenia szybko zmienił pierwsze wrażenie Lillian. Wszędzie walały się jakieś rzeczy, stosy gazet, magazynów i kaset wideo. Za to w kuchni panował porządek. Żadnych brudnych naczyń w zlewozmywaku, żadnych zarośniętych tłuszczem garnków czy patelni na kuchni. Żadnych śmieci w kącie. Wprost nie mogła w to uwierzyć.

Powinna sprawdzić zamrażarkę. Nabrała głęboko powietrza i otworzyła ją, gotowa skrzywić się z obrzydzenia. Henry wspomniał mimochodem o brakujących częściach ciała ofiar, lecz nie rozwinął tematu. Lillian nie była pewna, co znajdzie. Tymczasem

w zamrażarce leżały tylko jakieś pizze i hamburgery. Czego się spodziewała? Co się z nią dzieje, na Boga?

Pokręciła głową i zajrzała do pralni, która mieściła się obok kuchni. Tu napotkała bardziej znajomy widok: sterty brudnych ubrań na podłodze, bez podziału na białe i kolorowe albo delikatne i bardziej wytrzymałe. Zawracała do kuchni, kiedy w ostatniej chwili wpadł jej w oko biały pognieciony T-shirt, rzucony w kąt na wierzchu czarnej torby na śmieci.

To głupie, powiedziała sobie, trzeba jechać do księgarni. Jak zwykle ponosi ją wyobraźnia. A jednak podeszła do kąta i podniosła T-shirt, rozłożyła go i szeroko otworzyła oczy. Koszulka była cała w zaschnięte rdzawe plamy. Lillian stwierdziła z przekonaniem, że to krew. Ręce jej się trzęsły, gdy z uporem szukała racjonalnego wyjaśnienia tych zabrudzeń.

W dzieciństwie Wally’emu często leciała krew z nosa. Pewnie ta przypadłość została mu na całe życie. Bez ustanku narzekał na jakieś bóle. Miał kiepskie zdrowie. Oczywiście, wciąż dokuczały mu krwotoki z nosa.

– Lillian?

Podskoczyła na dźwięk głosu brata, który dobiegł od drzwi. Wypuściła z rąk T-shirt i spojrzała za siebie. Zobaczyła twarz Wally’ego naznaczoną grymasem niezadowolenia.

– Co tutaj robisz, do diabła?

– Szukam cię – skłamała, natychmiast uświadamiając sobie, że kiepski z niej kłamca. Jak na osobę, która spędza

życie w wyobraźni, powinna być lepsza w wymyślaniu wiarygodnych historii.

– Nigdy tu nie przyjeżdżasz.

– To chyba nostalgia. Nagle poczułam się samotna i zatęskniłam za starym domem. – Kłamstwa wypadały coraz gorzej. Nawet ona by w nie nie uwierzyła. – Mogę być z tobą szczera, Wally?

– To dobry pomysł.

– Szukałam… Chciałam zobaczyć, czy znajdę… ten stary niebieski wazon mamy.

– Co?

– No wiesz, taki niebieski, ceramiczny. Pamiętasz go? – Teraz osiągnęła cel. Widziała, że Wally uruchomił pamięć. – Ten, który podarowała jej ciotka Hannah.

– I na co ci to teraz? – spytał, ale już bez podejrzliwości. – Jest chyba na górze, na poddaszu. Pójdę i poszukam.

Dobry chłopiec. I dobry brat, chociaż matka ze wszystkich sił próbowała ich skłócić. Na pewno nie zrobił nic z tych rzeczy, które zrodziła nadgorliwa wyobraźnia siostry. To po prostu niemożliwe.

Mimo to, słysząc jego kroki na schodach, Lillian podniosła zakrwawiony T-shirt i włożyła do torby.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Waszyngton

R.J. Tully spacerował przed zbudowanym z cegły apartamentowcem i bawił się drobnymi w kieszeni. Przystanął, oparł się o poręcz i podniósł wzrok na ciemne chmury. Z całą pewnością za moment zacznie lać. Dlaczego nie wziął ze sobą parasola?

Gdy był młodszy, stosował się do zasady, że prawdziwemu mężczyźnie nie wypada chodzić z parasolem. To była kwestia ambicji. Mężczyźni po prostu nie używali parasoli. Teraz, kiedy powiało chłodem i Tully podniósł kołnierz kurtki, stwierdził, że lepiej być suchym niż tak zwanym macho. Przypomniał sobie, jak Emma mówiła mu kiedyś, że tylko bardzo cienka linia dzieli macho od sfrustrowanego niedojdy. Kiedy jego piętnastoletnia córka zdobyła te mądrości?

Tully spojrzał na zegarek, a następnie przeniósł wzrok na ulicę. Spóźnia się. Zawsze się spóźnia. Może doszła do wniosku, że nie ma ochoty być z nim sam na sam. W końcu szczęśliwie unikali się od bostońskiego incydentu.

Boston… można by pomyśleć, że od tamtej pory minęły wieki. Nagle ją dostrzegł w odległości jakiejś pół przecznicy, w czarnym trenczu, czarnych butach na wysokich obcasach, z czarną parasolką i tymi jedwabistymi

blond włosami w rudawym odcieniu. I nagle Boston bardzo zbliżył się w czasie.

Tully pomachał do niej, gdy wreszcie popatrzyła w jego stronę. Był to taki szeroki wymach z wyprostowanymi palcami w kierunku przeciwnym do biegu wskazówek zegara. Machał jak jakiś idiota, który kieruje ruchem. Coś takiego mógł wykonać wyłącznie sfrustrowany niedojda. Totalny sfrustrowany niedojda. Co się z nim dzieje? Dlaczego w jej obecności do tego stopnia nie panuje nad nerwami? Pomachała mu w odpowiedzi. Chyba nawet posłała mu uśmiech. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego postanowili wymazać Boston z pamięci.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała doktor Gwen Patterson. – Długo czekasz?

– Nie, skąd. – Nagle dwadzieścia minut nerwowego spaceru przestało się liczyć.

Dozorca podał im kod i wręczył klucz do apartamentu 502, ale zapomniał dodać, że pojadą na górę, na ostatnie piętro, otwartą windą bagażową. Tully nie znosił takich wind, metalowych bramek zamiast drzwi, kabli na wierzchu i szumu wystawionego na widok starego systemu hydraulicznego. Jednak na doktor Patterson nie robiło to najmniejszego wrażenia.

– Byłaś już kiedyś w jej mieszkaniu? – spytał, żeby zabić ciszę i nie myśleć o skrzypieniu łańcuchów, które wymagały porządnego naoliwienia.

– Około pół roku temu urządziła wystawę, wtedy tu byłam, ale to jedyny raz.

– Wystawę?

– Tak, jej poddasze to także pracownia.

– Jej pracownia?

– Jest artystką.

– Aha, okej. Rozumiem.

– Dziwne, że Maggie ci nie powiedziała.

Oświadczyła to takim tonem, jakby była zła na O’Dell. Nie, na pewno mu się zdawało. Popatrzył na jej profil, kiedy podniosła wzrok na numery oznaczające kolejne piętra. Postanowił nie wracać do tematu.

I tak od razu domyśliłby się profesji Joan Begley. Poddasze o wiele bardziej przypominało pracownię niż przestrzeń mieszkalną. Reflektorki podświetlały rzeźby na podwyższeniach i ściany pełne oprawionych obrazów. W rogu stały płótna oparte o sztalugi i kolejne postumenty. Niektóre płótna były zamalowane jaskrawymi kolorami, inne, tylko zagruntowane na biało, czekały na swoją kolej. Chromowane półki dźwigały narzędzia pracy, pędzle w słoikach z zielono-czerwonym roztworem, tubki farby bez zakrętek, lutownice i coś, co wyglądało jak wiertła, a także kawałki metalu i rur. Pośród tego bałaganu stały gliniane figurki, miniaturowe modele prawdziwych rzeźb. Jedyny znak normalnego życia stanowiła sofa z poduszkami, które spadły na podłogę z twardego drewna oraz, w odległym kącie, kuchnia oddzielona ladą zastawioną pustymi pojemnikami po jedzeniu na wynos, butelkami po wodzie mineralnej, brudnymi szklankami i stosem papierowych talerzy.

– Chyba wyszła stąd w pośpiechu – zauważył Tully, ciekawy, jak można mieszkać i pracować w tym samym miejscu. On by tego nie zniósł.

– Masz rację. Bardzo się przejęła śmiercią babci.

– Więc rozmawiałaś z nią, zanim wyszła?

– Zamieniłyśmy parę słów.

Tully nie zwracał uwagi na dzieła sztuki, same w sobie stanowiące nie lada wyzwanie. Zaczął szukać biurka i komputera. O'Dell podyktowała mu listę rzeczy do sprawdzenia.

– Gdzież ona trzyma komputer? – Spojrzał na doktor Patterson.

Z przekrzywioną głową stała przy ścianie z obrazami, jakby widziała coś w tych kolorowych plamach. Tully nie rozumiał sztuki, mimo wysiłków Caroline, jego byłej żony, która ciągała go po galeriach i pokazywała artystycznie doskonałe interpretacje niesprawiedliwości społecznej albo cierpienia jednostki tam, gdzie Tully widział jedynie kleksy czarnej farby zabrudzone czerwienią.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie ona trzyma komputer? – spytał powtórnie.

– Sprawdź tę dużą szafę.

– Szafę? Okej.

Ohydne monstrum z wiśniowego drewna zajmowało niemal całą ścianę. Kiedy Tully zaczął otwierać kolejne drzwiczki i szuflady, gigant jeszcze rósł, pęczniał od obrotowych półek i przesuwanych ruchomych skrytek, i w końcu okazało się, że połknął też laptop.

– Czy to jej jedyny komputer?

Doktor Patterson podeszła bliżej i przebiegła palcami po powierzchni mebla ruchem bardzo przypominającym pieszczotę.

– Chyba ma dwa. Darzyła laptopy wielkim sentymentem. Zawsze powtarzała, że może wziąć ze sobą laptop nawet do parku czy kawiarni.

– Więc może ten drugi zabrała do Connecticut?

– Tak, zapewne. Ależ oczywiście, przysłała mi stamtąd maila.

Tully otworzył laptop, ostrożnie dotykając obudowy, żeby nie zatrzeć pozostawionych odcisków palców i nie dodać swoich. Potem długopisem naciskał klawisze.

– Znam kilka sztuczek, dzięki którym powinienem dostać się do jej skrzynki. To może zabrać chwilę. – Na ekranie pojawiła się prośba o hasło. Tully zawahał się. – Obawiam się, że potrwa długo, zanim na coś wpadniesz, ale jednak spytam. Nie przychodzi ci do głowy, jakiego hasła mogła używać?

– Na pewno nie swojego imienia czy nazwiska, nawet w zmienionej formie. – Patrzyła w skupieniu na ekran. Tully pomyślał już, że o nim zapomniała, kiedy podjęła: – Spróbuj Picasso. Jedno c, dwa s. To jej ulubiony artysta. Mawiała, że jest zerem w stosunku do niego i jego dzieła. Pewnie zauważyłeś w jej obrazach fascynację okresem błękitnym… wielu twierdzi, że najlepszym w twórczości Picassa… a w rzeźbach wyraźną inspirację kubizmem. Zwłaszcza w rzeźbach z metalu.

Tully skinął głową, choć nie odróżniał kubizmu od kubka, i napisał Picasso, ponownie za pomocą długopisu.

– Nie przechodzi.

– Hm… to może jego imię.

Tully chwilę czekał w bezruchu, aż do niego dotarło, że zdaniem Patterson powinien znać imię Picassa. Jezu! Pewnie nawet zna. Miał niepowtarzalną okazję, żeby zrobić na niej wrażenie. Jak to było, do jasnej cholery? Nie pomagała mu. Czy to jakiś test? Zerknął na nią ukradkiem i zobaczył, że Gwen znowu zatonęła w myślach i szuka odpowiedzi w obrazach wiszących na ścianie. W związku z tym nawet nie zauważyła jego przebłysku geniuszu, kiedy wystukał na klawiaturze: Pablo.

– Pablo też nie działa – oznajmił tonem może odrobinę nazbyt dumnym jak na kogoś, kto właśnie wklepał nieprawidłowe hasło. Zerknął na Gwen ponownie i dalej czekał. W końcu wstał, przeciągnął się i stanął za nią.

– Wiem, jakie to hasło – oświadczyła nagle, odwracając wzrok od anorektycznego, ziemistego autoportretu, aktu w metalowej ramie, która ucinała sportretowaną kobietę tuż pod wychudzonymi piersiami. – Spróbuj Dora Maar. – Wymówiła imię i nazwisko powoli, a Tully równocześnie naciskał klawisze.

– Bingo. – Ekran się obudził, oznajmiając: „Masz pocztę”. – Skąd wiedziałaś?

– Joan zaczęła podpisywać niektóre ze swoich obrazów Dora Maar. To skomplikowana historia. Cóż, w ogóle Joan

jest skomplikowana. Ten właśnie – wskazała na obraz – przypomniał mi o tym.

– Ale dlaczego Dora Maar?

– Dora Maar była kochanką Picassa.

Tully potrząsnął głową i mruknął:

– Artyści.

Kliknął na nową pocztę. Od soboty nikt do niej nie zaglądał. Tego właśnie dnia Joan Begley prawdopodobnie zaginęła. Kliknął na starą pocztę. Jeden adres mailowy powtarzał się najczęściej, każdego dnia coś od tego nadawcy przychodziło, czasami nawet dwa razy dziennie, aż do dnia zniknięcia Joan.

– To nam może pomóc. – Tully otworzył jeden z listów ze starej poczty. – Dostała sporo korespondencji od kogoś, kto ma adres SonnyBoyhot-mail.com. Nie wiesz przypadkiem, kto to taki?

– Bardzo liczymy z Maggie, że właśnie ty tego się dowiesz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Joan rozbolał żołądek.

Wygłodzona, połknęła wszystko, co przyniósł jej do jedzenia. Może jadła za szybko, było jej nawet głupio z tego powodu. On ją tu więzi, prawdopodobnie po to, żeby wyciąć jej tarczycę, a ona dosłownie pożera kanapkę z serem i chipsy ziemniaczane. Zawsze poprawiała sobie nastrój jedzeniem. Dlaczego akurat teraz miałaby zmieniać przyzwyczajenia?

Nadgarstki i kostki piekły ją od całonocnych prób uwolnienia się z więzów. W gardle zaschło, głos ochrypł od krzyków o pomoc. Gdzież ona jest, że nikt jej nie słyszy? Jeżeli Sonny jej nie zabije, czy ktoś w ogóle ją tu znajdzie? Prawdopodobnie nikt jej nie szuka. Czyż to nie żałosne? Szczerze mówiąc, w jej życiu nie było nikogo, kto by za nią zatęsknił, gdyby nagle zniknęła z powierzchni ziemi. Nikt by tego nie zauważył. Włożyła tyle wysiłku, żeby lepiej wyglądać, schudła, dbała o siebie, i po co to wszystko? Kiedy przyszło do tego, została kompletnie sama.

Tego właśnie obawiała się najbardziej: że straci zbędne kilogramy i pozostanie nieszczęśliwa. Och, próbowała, rzecz jasna, próbowała bez końca. W każdym nowo spotkanym mężczyźnie widziała potencjalne źródło szczęścia. Poznała wielu mężczyzn, za każdym razem budząc w sobie nadzieję, że właśnie dzięki temu jedynemu

jakimś cudem poczuje się kochana i spełniona. I za każdym razem, kiedy jeden za drugim odchodzili od niej, zostawiali ją ze świadomością jeszcze większej pustki i jeszcze większego nieszczęścia.

Przed takim obrotem spraw ostrzegała ją doktor P. Twierdziła, że nowy wizerunek spełni pragnienie Joan i będzie przyciągać mężczyzn, jednak nie wpłynie pozytywnie na jej samopoczucie.

Cholera! Nie lubiła, kiedy doktor P. miała rację, a miała, ponieważ Joan w dalszym ciągu była nieszczęśliwa. I na dodatek nie mogła już zrzucać winy na zbędne kilogramy. Przedtem dysponowała jeszcze tą wymówką. Mężczyźni się nią nie interesują, ponieważ jest gruba. Nie ma przyjaciół, ponieważ jest gruba. Przez długie lata nie odnosiła sukcesów w sztuce, ponieważ nikt nie chciał podpisać kontraktu z otyłą artystką.

I tak jak wcześniej szukała pocieszenia w jedzeniu, tak potem szukała go w ramionach mężczyzn. Może warto wytłumaczyć to Sonny’emu, kiedy wpadnie tu następnym razem. Czy to powstrzyma go przed wycięciem jej organu odpowiedzialnego za niedobór hormonów?

O Boże. Co ona narobiła?

Raptem doznała takiego uczucia, jakby ktoś przeciął jej żołądek na pół. Chciała się skulić, żeby powstrzymać ból, ale nie pozwoliły na to skórzane pęta. Ten ból na pewno nie był skutkiem łapczywego jedzenia. Czyżby w kanapce była trucizna? Czy majonez był przeterminowany? Zwijała się

z bólu, mięśnie jej zesztywniały. Co się z nią dzieje? Nigdy dotąd nie przeżywała podobnych katuszy.

W końcu ból ustał. Joan odetchnęła. Może to tylko panika. Najważniejsze to zachować spokój. Ale minutę później chwyciła ją kolejna fala skurczów. Wtedy nie miała już wątpliwości, że Sonny ją otruł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Jacob Marley wprowadził Maggie do swojego biura w końcu korytarza na tyłach domu pogrzebowego. Ilekroć próbował położyć rękę na jej plecach, znajdowała sposób, żeby to udaremnić, odwracała się do niego przodem albo po prostu nagle przystawała. Znała tę taktykę, ten zabieg, który ustalał relacje i pozwalał zyskać przewagę. Nie mogła pozbyć się myśli, że to nawyk zawodowy, zapewne sprawdzony w kontaktach z klientami, oczywiście nie zmarłymi, ale tymi, którzy są słabi, bezbronni i podejmują ważne decyzje finansowe.

Wskazał jej krzesło dla gości, sam zaś przysiadł na rogu biurka, by nad nią dominować. Wtedy właśnie Maggie stwierdziła, że coś jej się nie podoba w tym mężczyźnie. Miał w sobie coś takiego, że nie wzbudzał jej zaufania.

Nie usiadła zatem, udając, że zainteresowały ją czarno-białe fotografie, które zajmowały jedną ze ścian, zdjęcia chłopca, zapewne małego Jacoba, jedynaka, z matką i ojcem.

– Czym mogę pani służyć, Maggie? Nie ma pani nic przeciw temu, żebym mówił pani po imieniu, prawda?

– Szczerze mówiąc, kiedy załatwiam sprawy służbowe, wolę formę: agentko O’Dell.

– Sprawy służbowe. – Próbował się zaśmiać, ale wyszło to jak nerwowe pokasływanie. – To brzmi poważnie. Czy

chodzi o Steve’a Earlmana?

Zapomniała już o rzeźniku i dopiero teraz uświadomiła sobie, że to właśnie zakład pogrzebowy Marley & Marley nie zdołał go skutecznie pochować. W każdym razie nie dopilnował, żeby zmarły pozostał w ziemi. Oparła się plecami o ścianę i przyglądała Jacobowi Marleyowi. Prawdopodobnie niedawno przekroczył trzydziestkę, był dość pospolitej urody, o twarzy z cofniętym podbródkiem i wąskimi oczami. Jednak w kosztownym czarnym garniturze, wsparty o róg biurka, sprawiał wrażenie pewnego siebie i opanowanego. Lecz niepokoiła go sprawa Steve’a Earlmana.

– Wiem, że to nie zostało upublicznione – ciągnął – ale krążą plotki, że ciało Steve’a znaleziono w jednej z beczek. To prawda, tak? Czy dlatego pani tu przyszła?

Wiercił się, machał nogą. Nie wyglądał na kogoś, kto oblewa się potem, a jednak, jeśli Maggie wzrok nie mylił, kropelki potu nabrzmiały nad jego górną wargą. To podsyciło jej zainteresowanie. Co tak naprawdę zdenerwowało Jacoba Marleya?

– Nie wolno mi wchodzić w szczegóły – oznajmiła. – Ale jeśli to prawda, jak to wyjaśnić?

W dalszym ciągu stała na stanowisku, że zabójca miał dostęp do ciała, zanim dotarło na cmentarz. Być może wśliznął się w nocy do domu pogrzebowego. Czyżby doszło do włamania, którego Marley nie zgłosił? Czy to go niepokoi?

– Pochowaliśmy go w krypcie – oświadczył, po czym szybko dorzucił: – Zgodnie z życzeniem rodziny. Może pani sprawdzić. – Podał Maggie teczkę z dokumentami.

Dotyczyły one pochówku Steve’a Earlmana, oczywiście był też szczegółowy rachunek. Marley wcześniej położył tę teczkę na biurku. Spodziewał się wizyty agentki O’Dell. Miał jakiś problem, lecz wcale nie chodziło o ciało nieszczęsnego Steve’a Earlmana.

Maggie przejrzała dokumenty, nie wiedząc, czego ma szukać. Opłaty nie odbiegały od normy, żadnych ekstrawagancji. Znalazła również rachunek na osiemset pięćdziesiąt dolarów za kryptę, nie jakąś zwyczajną, lecz występującą pod nazwą „krypta monticello”.

– Nasze krypty są szczelnie zamykane – kontynuował Marley. – Posiadają gwarancję przeciw pękaniu i przeciekaniu.

– Naprawdę? Nikt nie wnosił skargi?

– Słucham?

– Czy nikt nie żądał zwrotu pieniędzy?

Popatrzył na nią i w końcu się roześmiał, tym razem głośno, z całego serca, śmiechem, który miał już świetnie wypróbowany.

– O mój Boże, nie, Maggie.

– Agentko O’Dell.

– Słucham?

– Wolę, żeby zwracał się pan do mnie: agentko O’Dell, panie Marley.

– Och tak, oczywiście.

Przerzuciła pozostałe dokumenty w teczce Steve’a Earlmana.

– Prawdę mówiąc, chodzi mi o innego klienta pańskiej firmy. Jak rozumiem, to pański zakład zajmował się pogrzebem babci pani Joan Begley. Czy tak?

– Joan Begley? – Pytanie kompletnie go zaskoczyło. – Tak, oczywiście, w zeszłym tygodniu. W sobotę podpisaliśmy ostatni dokument. Czy jest jakiś problem? – Jacob Marley był teraz raczej zdziwiony niż zdenerwowany.

Maggie zamierzała zapytać o kolację w Pizzerii Felliniego, a także czy Marley wie, że Joan Begley zaginęła. Wyraz jego twarzy wystarczył jej za wszystkie odpowiedzi. Jeżeli miała nadzieję, że Jacob Marley przyłożył rękę do zniknięcia Joan Begley, nadzieja owa została zmiażdżona przez zupełnie skonfundowaną i osłupiałą minę Jacoba Marleya. Coś ukrywał, ale nie miało to nic wspólnego z Joan. Prawdopodobnie tajemnica kryła się w teczce, którą trzymała w ręku Maggie.

Zadzwonił telefon, Marley chwycił za słuchawkę.

– Tak?

Czego powinna szukać? Czego się obawia?

– Mam kogoś u siebie w tej chwili – rzekł Marley do słuchawki z irytacją, której nie zdołał ukryć. – Nie, nie będę mógł odebrać ciała co najmniej przez godzinę. Czy Simon dziś pracuje? Dobra. Poślij go, jak przyjdzie.

Odłożył słuchawkę i podniósł wzrok na Maggie.

– Trzeba być na okrągło pod telefonem i pracować zawsze, kiedy jest taka konieczność. To najgorsza strona

tego zawodu.

– Tak, faktycznie, to są rzeczy nie do przewidzenia. – Maggie znów kartkowała dokumenty. Nagle coś przyciągnęło jej uwagę. Jeżeli dobrze zapamiętała, Calvin Vargus był jedną z osób, które odkryły zwłoki w kamieniołomie.

– Zatrudnia pan Calvina Vargusa i Waltera Hobbsa do kopania grobów?

– Tak, zgadza się. – Marley przeniósł ciężar ciała na lewą nogę, i teraz prawa zaczęła nerwowo podskakiwać. – Mają odpowiedni sprzęt.

– Jak długo się tym zajmują?

– Mój Boże! – Marley skrzyżował ramiona na piersi. – Chyba od czasów, kiedy firmę Hobbsów prowadził jeszcze ojciec Wally'ego, który zawarł stałą umowę z moim ojcem. Mój ojciec był bardzo lojalny, całe lata pracował z tymi samymi ludźmi. – Wskazał na zdjęcie na ścianie, portret starego Marleya z poważną miną, jakby szykował się na pogrzeb. – Ludzie też tak go traktowali, niech spoczywa w pokoju. Teraz, kiedy próbuję wprowadzić jakieś zmiany, zaraz ktoś mówi mi: „Jacob Marley by tak nie zrobił".

Jeden fakt uderzył Maggie w tej wypowiedzi, chociaż nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

– Pański ojciec także miał na imię Jacob?

– Tak, zgadza się.

– Więc pan jest Jacob Junior?

– Tak, ale bardzo proszę, nie znoszę, jak nazywa się mnie Juniorem. Wszystko, byle nie Junior.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Tully pozwolił, żeby go obsługiwała. Zresztą to ona się przy tym uparła. Po raz pierwszy znalazł się w jej domu. Po raz pierwszy go zaprosiła. Oczywiście tylko dlatego, by nie uchybić grzeczności, przyjął zaproszenie.

Stwierdziła, że będzie im tu wygodniej niż na poddaszu Joan. Tam nie potrafiła zebrać myśli. Tully zauważył, że w pracowni zachowywała się cicho i z szacunkiem. Wiedział, że Joan Begley była pacjentką Gwen, zorientował się też, że połączyło je coś na kształt przyjaźni. A jeśli nawet nie była to przyjaźń, to i tak doktor Patterson szczerze martwiła się zaginięciem Joan. Istniała zatem jakaś więź.

Obserwował bezkarnie jej twarz, kiedy skupiona nalewała kawę do kubków. Tully siedział przy barze oddzielającym pokój od wypucowanej kuchni, w której wisiały garnki, patelnie i liczne dziwne przedmioty w rozmaitych kształtach i rozmiarach. Nie znał nawet ich przeznaczenia, choć najpewniej służyły do gotowania. Tutaj, w swoim domu, Gwen wydawała się pewniejsza siebie niż u Joan. Nadal jednak wyglądała... trudno to wyjaśnić. Wyglądała na zmęczoną. Nie, to niedobre określenie. Wyglądała na... smutną.

– Cukier czy śmietanka? – Zerknęła na niego przez ramię.

– Dziękuję, piję czarną.

Jeszcze zanim sięgnęła po śmietankę, wiedział, że naleje sobie solidną porcję, a jej kawa przypominała bardziej czekoladę z mlekiem. Śmietanka, ale bez cukru. Jeśli to możliwe, wolała café mocha.

Tully sam siebie zaskoczył. Ostatnio nie pamiętał, jakie skarpetki włożył rano, miał tylko nadzieję, że obie są w tym samym kolorze. A tu proszę, zapamiętał, jaką kawę pije doktor Patterson.

– Więc myślisz, że Maggie ma rację? Że ten Sonny ma coś wspólnego z zaginięciem Joan?

– Kiedy pojechała do Connecticut, wciąż wysyłał jej maile. Odkąd się poznali, pisał do niej dwa, trzy razy dziennie. A potem ni stąd, ni zowąd listy przestały przychodzić w sobotę, w dniu, kiedy zniknęła. Zbyt dużo jak na przypadek, nie sądzisz?

– Ale te maile są bardzo przyjazne w tonie. Nie pisze jak ktoś, kto chciałby ją skrzywdzić.

Rozmowę przerwał telefon komórkowy doktor Patterson, która odebrała po drugim dzwonku, jakby niecierpliwie oczekiwała na wieści, jakiekolwiek wieści.

– Halo? – Jej rysy złagodniały. – Cześć, Maggie… Nie, wszystko dobrze… Tak, spotkałam się z Tullym w mieszkaniu Joan. Właśnie jest u mnie… Tak, u mnie w domu. – Przez parę minut słuchała, po czym powiedziała: – Zaczekaj. – Podała telefon Tully’emu. – Chce z tobą mówić.

– Cześć, O’Dell.

– Tully, dowiedziałeś się czegoś o Sonnym?

– Dostaliśmy się do skrzynki mailowej Begley.

– Tak szybko?

– Doktor Patterson odgadła hasło. Begley codziennie dostawała maile od tego faceta, właśnie o tym rozmawialiśmy. Są sympatyczne, takie kumpelskie, nie jak listy od kochanka. Prawda? – Spojrzał na Gwen. – Ale, o dziwo, urwał korespondencję w dniu, kiedy zaginęła.

– Możesz go namierzyć?

– Bernard nad tym pracuje. Jak dotąd, wygląda na to, że Sonny korzysta z darmowego konta, brak danych użytkownika. Założę się, że pisze na komputerze w miejscu publicznym. Pewnie w bibliotece albo jednej z internetowych kafejek.

– Rozmawiałeś dziś z Cunninghamem?

– Nie, cały dzień ma spotkania. A co?

– Udało mu się wyjść z jednego spotkania, żeby do mnie zadzwonić.

– No, no. Zostałaś zdegradowana?

– Nie jestem pewna. Nie chciałabym, żebyś wpakował się w kłopoty przez to, że mi pomagasz.

Tully podniósł wzrok na doktor Patterson. Stała przy drugim końcu blatu, popijała kawę i patrzyła na niego. Sądziła, że Tully pilnie słucha partnerki, a tymczasem nie mógł oderwać od niej oczu.

– Tully, słyszysz mnie? – Maggie krzyknęła mu prosto do ucha. – Nie chcę, żebyś wpadł z mojej winy w tarapaty.

– Nie przejmuj się tym, O’Dell.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Przygotował jej zupę, zdrowy rosół z kury, co prawda z puszki, ale świeży, zresztą nic innego nie miał. Rosół pachniał dobrze, nawet jak rozpuścił w nim kryształki. Joan nie zauważy osadu, zwłaszcza że wrzucił do zupy pokruszone słone krakersy.

Schował małą butelkę w skrytce matki, za jej zbiorem domowych leków, który zawierał melasę, miód i ocet, a także syrop przeciwkaszlowy i mnóstwo aspiryny dla dzieci. Brązowa butelka mieściła w sobie magiczne kryształki, które, jak twierdziła matka, powinny mu pomóc. Dopiero po jej śmierci, bo to śmierć uwolniła go od matczynej władzy, odkrył brązową butelkę z oryginalną naklejką ukrytą pod starą, nieważną już receptą. Drukowanymi czarnymi literami było tam napisane wprost: „Arszenik”. Zatrzymał butelkę w domu, słusznie podejrzewając, że przyjdzie dzień, gdy będzie zmuszony wykorzystać ów specyfik, który daje władzę nad innymi.

Kiedy wszedł, siedziała przy oknie, tak samo jak ją zostawił, dla odmiany przywiązana do krzesła. Patrzyła na las przez hartowane szkło. Specjalnie zamówił i sam zainstalował te grube i nietłukące się szyby. Pozwalały patrzeć na świat i wpuszczały do środka słońce, z zewnątrz zaś wyglądały jak lustrzane słoneczne ogniwa służące do ogrzewania pomieszczenia. Tworzyły znakomitą atmosferę

do pracy – słoneczną i radosną, a przy tym gwarantowały odosobnienie i ciszę. No i chroniły jego zbiory.

Podniosła na niego wzrok. Tym razem nie ruszyła ręką. Spostrzegł czerwone pręgi na nadgarstkach, świadczące o tym, że gdy go tu nie było, próbowała uwolnić się z więzów. Potem dojrzał rysy i zadrapania na podłokietniku krzesła. Zniszczyła drewno, zrobiła to celowo. Krzesło jego matki, autentyczny neoklasyczny Duncan Phyfe, któremu sam zmienił tapicerkę. Zniszczyła je, trąc sprzączkami skórzanych kajdanek o drewno.

Czuł, jak rośnie w nim złość, a wraz z nią wzbiera w nim żółć, grożąc, że cofnie się z żołądka. Już czuł w ustach jej smak. Nie, nie. Nie może wymiotować. Nie zrobi tego. Nie wolno mu myśleć o krześle. Żadnej złości. Nie może sobie pozwolić teraz na niedyspozycję.

Postawił tacę na stole obok swojego gościa i starał się nie patrzeć na porysowane krzesło.

– Na pewno jesteś głodna – powiedział, przyciągając sobie stołek.

– Nie czuję się dobrze, Sonny – wymamrotała. – Dlaczego to robisz?

– Dlaczego? Dlaczego? Ponieważ na pewno jesteś głodna – odparł śpiewnym tonem, który udawał radość, a którego tak dobrze nauczył się od matki. – Wcześniej zjadłaś kanapkę, ale od tamtej pory minęło mnóstwo czasu.

– Moglibyśmy przez chwilę porozmawiać? – prosiła.

Sonny pomyślał, że jej głos brzmi jak kwilenie. Wcześniej nie zwrócił uwagi, jaki to płaczliwy głos.

Nabrał łyżkę zupy i podniósł do ust Joan, czekał, aż je otworzy. Tylko patrzyła.

– Otwórz szeroko – poinstruował.

Nadal tylko patrzyła.

Przysunął łyżkę do jej warg i chciał ją wepchnąć na siłę, lecz Joan zacisnęła usta. I niespodzianie tak gwałtownie odwróciła głowę, że mało co nie wybiła mu łyżki z ręki. Skończyło się na tym, że zupa wylała się na rękaw jego koszuli.

Znowu poczuł w ustach smak żółci. O Boże! Nie może sobie pozwolić na niedyspozycję. Twarz mu poczerwieniała. Mimo to nabrał kolejną łyżkę rosołu i znowu podniósł ją do ust Joan.

– No już, musisz jeść.

Powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego, tym razem wyzywająco.

– Najpierw porozmawiamy.

– Posłuchaj, możemy to zrobić spokojnie albo na siłę – oznajmił wciąż tym swoim pogodnym tonem, niezależnie od wrzenia w żołądku. – No już, jedz.

Przytknął łyżkę do warg Joan, a ona zdołała na tyle podnieść skrępowaną rękę, żeby trącić go w łokieć. Tym razem zupa poplamiła mu spodnie. Będzie musiał przebrać się przed wyjściem do pracy.

Wstał niespiesznie i podwinął zabrudzone rękawy. Trudne zadanie, kiedy ręce się trzęsą, a dłonie zaciskają w pięści. Czuł zachodzącą w nim przemianę, rozgrzane żelazo, które dźga wnętrzności. Widział też, że Joan zaczyna inaczej na

niego patrzeć. Zniknęła na dobre pozorna odwaga, którą zawdzięczała środkom odurzającym. Teraz walczyła z więzami, kopała nogi krzesła i trącała je klamrami pęt u kostek, zostawiając na cennym drewnie jeszcze więcej tych okropnych rys.

– Rozumiem, że wybrałaś trudniejszą drogę – rzekł przez zaciśnięte zęby. Odłożył łyżkę na tacę i wziął z niej miskę z rosołem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

West Haven, Connecticut

Maggie nie była pewna, po co tam w ogóle pojechała. Było kilka innych miejsc, które powinna sprawdzić, zbiegi okoliczności, które należało rozważyć. Na przykład czy ktoś nazywał Jacoba Marleya Juniora Sonnym. Albo czy umowa Wally'ego Hobbsa na kopanie grobów dla zakładu pogrzebowego ma coś wspólnego z tym, że Steve Earlman nie został ostatecznie pochowany. Nie wspominając już o adresie, który znalazła w hotelowym notesie Joan Begley, bo przecież trzeba zbadać, czy tam odbyła się ostatnia randka zaginionej. Istniało mnóstwo miejsc, gdzie powinna szukać odpowiedzi, i wcale nie była przekonana, czy to jest jedno z nich. Pomimo wszystkich tych wątpliwości znalazła się na Uniwersytecie New Haven.

Laboratorium wypełniał szczególny zapach. Przypominał bulion z wołowiny i był niepokojąco przyjemny. Profesor Adam Bonzado stał nad potężnych rozmiarów kuchnią. Podnosił po kolei pokrywki kilku garnków, w których coś się gotowało, mieszał drewnianą łyżką i kładł pokrywki z powrotem, a na koniec zmniejszył trochę płomień gazu. Tego dnia ubrany był w fioletowo-żółtą hawajską koszulę i niebieskie dżinsy oraz trampki do kostek. Plastikowe okulary ochronne wisiały na szyi, kołysząc się w jednym

rytmie z papierową chirurgiczną maską. Zerknął na Maggie przez ramię. Dopiero po chwili zrobił zdziwioną minę, jakby miał spóźniony refleks.

– Przyszła pani wcześniej.

– Myślałam, że nie trafię tu tak szybko, ale nie miałam z tym problemu. Wolałby pan, żebym sobie pospacerowała i wróciła później?

– Ależ nie, nie o to chodzi. Mam pani mnóstwo do pokazania. – Raz jeszcze zajrzał do garnków i odwrócił się do niej. – Witam w naszym skromnym laboratorium. – Wykonał szeroki gest. – Proszę tu podejść i zobaczyć.

Maggie przebiegła wzrokiem półki, na których znajdował się osobliwy zbiór szklanych naczyń: słoiki po zupkach dla dzieci obok słoików po marynatach, z naklejkami, które zakrywały oryginalne nalepki. Z kąta dobiegał cichy szum urządzenia pochłaniającego wilgoć. W pomieszczeniu panował chłód, a poza zapachem wywaru mięsnego wyczuwało się lekką woń środków czystości i być może amoniaku. Na blatach stały mikroskopy i kolekcja narzędzi, począwszy od robiącej wrażenie łapy laboratoryjnej przypominającej bezzębne szczęki poprzez małe kleszcze aż do zbioru szczotek wszelkich możliwych rozmiarów.

W jednym rogu przy suficie znajdowały się dwie ogromne plastikowe bańki. Maggie zgadywała, że to pochłaniacze zapachów. Słyszała ciche mruczenie wentylatorów z wnętrza tego ustrojstwa, które przywoływało na myśl suszarki do włosów w dawnych salonach fryzjerskich. Ale to, co zobaczyła poniżej, w lot rozwiało ów sentymentalny

obraz. W podwójnym zlewie pod owymi hełmami Maggie dojrzała fragmenty szkieletu, które moczyły się w roztworze mydlanym. Z piany wystawała ręka prawie pozbawiona ciała. Zdawało się, że do niej macha.

No i jeszcze były tam długie stoły na sześciu nogach, trzy z nich pomiędzy przejściami, a na nich całe zgromadzenie czaszek i kości. Kilka czaszek patrzyło na Maggie pustymi oczodołami. Inne, zbyt sfatygowane, żeby utrzymać pion, leżały wgapione w ścianę albo sufit. Kości były rozmaitych kształtów i rozmiarów, a także kolorów. Jedne czarne jak ziemia, inne kremowobiałe, niektóre brudnoszare lub żółte jak masło. Albo jak cukierek mleczny, przemknęło Maggie przez głowę. Część z nich skrupulatnie poukładano, jakby ktoś rekonstruował rozsypaną układankę. Pozostałe, wymieszane w kartonowych pudłach na skraju stołów, czekały, aż ktoś je posortuje i da im szansę na opowiedzenie własnej historii.

– Tylko to skończę, dobrze? Potem chciałbym pani pokazać kilka ciekawych rzeczy, które udało mi się odkryć.

Bonzado wciągnął lateksowe rękawiczki, dwie pary, jedne na drugie. Włożył plastikowe okulary ochronne i maskę, wziął do ręki coś, co wyglądało jak rękawica kuchenna i uniósł pokrywę z jednego z garnków. Zaczekał, aż odparuje, sięgnął po dużą drewnianą łyżkę i zaczął nią łowić w czymś, co przypominało kawałki gotującego się mięsa i tłuszczu. Ostrożnie włożył je do czekającego już otwartego plastikowego worka.

– Uratowaliśmy tyle tkanki, ile się dało. – Podniósł głos, żeby było go słychać spod maski. Mówił rzeczowym tonem, pewnie tak samo zwracał się do studentów. – To znakomite worki, grubości czterech i pół milimetra, można je zgrzewać i wrzucić do zamrażarki. Co więcej, z zamrażarki można je przenieść prosto do wrzątku albo kuchenki mikrofalowej.

Maggie nie mogła opędzić się od myśli, że Adam mówi tak samo, jak pewien kuchmistrz prowadzący telewizyjny program kulinarny.

– Najwięcej czasu zajmuje okostna. – Podniósł długi cienki kawałek, który wyglądał jak chrząstka. – Przepraszam. – Spojrzał na nią przez okulary ochronne. – Mam nadzieję, że nie zachowuję się protekcjonalnie. Pani pewnie to wszystko wie.

– Nie, nie. Proszę mówić dalej. Na pewno znajdzie się kilka rzeczy, których nie wiem. – Prawdę mówiąc, niezależnie od czasu, który spędziła w laboratorium kryminalnym FBI, narzucając się Keithowi Ganzie, nigdy dotąd, nawet podczas studiów, nie widziała tak świetnie wyposażonego laboratorium antropologicznego. Była zafascynowana, tym bardziej że Bonzado nie miał w sobie nic z profesorskiej pychy i zadufania charakterystycznego dla wielu „wtajemniczonych”. Odnosiła wrażenie, że z radością dzieli się z nią swoimi wiadomościami, a jego entuzjazm był wprost zaraźliwy.

– Staramy się dotrzeć do samej kości – ciągnął, zapełniając kolejne plastikowe woreczki. – Zazwyczaj

używamy detergentu do mycia naczyń. Osobiście najbardziej lubię Arm and Hammer’s Super Washing Soda – rzekł głosem jak z reklamy i odpowiednio zaprezentował pojemnik. – I długo, wolno gotujemy. To zwykle pomaga. Ale zabiera mnóstwo czasu.

– To znaczy dotarcie do okostnej?

– No właśnie. – Posłał jej uśmiech, przypuszczalnie rutynowy i wypróbowany na studentach. Mimo to uśmiech Bonzado zawsze wydawał się szczery, nawet doświadczona psycholog z FBI tak go odebrała. – Są nią pokryte wszystkie kości. To ten twardy włóknisty materiał. Zawsze powtarzam studentom, że najlepiej zobaczą okostną, jedząc wieprzowe żeberka z grilla, to jest właśnie ta twarda część, która przylega do żeberek. Wie pani, o czym mówię?

Maggie skinęła głową.

– To jest okostna świni, oczywiście.

Tym razem wynagrodziła go uśmiechem, czym chyba sprawiła mu przyjemność. Równocześnie pomyślała, że nieprędko weźmie do ust żeberka z grilla. Zdumiało ją, że sprawił to taki drobiazg, bo przecież cała masa innych rzeczy nie robiła na niej żadnego wrażenia. Wprawdzie nadal nie była w stanie przełknąć niczego, czym częstował ją Keith Ganza z małej lodówki w swoim laboratorium. Maggie uznała zresztą, że to zdrowy objaw. Znak, że nie stała się na tyle obojętna, by spałaszować kanapkę z tuńczykiem, która leżała na półce obok ludzkich organów.

– Reszta niech się jeszcze pogotuje – rzekł Bonzado, zgrzewając dwa świeżo napełnione plastikowe worki, żeby

schować je do zamrażarki. Potem przystanął przy zlewozmywaku, zdjął rękawiczki i umył ręce, a następnie wtarł w dłonie esencję waniliową. Już chciał zdjąć okulary i maskę, kiedy jeden z garnków zaczął kipieć.

Bonzado podniósł pokrywkę i zamieszał w parującym naczyniu czystą drewnianą łyżką. Zmniejszył płomień, po czym mimowolnie nabrał wywaru na łyżkę, podmuchał i zrobił coś zupełnie niewyobrażalnego – wlał sobie nieco płynu do ust.

– Co pan, na Boga!

Spojrzał na Maggie, potem szybko przeniósł wzrok na garnek, czerwony ze wstydu.

– O rany. Przepraszam, nie chciałem pani przerazić. To mój lunch. – Mina Maggie mówiła, że jej nie przekonał, więc raz jeszcze nabrał pełną łyżkę i pokazał jej, żeby mogła zidentyfikować marchewkę, zieloną fasolkę i ziemniaki. – To zupa jarzynowa na wywarze wołowym. Słowo daję. – Potoczył wzrokiem po blatach, aż napotkał puszkę. – Widzi pani. To tylko zupa Campbella. Mniam mniam… pycha.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

– Przepraszam, ale przywykłem do tego otoczenia i po prostu się zapominam. Proszę wybaczyć. – Bonzado po raz trzeci wyrażał skruchę. – Wynagrodzę to pani. Może da się pani zaprosić na kolację?

– Nie trzeba, naprawdę. Nie ma sprawy. Po prostu trochę mnie to zdziwiło.

– Ależ nie, nalegam. Obok Ramada Plaza jest miła knajpka, U Giovanniego.

– No dobrze, skoro pan nalega.

– A teraz coś pani pokażę, jeśli wolno. – Zdjął maskę, a okulary przesunął na czubek głowy, burząc włosy i wcale się tym nie przejmując. Wreszcie powrócił jego entuzjazm. – No więc przejdźmy do sprawy naszego Wyrywacza Ciał.

– Wyrywacza Ciał?

– Tak go nazywają dzieciaki. Zresztą zdaje się, że tak samo mówią o nim w mediach. Musi pani przyznać, że to dobrze brzmi. W FBI nie nadajecie pseudonimów mordercom?

– Chyba wszyscy oglądają za dużo telewizji.

Swoją drogą, Bonzado miał rację. Często nadawali poszukiwanym przez siebie zbrodniarzom rozmaite przydomki. Zapamiętała z ostatnich czasów Kolekcjonera i Łowcę Dusz. Nie stanowiło to jednak zasady, a już na pewno nie miało nic wspólnego z obelgą. Być może brało

się z potrzeby zdefiniowania, zrozumienia mordercy i zapanowania nad nim. Określenie Wyrywacz Ciał było całkiem adekwatne. Adekwatne, ale zbyt łatwe.

Bonzado szerokim gestem poprosił ją do stołu, gdzie na białym płótnie spoczywały świeżo wymyte kości.

– To ten młody mężczyzna z beczki numer trzy. – Numerowanie należało, niestety, do czynności niezbędnych. Maggie słyszała, jak Watermeier kazał namalować numery na boku i na wieku wszystkich beczek. Teraz zobaczyła, że także na kościach umieszczono przywieszki z numerem.

– Młody mężczyzna? Skąd pan to wie? – Nie zaglądała wcześniej do tej beczki. Stolz oznajmił, że w środku znajduje się tylko kupa kości. Była ciekawa, czy to możliwe, żeby znaleźli na nich wystarczającą ilość tkanki mięśniowej lub skórnej, aby na jej podstawie określić choćby płeć, nie wspominając już o wieku.

Bonzado wziął do ręki kość udową. Maggie rozpoznała ją. Miała przecież wykształcenie medyczne, chociaż układ kostny nie należał do jej ulubionych tematów.

– W chwili przyjścia na świat w kilku miejscach mamy drobne kawałeczki kości, które w dzieciństwie i wczesnej młodości człowieka rosną i w końcu łączą się w całość. Jednym z takich miejsc jest zakończenie kości udowej. O tutaj – pokazał – przy kolanie. Widzi pani tę niewielką szparę? Teraz to wyżłobienie wygląda jak szrama na kości w miejscu, gdzie nastąpił wzrost. Z czasem to zanika.

Pochylił się nad kością, prawie dotykał jej czołem, a jego łokieć ocierał się o bok Maggie. Przez moment ją to

krępowało. Wyraźnie poczuła świeżą woń dezodoryzującego mydła z subtelnym śladem zapachu wody po goleniu, i to pomimo upiornych woni laboratoryjnych.

– Widzi pani? – spytał powtórnie.

Czym prędzej skinęła głową i przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, żeby się od niego odsunąć.

– Tutaj to wyżłobienie jeszcze nie zniknęło, a zatem powiedziałbym, że był to młody człowiek, między osiemnastym a dwudziestym drugim rokiem życia, co najwyżej mógł mieć dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. Czasami w przypadku nastolatków i ludzi młodych trudno ustalić płeć, ale to zdecydowanie mężczyzna. Zauważyła pani na pewno, jakie grube są te kości, a stawy są guzowate. Do tego kwadratowa szczęka oraz szerokie i nisko położone brwi.

– Co znaczy, że morderca wybrał na swoje ofiary kobietę po czterdziestce, starszego mężczyznę, który już nie żył i był zabalsamowany, i młodego mężczyznę. A czwarta beczka? Ta, w której ofiara ma odbity wzór na plecach? Wiemy coś więcej na jej temat?

– Niezbyt wiele. Stolz przesłał mi faksem zdjęcie i opis, jak wygląda rana głowy, ale dopiero na moją usilną prośbę. To kobieta. Stolz ma ogromny kłopot z określeniem jej wieku.

– Większość seryjnych zabójców wybiera konkretny typ ofiar. Ted Bundy był tak rygorystyczny, że wybierał tylko młode kobiety z długimi ciemnymi włosami z przedziałkiem

pośrodku. A ten nie ma żadnych preferencji. Nie wiadomo, według jakich kryteriów dokonuje wyboru.

– Och, sądzę, że istnieje takie kryterium. Tyle że dosyć oryginalne. Dlatego uważam, że to panią zainteresuje. – Bonzado odłożył jedną kość udową i sięgnął po drugą, a raczej po to, co z niej pozostało. Wyglądała, jakby ją odpiłowano nad rzepką. – Proszę spojrzeć na koniec prawej kości udowej. – Podał ją Maggie, która przyglądała się bulwiastej narośli czy chrząstce, również częściowo odpiłowanej.

– Co to jest?

– Zapewne miał tak od urodzenia. Domyślam się, że to ostroga kostna. Być może postępujące zniekształcenie, które czekało na operacyjne usunięcie albo korektę, kiedy kości przestaną rosnąć. Ta część kości udowej nie sprawiałaby zresztą wielkiego problemu, więc trudno coś orzec. Prawdopodobnie mężczyzna kulał, nie wiem, na ile poważnie. Mógłbym powiedzieć więcej na podstawie kości strzałkowej i piszczelowej.

– Niech zgadnę – wtrąciła Maggie. – Nie może pan powiedzieć nic więcej, ponieważ ich brak, czy tak?

– Niestety. Ale to jest właśnie poszukiwane przez panią kryterium. W ciele pierwszej kobiety brakowało implantu piersi, prawda? Stary mężczyzna miał guz mózgu, a Wyrywacz Ciał wyjął mózg. W wypadku tego młodego człowieka widocznie wziął sobie kości dolnej kończyny. Beczka była szczelnie zamknięta, kiedy ją znaleźliśmy, a zatem wszystko, co było w środku, mamy tutaj. – Pokazał

zasłany kośćmi blat stołu. – A jeśli chodzi o tę kobietę z odciśniętym wzorem na plecach… Stolz jeszcze sobie z nią nie poradził, ponieważ robaki zrobiły swoje, ale dam głowę, że coś wyjdzie, jakiś brakujący zniekształcony czy chory organ. To na pewno kryterium naszego mordercy. Jego celem jest pozbawienie ofiary wad. Może to obsesyjny perfekcjonista? Może mu się zdaje, że w ten sposób eliminuje ze świata niedoskonałości?

Urwał i trwał chwilę w milczeniu. Maggie czuła, że patrzy na nią, próbując odgadnąć jej odpowiedź.

– Więc to właśnie łączy nasze ofiary. Zbieg okoliczności należy raczej wykluczyć, prawda?

– Tak, ma pan rację – odparła. – Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Ale tych ludzi łączy coś jeszcze.

– Mianowicie?

– Wszyscy znali zabójcę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

R.J. Tully zebrał brudne naczynia i wstawił do zlewozmywaka, po czym zmiótł okruchy. Następnie wyjął laptop, postawił go na stole kuchennym, włączył do gniazdka i podłączył kable dostępu do internetu. Obudowę komputera pokrywały ślady talku do zdejmowania odcisków palców, poza tym ludzie z laboratorium pracowali szybko, czysto i efektywnie.

Bernard w dalszym ciągu usiłował wytropić nadawcę listów do Joan Begley, choć wyglądało na to, że Tully ma rację. SonnyBoy korzystał wyłącznie z komputerów w miejscach publicznych. Wyśledzili go w bibliotece publicznej w Meriden i uniwersyteckiej w New Haven. W takiej sytuacji istniało spore prawdopodobieństwo, że nigdy go nie zidentyfikują ani nawet nie zawężą listy potencjalnych nadawców według jakichś konkretnych danych. Poza korespondencją Sonny korzystał z adresu mailowego, wyłącznie wchodząc na czaty. Nie posiadał bankowego konta internetowego, nie dokonywał zakupów w sieci za pomocą karty kredytowej. Znaleźli się w ślepym zaułku.

Posługując się hasłem i grzebiąc w dokumentach Joan Begley, Tully uzyskał dostęp do jej internetowego konta. Przeczytał maile, których dotąd nie otworzyła, i zachował

je, klikając na „Zachowaj jako nowe”, na wypadek, gdyby ktoś jeszcze chciał do nich zajrzeć.

Harvey poderwał się spod stołu, czym przestraszył Tully’ego, który zapomniał już, że ma u siebie psa. Po kilku sekundach usłyszał, że otwierają się drzwi. Pies był naprawdę czujny.

– Cześć, tata – zawołała Emma, za którą weszła Aleesha, jej przyjaciółka nierozłączka.

– Wcześnie wróciłaś. – Uważał, by zbyt jawnie nie okazać zadowolenia. Ostatnio prawie jej nie widywał, a jeśli już, to w przelocie.

– Pouczymy się tutaj dziś wieczorem. Nie przeszkadza ci?

Zdążyła rzucić stertę książek na sofę i pochyliła się, by uściskać Harveya. Objęła jego potężny kark. A kiedy przyjaciółka odskoczyła, żeby nie zostać pacniętą psim ogonem, Emma parsknęła śmiechem.

– Pogłaskaj go – powiedziała do Aleeshy, która czekała na pozwolenie. – Możemy zamówić pizzę na kolację?

Dała Harveyowi rękę do polizania i podniosła wzrok na ojca. Wówczas Tully zobaczył w oczach córki jakiś błysk, iskrę, coś, czego nie widział od dawna. Było to czyste i najprawdziwsze szczęście.

– Jasne, słodki groszku. Ale pod warunkiem, że się ze mną podzielicie.

– No jasne. Zwłaszcza że ty za nią zapłacisz. – Przewróciła oczami, nadal rozpromieniona.

I pomyśleć, że wystarczy zwyczajne liźnięcie psim językiem i machnięcie psim ogonem, żeby uszczęśliwić jego córkę!

Nie do uwierzenia! Nastolatki! Nigdy ich nie zrozumie.

Mniej dziwiło go, że Emma ma prawie szesnaście lat, niż fakt, że jest ojcem szesnastolatki. I cóż on wie o dziewczętach w tym wieku? Nie ma żadnego doświadczenia z nastolatkami. Ojciec małej dziewczynki to dosyć oczywista rola. Sprawdzał się jako opiekun, ktoś, kto chroni, podziwia i dba o podstawowe potrzeby, ale odnosił wrażenie, że jego dorastająca córka uważa te wszystkie cechy za wielce dokuczliwe.

– Chodź, Harvey! – zawołała Emma z holu. – Obserwuj go, Aleesha – powiedziała do koleżanki w drodze do swojego pokoju. – On jest super. Kładzie się przy moim łóżku, jakby mnie pilnował. I te wielkie, smutne brązowe oczy. Czy nie są super?

Tully uśmiechnął się pod nosem. A więc ojciec, który podziwia i chroni córkę, jest denerwujący, za to u psa to najbardziej wartościowe cechy. Czyżby już ktoś zajął jego miejsce w życiu Emmy? Lepiej niech to będzie pies, a nie chłopak.

Wrócił do elektronicznej poczty Joan Begley. O’Dell mówiła, że morderca z kamieniołomu może być paranoikiem i cierpieć na urojenia. Sugerowała, że ukrył ciała, ponieważ nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył dzieło jego rąk, odwrotnie niż większość seryjnych morderców, którzy z premedytacją umieszczają zwłoki w widocznym miejscu. Pragną pokazać, że panują nad sytuacją. Więc ten zabójca, zdaniem O’Dell, czerpie satysfakcję z czegoś innego, nie zaś z torturowania i zabijania ofiar. Być może

w samym akcie zabijania nie znajduje żadnej gratyfikacji. Jeśli O’Dell ma rację, zabijanie jest w tym wypadku wyłącznie środkiem do celu, który Maggie nazwała trofeami. Ale jeżeli to ten sam człowiek, który uprowadził Joan Begley, czego od niej chce?

Tully przejrzał treść jednego z maili SonnyBoya do Joan Begley. Nadawca zdawał się wyrażać w nim szczere zainteresowanie i troskę. Tak, zapewne trzeba zdobyć zaufanie ofiary, żeby ją zwabić. Ale w tym liście było też coś więcej.

Tekst brzmiał następująco:

Pozwól sobie przeżyć w pełni żałobę. Pozwól sobie na smutek. Wiesz, że tak trzeba. Nie musisz się tego wstydzić. Nikt nie pomyśli, że jesteś słaba.

Czy SonnyBoy identyfikował się w jakiś sposób ze swoimi ofiarami? Czy potrafił odczuwać to co one, czy miał zdolności empatyczne? A może współczuł im tylko z powodu ich niedoskonałości? Czy sugerował empatię, bo był to element gry? Czy z Joan Begley było inaczej?

Tully zastanawiał się, czy O’Dell ma rację. Czy morderca ukrywał ciała, dlatego że był zażenowany swoim czynem? Czy to możliwe? Morderca zawstydzony potrzebą posiadania chorych i zniekształconych organów innych ludzi? Może nawet zakłopotany, że wymagało to od niego zabijania? Czy to w ogóle prawdopodobne? Dało się jeszcze wytłumaczyć, że zaczął od zmarłych. O’Dell wspominała o jakimś starym mężczyźnie z guzem mózgu, zabalsamowanym i pogrzebanym. Może zatem SonnyBoy

rozpoczął od zmarłych i stopniowo nabierał odwagi. Albo też jego potrzeba ostatecznie wzięła górę nad wszelkimi skrupułami związanymi z zabijaniem.

Tully wyprostował plecy i patrzył na ekran komputera, na ostatni list wysłany przez SonnyBoya. Jak głęboka jest jego paranoja, jak daleko sięgają urojenia? Tully bardzo pragnął się tego dowiedzieć.

Zapewne należałoby przegadać swoją teorię z O'Dell. Nie powinien robić nic głupiego ani ryzykownego. A jednak co ma do stracenia? Zresztą może to zły wpływ O'Dell, która własnym przykładem kusi go, żeby zbaczał z prostej drogi i odstawił na bok swoją wierność regulaminowi.

Przysunął krzesło bliżej stołu, jego palce zawisły nad klawiaturą. A co tam! Nacisnął ikonę „Napisz" i na ekranie otworzyło się odpowiednie okno. Żeby nie zmienić zdania, szybko napisał kilka słów i kliknął „Wyślij". A jeśli SonnyBoy więzi gdzieś Joan Begley, jeżeli trzyma ją związaną i zakneblowaną? Albo już ją zabił? Wtedy byłby zdziwiony, otrzymując od niej odpowiedź, nawet jeśli jest to jedno słowo:

Dlaczego?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Maggie wyszła z laboratorium Bonzado. Kolejny ciepły dzień dobiegał kresu, z zachodem słońca pochłodniało. Szła przez kampus, upajając się widokami i zapachami jesieni, a jej umysł nieprzerwanie przerzucał fragmenty układanki, które dodał Bonzado. Wyjęła telefon komórkowy i sprawdziła wskazówki zapisane w notesie. Budynek znajdował się chyba gdzieś niedaleko. Wybrawszy numer, potoczyła wzrokiem dokoła, ciekawa, czy jednak nie powinna pójść na drugi koniec kampusu.

– Doktor Gwen Patterson.

– Gwen, tu Maggie. Jedno krótkie pytanie. Czy Joan miała jakąś wadę, fizyczną wadę, jakąkolwiek?

– Wadę? Nie, a dlaczego pytasz?

– Wciąż usiłuję dojść, czy istnieje związek między jej zniknięciem a tym mordercą z kamieniołomu.

– Twierdziłaś przecież, że żadna z ofiar nie odpowiada rysopisowi Joan.

– Okej, nie ma co się martwić – rzekła, słysząc panikę w głosie przyjaciółki. – Tylko tak sobie pomyślałam, czy to możliwe, żeby ją porwał. Musisz być ze mną szczera, Gwen, to nie pora na tajemnice.

– Tajemnice? Uważasz, że ukrywam przed tobą jakieś informacje na temat Joan?

– No to nie tajemnice, ale coś, co mówiła ci w zaufaniu.

– Powiedziałam ci wszystko, co mogłoby pomóc ją odnaleźć.

– Jesteś pewna?

– O co chodzi, Maggie?

– Ten morderca z kamieniołomu zabierał... części ciała swoich ofiar. Chore, mające jakieś wady, zdeformowane organy.

– Na przykład?

– Na przykład zaginął implant piersi jednej z kobiet. Drugiej z ofiar brak kości chorej nogi. A mężczyźnie z niezoperowanym guzem wyjął mózg. Jeżeli Joan nie ma żadnej wady ani nie choruje, nie ma powodu przypuszczać, że ten gość ją porwał.

Wyjęła z notesu kopertę, a z niej kartę katalogową i raz jeszcze sprawdziła adres. Dlaczego nie może znaleźć tego budynku? Gwen nadal milczała.

– Gwen?

– Może coś jest, Maggie. W ciągu minionych dwóch lat Joan bardzo zeszczuplała. Kiedy o tym opowiadała, czasami mówiła, że jej problemy z wagą spowodowane są niedoborem hormonów.

– Co to znaczy niedoborem hormonów? Masz na myśli problem z tarczycą?

– Tak.

– Okej, może jednak przyszła pora, żeby się o nią martwić. Zaraz po powrocie do Meriden zadzwonię do szeryfa Watermeiera.

– A gdzie jesteś teraz?

– Powiedzmy, że załatwiam sprawy osobiste.

– Więc jednak się z nim zobaczysz?

– Nie, nie jestem w Bostonie, Gwen. Nie spotykam się z Nickiem Morellim. Nie jestem pewna, czy go jeszcze w ogóle kiedykolwiek zobaczę.

– Nie myślałam o Bostonie. Myślałam o West Haven.

Maggie mało co nie potknęła się o krawężnik. Przecież nigdy nie mówiła Gwen, że ma przyrodniego brata.

– Skąd wiesz?

– Twoja matka pytała mnie o radę, zanim dała ci jego nazwisko i adres w grudniu zeszłego roku.

– Cały czas wiedziałaś? Dlaczego milczałaś?

– Czekałam, aż mi powiesz. Dlaczego to przede mną ukrywałaś, Maggie?

– Chyba ja też czekałam…

– Na co?

– Na odwagę.

– Odwagę? Nie bardzo rozumiem. Jesteś jedną z najodważniejszych osób, jakie znam, Margaret O’Dell.

– Przekonamy się. Potem do ciebie zadzwonię, dobra?

Wpuściła telefon do kieszeni i już chciała dać za wygraną. Co jej po odwadze, skoro nie może nawet znaleźć tego miejsca. Wtem dojrzała znak ze strzałką do Durham Hall. Spojrzała na budynek, niepewna, co zrobić. Co, do diabła, skoro już tu jest, głupio byłoby nie wejść od środka.

Stanęła przy recepcji, gdzie brunetka z kolczykiem w nosie i różowym cieniem na powiekach siedziała

z otwartym podręcznikiem na kolanach, telefonem w jednej ręce i butelką wody w drugiej.

– Wiem, że to będzie na egzaminie, gadał o tym chyba tysiąc razy. – Podniosła wzrok na Maggie i nie rozłączając się, spytała: – W czym mogę pomóc?

– Szukam Patricka Murphy’ego.

Dziewczyna zerknęła na kartkę z podpisami, która leżała na rogu biurka.

– Będzie dopiero późno wieczorem, ale... Wie pani, on pracuje. Może tam go pani złapie. – Wskazała ręką na drugą stronę ulicy.

Początkowo Maggie nie była pewna, czy dobrze zrozumiała. Potem zobaczyła napis: Champs Grill. Oczywiście, pracuje na studia. To był jeden ze szczegółów, którego nie przeczytała w żadnym z posiadanych dokumentów.

W Champs Grill pachniało tłustymi frytkami, lokal był ciemny, głośny i zadymiony, a wszystkie miejsca zajmowali studenci. Maggie znalazła wolny stołek przy barze i rozpoczęła poszukiwania. Rozglądała się po sali, przyglądała kelnerom, zastanawiała, czy będzie w stanie go rozpoznać. A jeśli tak, co mu powie? Jak oznajmić komuś, kogo widzisz po raz pierwszy w życiu, że jesteś jego przyrodnią siostrą? Może powinna była uprzedzić go i wysłać najpierw kartkę firmy Hallmark. Czyż Hallmark nie ma kartek na wszelkie okazje?

Raptem w kącie sali zobaczyła wysokiego ciemnowłosego kelnera. Przyjmował zamówienie i śmiał się wraz z ludźmi

przy stoliku. Czy ten profil nie jest znajomy? To chyba młody kelner tak rozweselił gości. Twarz Maggie rozjaśnił uśmiech. Przypomniała sobie, że ojciec potrafił ją rozśmieszyć do łez. Od tamtej pory nie śmiała się tak serdecznie. Śmierć ojca przesłoniła tak wiele wspomnień. Zamiast pamiętać żarty i uściski, budził ją w środku nocy zapach jego spalonego ciała, którego nie zabiły najlepsze starania pracowników zakładu pogrzebowego. Zamiast pamiętać medalik otrzymany od niego w prezencie, który miał ją chronić przed złem, identyczny jak ten, który sam nosił, pamiętała jedynie, że medalik nie uratował ojca, kiedy wbiegł do ognistego piekła, skąd wyniesiono go jako zmarłego bohatera.

Musnęła palcami medalik, nosiła go pod bluzką. Trzeba sobie pozwolić na wspomnienia i nauczyć się, że nie wszystkie pamiątki muszą sprawiać ból. Patrzyła na kelnera w rogu sali, ciekawa, czy Patrick w ogóle wie, kto był jego ojcem. Czy matka mu to powiedziała? Czy może zachowała ten fakt w tajemnicy, zgodnie z umową, jaką zawarła z matką Maggie po śmierci ich ojca?

– Podać pani coś do picia? – dotarło do niej pytanie zza baru.

– Dietetyczną pepsi, proszę – odparła, choć tak naprawdę miała chęć na szkocką. Odwróciła się tylko trochę, żeby zerknąć na barmana.

– Z plasterkiem cytryny?

– Nie, naprawdę nie... – Urwała w połowie zdania, wlepiając oczy w barmana, jakby nagle zobaczyła ducha.

Widziała ducha. Zdawało jej się, że stoi przed nią ojciec, identyczne brązowe oczy, ten sam dołek w brodzie.

– Bez cytryny? – spytał, a na jego twarzy zakwitł uśmiech ich ojca.

– Bez, dziękuję.

Barman wrzucił do szklanki kostki lodu, dolał wody i postawił szklankę na ladzie. Maggie bardzo starała się nie gapić na niego bezwstydnie.

– Dolar pięćdziesiąt, ale bez pośpiechu. Wodę dolewamy za darmo.

Maggie straciła głos, była w stanie jedynie kiwać głową i unosić kąciki warg w uśmiechu. Barman opuścił ją, żeby obsłużyć kolejnych klientów, a ona patrzyła niczym podglądacz, obserwowała bacznie każdy jego ruch, zafascynowana, zahipnotyzowana jego dłońmi, jego długimi palcami. Włosy układały mu się identycznie jak ojcu, uparty kosmyk opadał na czoło, nie dając wiele wyboru, jeśli chodzi o fryzurę.

Po trzech dolewkach i szczegółowym podsumowaniu pogody Maggie w końcu wyszła, żeby zdążyć do Meriden na umówioną kolację z Bonzado. Zabrakło jej odwagi, żeby się przedstawić. Nie przeszło jej to przez usta, a jednak, kiedy wsiadła do wynajętego forda, czuła, jakby odnalazła coś, co straciła przed laty i za czym do tej pory nieświadomie tęskniła. I wiedziała, że na pewno tam wróci.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Luc patrzył ze zdumieniem na garnek na kuchence. Dałby głowę, że go tam nie postawił. Przestał gotować, gdy pewnego razu zapalił gaz pod patelnią z kiełbaskami i ziemniakami z cebulką, i zapomniał o nich aż do chwili, kiedy poczuł dym. Od tamtej pory jadał tylko to, co można jeść na zimno, płatki z mlekiem i kanapki.

Pokrywka była jeszcze gorąca. Nie przypominał sobie, żeby wyjmował taki ogromny gar. Rozejrzał się po kuchni. Wszystko leżało na miejscu. Sprawdził tylne drzwi – były zamknięte. Okna w kuchni także były zamknięte. Czy to możliwe, żeby ktoś tu wszedł? Może to wcale nie halucynacje, że jest śledzony. Ktoś schował się między drzewami. Ktoś go podglądał. No i te kroki, słyszał przecież kroki. I jeszcze postać odbita w szybie wystawowej dawnego sklepu mięsnego, ten mężczyzna po drugiej stronie ulicy, który go obserwował, a potem nagle zniknął. Więc może wyobraźnia wcale nie płata mu figla?

Raz jeszcze spojrzał na gar. Nigdy nie gotowałby w takim ogromnym garze. Przecież zmieściłby się w nim mały wieprzek. Zajmował aż dwa palniki. Po co byłby mu taki ogromny sagan?

Widocznie ktoś go tu zostawił. Tylko dlaczego postawił go na kuchence? W jakim celu? Chyba że chciał Luca

zdenerwować, zamącić mu w głowie. Chyba... chyba że chciał mu napędzić stracha.

Raptem oblał go zimny pot. Koszula przykleiła się do pleców. Serce zaczęło walić o żebra. Ponownie potoczył wzrokiem po kuchni i naprawdę się przeraził. Nerwowo patrzył to w jedną, to w drugą stronę. Przyspieszył kroku i ruszył do pokoju, potykał się po drodze, byle szybciej.

I wtedy panika wybuchła z druzgocącą siłą i z gardła Luca wyrwał się krzyk:

– Scrapple?! Scrapple, chodź no tu, staruszku! Scrapple! Gdzie jesteś?

Piekące łzy ciekły mu po twarzy, wycierał je rękawem koszuli. Zdawało mu się, że zaraz zwymiotuje. Ledwie szedł po schodach, bo nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Upadł i zjechał z kilku stopni, wpadł na ścianę i uderzył się w ramię. Próbował znowu wołać, ale coś zatkało mu gardło. Z ust popłynął tylko skowyt, który jeszcze bardziej go przeraził, ponieważ Luc nie poznał własnego głosu. Ten głos brzmiał teraz jak ryk rannego zwierzęcia.

Leżał na schodach, niezdolny wstać, gdyż nogi nie chciały go utrzymać. Przytulił policzek do zimnego drewnianego stopnia. Wstrząsały nim dreszcze. Nie panował nad tym. Czy takie konwulsje to objaw choroby? Objął się ciasno ramionami, najmocniej jak potrafił. Przyciągnął kolana do piersi i zatopił w nich twarz, rozpaczliwie pragnąc powstrzymać nudności i dreszcze. Nadal słyszał ów skowyt, potworne wycie, które przed chwilą dobyło się z jego gardła.

Wtem poczuł lekkie szturchnięcie i zimny dotyk. Powoli uniósł głowę, odrywając policzek od drewnianego stopnia. I natychmiast mokry jęzor polizał go po twarzy.

– Scrapple, Scrapple, niech cię diabli, dlaczego nie przychodzisz, jak cię wołam? – Chwycił psa za kark i przyciągnął do siebie, i trzymał tak mocno, że terier zaczął się wywijać i piszczeć. Ale Luc ściskał jeszcze mocniej.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Maggie obserwowała Watermeiera, który głośno tupał po małej kuchni Luca Racine'a, oglądał kalendarz ścienny, złachaną ścierkę wiszącą na gałce szuflady, brudne naczynia w zlewie. Szeryf sprawiał wrażenie, że interesuje go wszystko prócz ludzkiej czaszki zanurzonej we własnym wywarze. Ogromny gar stojący na kuchence był jeszcze ciepły.

Adam Bonzado zaproponował, żeby Luc wyszedł z nim na zewnątrz zaczerpnąć powietrza, ale najpierw nalał sobie szklankę zimnej wody i wypił duszkiem. Potem nalał drugą, tym razem, jak Maggie słusznie odgadła, dla Racine'a, po czym tylnymi drzwiami wyszedł za starym na dwór.

– Porządnie nim to wstrząsnęło – rzekła Maggie.

– To chyba zrozumiałe. – Watermeier niemal prychnął. – Mną też by wstrząsnęło, gdybym znalazł na mojej kuchence głowę jakiegoś człowieka i nie pamiętał, żebym go wkładał do garnka.

– Myśli pan, że on to zrobił i zapomniał?

– Ten jego przeklęty pies od miesięcy wykopuje różne kości. Kto wie, co Racine zatrzymał sobie na pamiątkę i co byśmy znaleźli pod jego pieprzonym gankiem. – Zauważył sceptyczne spojrzenie Maggie. – A jak to inaczej wyjaśnić?

– Czy to nie Racine, wraz z Vargusem, znalazł pierwsze zwłoki?

– Tak, a jakże. I nie tracąc czasu, opowiedział o tym telewizji. Jeszcze jeden skurczysyn, który chce się pokazać.

– Kiedy on twierdzi, że ktoś go śledził.

– Taa, a za tydzień pewnie powie, że jest Abrahamem Lincolnem.

– A już mu się to zdarzyło? – Sarkazm Watermeiera zniecierpliwił Maggie.

– Co? Gotowanie pieprzonych czaszek?

– Nie. Czy zrobił coś wyjątkowego, żeby zwrócić na siebie uwagę?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale wie pani, że stary ma Alzheimera?

– Tak, wiem – odparła spokojnie, choć przychodziło jej to z coraz większym trudem. – Z tego co wiem, Alzheimer zazwyczaj nie objawia się paranoją.

– Co pani właściwie chce powiedzieć, O'Dell? Pani uważa, że ktoś go śledził, zakradł się do jego domu i zostawił mu ten prezencik, żeby go wkurzyć? – Watermeier splótł ramiona na piersi i oparł się o blat. Mała kuchnia jakby skurczyła się. Nawet służbowe buty szeryfa zajmowały za dużo miejsca.

– A jeśli morderca widział Racine'a w telewizji? Jeśli to jego obwinia za odkrycie swojej kryjówki? – Zrobiła pauzę, dając szeryfowi szansę na odpowiedź, ponieważ jednak milczał, podjęła: – Pamięta pan, mówiliśmy, że morderca jest paranoikiem i cierpi na urojenia.

– No, pamiętam. Mówiła pani też, że będzie chciał zemścić się na kimś, kto go teraz ściga. Ale dlaczego miałby wybrać

Racine’a? Dlaczego nie Vargusa? To Vargus tak naprawdę odkrył beczki.

– Z tego co wiemy, morderca wali w czaszki swoich ofiar od tyłu, a potem ukrywa ciała. Nie mamy zatem do czynienia z człowiekiem butnym i zuchwałym. Na jego miejscu kogo by pan ścigał: krzepkiego budowlańca w sile wieku czy starego emeryta z początkami Alzheimera?

– Twierdziła pani również, że może spanikować. Że zacznie znowu zabijać.

– Tak. I prawdopodobnie porwał tę kobietę, której szukam, Joan Begley. Niewykluczone, że w sobotę w nocy pojechała na spotkanie z nim do Hubbard Park.

– Hubbard Park?

– Znalazłam notatkę w jej hotelowym pokoju: Hubbard Park, West Peak, godzina dwudziesta trzecia trzydzieści. To się zgadza z czasem, kiedy dała ostatni znak życia. Mógłby pan sprawdzić park?

– Poszukać jej wozu?

– Tak, albo ciała.

Maggie widziała, że Watermeier mruży oczy. Przestąpił z nogi na nogę i znowu oparł plecy o kuchenny blat, tyle że teraz wyglądał, jakby poważnie rozważał jej słowa.

– Pani wie, że przez ponad trzydzieści lat byłem w policji nowojorskiej?

Patrzył gdzieś nad jej głową, przez okno, może na Bonzado i Racine’a. Może. Milczał przez chwilę, a Maggie rozumiała, że wcale nie oczekuje od niej odpowiedzi.

– Widziałem masę odchyłów, O’Dell. – Zerknął na nią, po czym jego wzrok znów powędrował za okno. – To moja żona, Rosie, wymyśliła tę przeprowadzkę. Na początku nie byłem za tym. I nie chciałem kandydować na szeryfa, to był jej pomysł. Bo myślałem, że tutaj za wolno płynie czas. A potem przyszedł jedenasty września i w jeden dzień straciłem mnóstwo starych kumpli. – Wciąż nie patrzył na Maggie. – Mogłem być z nimi tego dnia, i też bym już nie chodził po tej ziemi. Tak po prostu. Później spędziłem wiele tygodni w tym piekle. Rosie nie mogła na to patrzeć, ale wiedziała, że muszę to robić. Tydzień po tygodniu tam wracałem. Musiałem. Musiałem szukać moich kumpli. Nic więcej nie mogłem zrobić. Szukaliśmy każdego parszywego dnia, jakbyśmy mogli ich jeszcze uratować, a znajdowaliśmy tylko kawałki i odpryski. Trzydzieści lat w policji, myślałem, że nic mnie nie zdziwi, ale na taką jatkę nie byłem przygotowany. Spalone twarze. Stopa w zasznurowanym bucie. Odcięta ręka ściskająca stopiony telefon komórkowy. Widziałem prawdziwą masakrę, O’Dell. Więc to – wskazał głową w stronę gara na kuchence – nie szokuje mnie. Ani nic, co jest w tych beczkach. Różnica polega na tym – w tym momencie podniósł oczy na Maggie, by się upewnić, czy uważnie go słucha – że tutaj ja mam wyjaśnić sprawę. Jakby istniało jakieś pieprzone wyjaśnienie. Oczekują ode mnie, że to rozpracuję. No i jeszcze złapię gnoja.

Maggie nie była pewna, co szeryf chciał jej przekazać. Czy potrzebował zapewnienia, że wszystko będzie dobrze? Że,

oczywiście, odnajdą mordercę? Że przygotowała już szczegółowy portret psychologiczny sprawcy, a jej portrety są zawsze celne? No tak, tylko że nie była nawet przekonana, czy Watermeier ze swoimi ludźmi i ona zdołają skutecznie ochronić Luca Racine'a.

Tymczasem Adam Bonzado wszedł tylnymi drzwiami i zerknął jeszcze przez ramię. Racine siedział na ławce na kamiennym tarasie z terierem na kolanach. Obaj patrzyli na staw. Pies momentami wodził wzrokiem za dzikimi gęsiami, które przelatywały po niebie, ale Racine patrzył tylko prosto przed siebie.

Bonzado spojrzał na Maggie, a następnie na szeryfa.

– Mogę zabrać to do laboratorium?

– Proszę bardzo. Dla Stolza to za trudne. Potrzebny mi jeszcze technik, żeby sprawdził kuchenkę. O'Dell uważa, że morderca zostawił odciski palców. – W głosie Watermeiera nie było już sarkazmu.

– A co ze starym? – Bonzado spojrzał na szeryfa.

– Niby co?

– Masz kogo zostawić z nim na noc?

– Moi ludzie i tak harują za dwóch. Nie mogę od nich wymagać...

– Ja z nim zostanę – powiedziała Maggie, zdumiewając samą siebie w równej mierze, jak obydwu mężczyzn.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Agenci zawsze tak postępują – chronią się nawzajem. Często obejmuje to również ich rodziny. Ale detektyw Julia Racine pracowała w policji, a nie w FBI. Kilkakrotnie współpracowała z Maggie, lecz nie łączyła ich przyjaźń, tolerowały się wyłącznie jako koleżanki z pracy. Detektyw Racine pokonywała szczeble kariery zawodowej, łamiąc zasady, które stały jej na drodze. Czasami lekkomyślnie ryzykowała, czasami bywała bezwzględna. Minionego roku w toalecie publicznej w Clevelandzie, w stanie Ohio, Julia Racine powstrzymała matkę Maggie przed podcięciem sobie żył. Maggie nie lubiła mieć długów. A była dłużniczką Racine. Wypadało zatem spłacić dług wdzięczności i ochronić ojca Julii przed zakusami mordercy. Poza tym Maggie poczuła szczerą sympatię do tego starego człowieka, który w niczym nie przypominał swojej córki.

Przyniosła mu tacę na taras, gdzie nadal siedział zapatrzony, mimo że widoki, które na pozór go interesowały, przesłoniły już cienie nocy. Odmówił jednak wejścia do domu, dopóki nie zabiorą czaszki i nie wywietrzeje zapach gotowanego ludzkiego ciała. Maggie włączyła wentylator nad kuchenką i otworzyła wszystkie okna, których nie zaklejono farbą przy malowaniu. Naprawdę nie czuła już żadnego zapachu, ale Luc twierdził, że on w dalszym ciągu go czuje.

– Zrobiłam dla nas kanapki. – Postawiła tacę na ławce. Poza mlekiem i sokiem znalazła w lodówce jedynie skrawki wędliny, majonez i chleb.

– Nie jestem głodny. – Luc ledwie zerknął na jedzenie i wrócił do stanu czuwania. Siedział wyprostowany, wypatrywał oczy i nadstawiał ucha, czy nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Słychać jednak było tylko nawoływania nocnych ptaków i śpiew świerszczy. Scrapple leżał na kolanach Luca, do tej pory w pełni tym usatysfakcjonowany, ale teraz znacząco spoglądał na tacę z jedzeniem, machając ogonem, żeby zwrócić na siebie uwagę pana. Luc wyciągnął rękę i wziął kawałek szynki, mówiąc:

– Dobrze żuj. Nie połykaj od razu.

Pies oczywiście połknął i czekał na dokładkę.

– Więc mi się nie zdawało. Był w moim domu – rzekł w końcu Racine, nie patrząc na Maggie.

– Tak.

Odetchnął z ulgą. Czy doprawdy sądził, że sobie to wszystko uroił? Ugryzł kanapkę, a potem zdjął kolejny kawałek szynki dla Scrapple’a.

– Ale dlaczego? Dlaczego mnie śledzi?

– Pan i Calvin Vargus ujawniliście jego kryjówkę, jego prywatny teren, więc on zachował się tak samo.

– Myśli pani, że chce mi coś zrobić? No, wie pani, jak tym innym?

Maggie szukała na jego twarzy lęku, ale Luc zajął się już jedzeniem.

– Może chciał pana tylko nastraszyć – oznajmiła, choć nie była o tym przekonana. W jej odczuciu morderca wciąż tkwił gdzieś tutaj w cieniu, mimo że ludzie szeryfa przeczesali okolicę.

– Chyba go widziałem – oświadczył Luc z powagą, a Magie usiadła prosto.

– Gdzie? Kiedy?

– Wczoraj, może przedwczoraj. Tylko jego odbicie w szybie wystawowej, jak przechodziłem. Słyszałem kroki, no, wie pani, ktoś za mną szedł, zwalniał, jak ja zwalniałem. Stanął, jak ja stanąłem.

Maggie starała się ukryć poruszenie, nie przerywać staremu, żeby mówił we własnym tempie, ale była zbyt niecierpliwa. Luc odłożył zjedzoną do połowy kanapkę i znowu zapatrzył się w ciemność.

– Jak wyglądał ten człowiek w szybie?

Luc milczał, jakby wytężał pamięć, próbował przywołać tamten obraz. Po chwili Maggi powtórzyła pytanie:

– Luc, jak wyglądał ten człowiek w szybie wystawowej?

Odwrócił ku niej twarz, rzucając wzrokiem w tę i z powrotem, zanim popatrzył jej prosto w oczy ze słowami:

– Przepraszam, kim pani właściwie jest?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Tully nie miał pewności, jak zareaguje doktor Patterson, prócz tego, że potraktuje go łagodniej niż zrobiłaby to O'Dell. Tak w każdym razie tłumaczył sobie telefon do Gwen z pytaniem, czy pozwoli, żeby do niej wpadł. Mógł jej wszystko powiedzieć przez telefon lub przesłać maila, kiedy jednak skwapliwie zgodziła się, żeby podjechał do jej mieszkania, nie wahał się ani chwili.

Otworzyła mu drzwi na bosaka, ale w spódnicy i jedwabnej bluzce, swoim normalnym służbowym stroju, tyle że bez żakietu. Bluzkę wyciągnęła na wierzch spódnicy, jakby dopiero co wróciła do domu.

– Wejdź. – Zostawiła go i poszła do kuchni, gdzie na kuchence stał garnek, z którego płynęły smakowite zapachy czosnku i pomidorów. – Jadłeś już? Bo ja nie, a po raz pierwszy od paru dni umieram z głodu.

– Wspaniale pachnie. – Nie chciał się przyznać, że z Emmą i Aleeshą zapchali się pizzą.

– To tylko zwyczajne spaghetti z sosem marinara.

Tully spojrzał uważnie na jej minę, ciekaw, czy to coś znaczy, czy Gwen pragnie mu coś przypomnieć. Zeszłego roku w Bostonie zaprosił ją do małej włoskiej restauracji, gdzie nauczyła go nawijać spaghetti na widelec. W jego pamięci zapisało się to niemal jak erotyczne doświadczenie.

Podczas gdy szukał znaków wskazujących, że Gwen także przechowała w czułych wspomnieniach ów wieczór, ona energicznie zamieszała sos, po czym zaczęła smarować masłem świeży chleb. W ogóle go nie zauważała. Nie, myli się, sądząc, że chce mu przypomnieć Boston. Co za idiota z niego. Przecież oznajmiła, że pragnie o tym zapomnieć. I mówiła to całkiem serio. Więc dlaczego ta wyprawa wciąż siedzi mu w głowie?

– Mogę ci w czymś pomóc? – spytał, zdejmując kurtkę, a potem położył teczkę z laptopem na blacie kuchennym.

– W durszlaku jest sałata rzymska. – Wskazała ręką zlewozmywak. – Mógłbyś ją przygotować?

– Jasne.

Podciągnął rękawy koszuli. Rozdzielić liście sałaty? Pewnie, że może to zrobić, pomyślał, stwierdzając z ulgą, iż pod tajemniczą nazwą kryje się całkiem normalna sałata. Dlaczego nie zwraca uwagi na takie rzeczy, na różne takie nazwy i nazwiska jak sałata rzymska czy Picasso... Pablo Picasso. Może pora, by zaczął się tym interesować. Jeżeli wie, kto to jest Britney i jakie miała entuzjastyczne przyjęcie oraz że skrót PCP oznacza coś, co zwie się również anielskim pyłem... swoją drogą, powiedział Emmie, że jeśli odkryje, iż spróbowała jakiegoś narkotyku, będzie miała szlaban do trzydziestego piątego roku życia... to z całą pewnością potrafi rozgryźć, z czego składa się świat Gwen Patterson. Co prawda Emma już go poinformowała, że Britney się kończy.

– Dobra robota, agencie Tully. – Podeszła do niego z butelkami octu winnego i oliwy. – Chleb jest już w piecu, a sos się gotuje.

Skropiła sałatę olejem i octem, delikatnie wymieszała, a potem posypała niewielką ilością świeżo utartego parmezanu i czarnym pieprzem. Pachniało fantastycznie. Tully poczuł dumę, że brał udział w wykreowaniu tego dzieła. Jak ona to robi, że wygląda, jakby nie wkładała w to żadnego wysiłku? Ostatnio sprawiało mu trudność nawet przełożenie jedzenia kupionego na wynos na normalne talerze w domu.

– Schowajmy sałatę do lodówki – powiedziała. – Poczekamy chwilę na spaghetti, a w tym czasie pokażesz mi, co tam masz.

Tully wyjął laptop, otworzył go i uruchomił.

– Jeżeli morderca i Sonny to jedna i ta sama osoba, jestem prawie pewny, że to on więzi gdzieś Joan. W dwóch mailach pisze dosyć dziwne rzeczy.

Nie spuszczał z niej wzroku, niezdecydowany, czy to rzeczywiście dobry pomysł, żeby rozmawiać z nią o jej pacjentce i ewentualnych zamierzeniach zabójcy. Doktor Patterson pobladła, być może tylko ze zmęczenia.

– Na pewno chcesz o tym rozmawiać? – upewnił się.

– Oczywiście. Przecież sama zaoferowałam pomoc. Jeśli dzięki temu odnajdziemy Joan… – Wyciągnęła rękę w stronę stojaka z butelkami wina. – Mógłbyś otworzyć?

Tully poszukał czerwonego wina i uniósł butelkę, żeby Gwen zobaczyła etykietkę i wyraziła akceptację, ale ona już

podawała mu korkociąg i sięgała po kieliszki. Widocznie gatunek wina nie miał wielkiego znaczenia.

– Maggie powiedziała, że ten człowiek zabiera różne ułomne czy chore części ciała swoich ofiar. – Udawała znowu panią psycholog, ale jej twarz nie odzyskała kolorów. – Tylko po co? To nie są trofea, jakie zazwyczaj zatrzymują sobie seryjni mordercy.

– Tak. To go wyróżnia.

– Czyżby sądził, że jego misją jest pozbawienie świata wszelkich niedoskonałości?

– Zastanawiałem się nad tym i wygląda to sensownie, jest tylko jeden szkopuł. Dlaczego nie chciał pochwalić się swoim dziełem? Większość morderców, którzy mają poczucie jakiejś misji, pragnie pokazać światu swoje dokonania. A ten facet je ukrywa. Mało powiedzieć, ukrywa, on zadaje sobie mnóstwo trudu, by nikt się o tym nie dowiedział. Wpycha ciała do beczek, zagrzebuje je pod tonami kamieni, żeby nigdy nie zostały odnalezione.

– Przedawkowanie? Śmiertelna dawka zabijania? – spytała, po czym jej twarz rozjaśnił uśmiech. – Przepraszam, fatalna zbitka słów.

Alkohol chyba zaczął działać. Policzki Gwen nabierały koloru. Tully dolał jej wina.

– Właśnie to samo chodzi mi po głowie. Po co ta przesada? Sądzę, że jest zakłopotany tym, co zrobił. – Czekał na jej reakcję, chciał poznać opinię psycholog Gwen Patterson.

– Hm… to ciekawe.

– Moim zdaniem zabijanie wcale nie sprawia mu przyjemności ani nie daje satysfakcji. Nie zrozum mnie źle, wciąż uważam, że coś zyskuje prócz fragmentów ludzkiego ciała. Może poczucie władzy, nie wiem tylko, czy na skutek samego aktu mordowania, czy raczej posiadania tych organów. Czy to ma sens?

– A co na to Maggie?

Tully po raz pierwszy podniósł swój kieliszek i wypił łyk wina.

– Jeszcze z nią nie rozmawiałem.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Chciałem to najpierw z tobą obgadać. – Po jej minie poznał, że nie kupiła tego wyjaśnienia. – Okej, nie rozmawiałem z nią do tej pory, ponieważ coś zrobiłem. I mam obawy, że nie byłaby ze mnie zadowolona.

Doktor Patterson oparła łokcie na blacie i pochyliła się ku niemu, gotowa wysłuchać sekretu.

– A co takiego zrobiłeś, agencie Tully?

– Zrobiłem numer O’Dell.

Gwen patrzyła z uśmiechem.

– O nieba, widać ma na ciebie fatalny wpływ. – Popiła wina. – Więc co?

Przysunął bliżej laptop.

– Wysłałem mu maila.

– Wysłałeś maila do Sonny’ego? To chyba jest do wybaczenia. I rzeczywiście brzmi to jak pomysł Maggie.

– Hm… Wysłałem mu maila od Joan Begley.

Czekał, co na to Gwen. Sączyła z wolna wino i patrzyła na niego znad okularów. W końcu powiedziała:

– Myślisz, że ona już nie żyje, prawda?

Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy, a na jej miejscu pojawia się zakłopotanie. Wyszło na to, że wątpił, by Joan Begley pozostała przy życiu, zwłaszcza jeśli ów Sonny to faktycznie morderca z kamieniołomu. Listy, które wymieniali Sonny i Joan w dniach bezpośrednio poprzedzających jej zniknięcie, utwierdziły Tully'ego w przekonaniu, że Sonny ją porwał i najprawdopodobniej zabił.

– Pokażę ci część korespondencji – powiedział. – Potem mi powiesz, co o tym sądzisz.

Otworzył pocztę. Gwen stanęła za jego plecami. Może była to tylko konsekwencja popijania wina, ale u Tully'ego ni stąd, ni zowąd wystąpiły kłopoty z koncentracją. Nie potrafił skupić uwagi na ekranie. Doktor Patterson czytała przez jego ramię, a on myślał tylko o tym, że ta kobieta pięknie pachnie, jak świeże kwiaty na łące po wiosennym deszczu.

– Pisze, jakby był zazdrosny o walkę Joan z nadwagą – stwierdził.

– Zazdrosny?

– Że dzięki temu ona może budzić czyjeś współczucie i zwracać na siebie uwagę.

– Twoim zdaniem jest zazdrosny o niedoskonałości swoich ofiar, o ich choroby?

– Właśnie o to mi chodzi. Tutaj na przykład napisał, że chciałby mieć jakiś powód, dla którego ludzie by go żałowali. A w tym – przesunął stronę w dół – zwierza się, że jako dziecko cierpiał na potworne bóle żołądka, a matka nigdy mu nie wierzyła. Pisze: „Dawała mi lekarstwo, po którym czułem się jeszcze gorzej”. Pisze, że od tamtej pory nie opowiada ludziom o swoich cierpieniach, ponieważ i tak nikt mu nie uwierzy. Przypomina mi hipochondryka.

Włosy Gwen musnęły skroń Tully’ego, kiedy odsunęła je z twarzy, żeby nie zasłaniały jej ekranu. Zacisnął zęby. Co też on mówił przed chwilą?

– Więc przyszło mi do głowy, że może faktycznie bolał go żołądek, może nadal cierpi, a lekarze nigdy nie znaleźli przyczyny. Może nawet zaczęli mu w końcu mówić, że bóle są tak naprawdę w jego głowie, że je sobie wymyśla. Tymczasem on poznaje różnych ludzi – faceta z nieuleczalnym guzem mózgu, kobietę, która pokonała raka piersi – i widzi, że oni spotykają się ze współczuciem, a przynajmniej zdiagnozowaniem, wytłumaczeniem swojego cierpienia. I chce, żeby jego ból został potraktowany tak samo. Może tak bardzo tego pragnie, że postanowił odebrać go innym. Dlatego zatrzymał te wszystkie chore części ciała, dzięki którym jego ofiary zyskiwały współczucie rodziny i znajomych. Stając się właścicielem implantu piersi czy guza mózgu, równocześnie zdobywał jakąś władzę.

Gwen podeszła do stołu z drugiej strony, usiadła i spojrzała na Tully’ego. No tak, za chwilę powie mu, że gada bzdury. Tymczasem rzekła:

– Więc nie ma powodu, żeby trzymać Joan przy życiu?

Nie czekała na jego odpowiedź. Nie potrzebowała jej, oboje doszli do identycznego wniosku. Wstała, podeszła do kuchenki, zamieszała sos, który za długo stał na gazie.

– Czuję się za to częściowo odpowiedzialna i nic nie mogę na to poradzić. – Zaskoczyła go, ponieważ zabrzmiało to jak wyznanie.

– Odpowiedzialna? Niby dlaczego miałabyś czuć się odpowiedzialna?

– Głupie, co? – Zaśmiała się, przeczesując ręką włosy nerwowym gestem, który już dawniej u niej zauważył. Robiła tak, ilekroć czuła się zagubiona, przez co za bardzo się przed kimś odkryła i musiała sobie przypomnieć, że przesadza.

– Nie, wcale nie głupie. Nie wiem tylko, czemu miałabyś czuć się odpowiedzialna. Jak mogłaś przewidzieć, że Joan Begley, jadąc do Connecticut, spotka mordercę?

– Nie mogłam. Ale mogłam być pod telefonem, kiedy dzwoniła. Gdybym tylko do niej oddzwoniła… Potrzebowała mnie, a mnie nie było.

– A gdybyś była? – Oparł się o blat. – Czy to by coś zmieniło? W końcu sama dokonała wyboru.

Gwen odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Ze zdziwieniem stwierdził, że są wilgotne od łez.

– Prosiła mnie o pomoc, prosiła, żebym jej to wyperswadowała. – Wytarła łzy i odwróciła głowę. Teraz chciała ukryć rumieniec wstydu.

– Zapomina pani o czymś, pani doktor.

– To znaczy?

– Ona sama zdecydowała, że tam pojedzie. To ona odpowiada za swoje wybory, a nie ty. Nie nauczyli cię tego w tej twojej szkole?

Raz jeszcze ich oczy spotkały się. Gwen próbowała unieść kąciki warg w uśmiechu, ale wysiłek był zbyt wielki.

– Czasami – kontynuował Tully, odsuwając głośne podszepty rozsądku, który kazał mu zamilknąć – trzeba sobie trochę odpuścić. Nie możesz odpowiadać za wszystko, co robią twoi pacjenci. – Nie słuchając rozumu, podszedł do niej, objął ją delikatnie i przytulił do piersi.

Potem pochylił głowę i musnął pocałunkiem jej włosy. Odniósł wrażenie, że przyjęła to z chęcią, przytuliła się mocniej, więc pocałował jej szyję. Odsunęła głowę tylko tyle, żeby dać mu dostęp do swoich warg, więc Tully przestał się wahać. Całował ją tak, jak pragnął to zrobić od czasu wspólnego wyjazdu do Bostonu.

Potem oderwała od niego wargi, by szepnąć mu do ucha:

– Zostań ze mną na noc, Tully.

Jego ciało już miało powiedzieć: „Tak”, kiedy rozsądek uderzył go jak młot. Trzymał Gwen mocno, czule pieścił szyję, ale odparł:

– Nie mogę. Boże, bardzo bym chciał, ale nie mogę.

Odepchnęła go, widział, że jest zażenowana i zraniona.

– Oczywiście – rzuciła służbowym tonem, do którego powróciła, żeby zdystansować się od swojego zakłopotania. – Przepraszam, nie powinnam była.

– Nie, nie rozumiesz.

– Oczywiście, że rozumiem. – Już stała przy kuchence i ubijała sos marinara. – Nie miałam zamiaru przekraczać granicy.

– To chyba ja pierwszy ją przekroczyłem.

– Nieważne, nie powinnam była sugerować…

– Gwen, przestań. Nie mogę zostać ze względu na Emmę.

Obejrzała się na niego, na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. Grymas bólu, który sprawiło odrzucenie, zniknął.

– W innym wypadku… cóż, w innym wypadku na pewno byśmy tu nie stali i nie rozmawiali.

– Ale może powinniśmy o tym porozmawiać.

– Nie, absolutnie nie. – Podniósł rękę, żeby uciszyć ewentualne słowa Gwen. – Dlatego lepiej będzie, jak w tej chwili wyjdę. Nie zamierzam pozwolić, byśmy zagadali tę sprawę na śmierć i wyperswadowali sobie coś, co jeszcze nie istnieje. – Zaczął pakować teczkę. Następnie zdjął kurtkę z oparcia krzesła, włożył ją i podszedł do Gwen, do kuchennego blatu. – Lubię z tobą analizować wizerunki psychologiczne morderców, ale tego nie chcę poddawać psychoanalizie. Cokolwiek to jest, niech tak na razie zostanie, dobrze? – Nie pozwalając jej odpowiedzieć, znowu ją pocałował, a był to namiętny i długi pocałunek. Potem wyszedł, bez odpowiedzi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Lubił robić zakupy o tej późnej porze. Alejki między półkami w Stop & Shop były prawie puste. Wciąż wrzała w nim złość, co prawie nieuchronnie groziło nawrotem nudności, ale szczęśliwie nie było nikogo, kto mógłby zauważyć, jak pędzi do ubikacji albo nagle zostawia wózek i wybiega ze sklepu. Przypomniał sobie przy okazji, że powinien kupić zapas tego kredowego paskudztwa.

Od wyjścia z biblioteki czuł mrowienie w palcach i słabość w nogach. Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy nikt na niego nie patrzy, czy nikt go nie śledzi. Przecież ktoś chce go zniszczyć. Ciekawe, jak na to wpadli? Skąd zdobyli jego adres mailowy?

Początkowo przypuszczał, że to ten stary. Ale teraz był przekonany, że to ta wścibska dziennikarka. Suka! Powinien był przewidzieć, że sprawi mu kłopot. Łaziła za nim. Widział ją w kilku miejscach, węszyła dokoła. Wczoraj o mały włos nie wpadł na nią, a ona udała, że go nie widzi, jakby był przezroczysty. Udawała, że nic nie wie, ale to nieprawda. Bo jaka siła przyciągała ją wszędzie tam, gdzie tylko się pojawił?

A teraz bawi się z nim, wysyła mu maile i podszywa się pod Joan. To na pewno ta dziennikarka.

Na pewno ona. Na pewno.

Ale skąd wie? Jak się wywiedziała, że Joan jest u niego? Czy ten stary jej coś powiedział? Może widział tamtej nocy w Hubbard Park, jak zabierał Joan do samochodu?

Najważniejszy jest spokój. Trzeba głęboko oddychać. Już on się zajmie swoimi wrogami, wszystko w swoim czasie. Teraz trzeba zachować spokój. Postukał palcem w kieszeń, upewniając się, że wciąż jest tam kartka. Kiedy w bibliotece przeczytał tego maila, sprawdził adres i numer telefonu stacji telewizyjnej. Jakaś recepcjonistka poinformowała go, że Jennifer Carpenter wróci dopiero o wpół do jedenastej. Żeby zadzwonił po wiadomościach o jedenastej, jeśli życzy sobie z nią rozmawiać. Rozmawiać? Tak, może chce z nią porozmawiać. Zapytałby ją na przykład, dlaczego się za nim włóczy. Dlaczego go dręczy.

Przeglądał towar na półkach, próbując złapać oddech i skoncentrować się na zakupach. Wybrał kilka słoików z galaretką owocową. Te trzydziestoczterodekowe będą akurat. Potem wypatrzył duży słoik z oliwkami. Wziął go do ręki, obejrzał, prawie kilogram, szeroki wygodny otwór i zakrętka. Włożył go do wózka obok puszek z zupą i bochenka białego chleba. Majonez. Przypomniał sobie, że skończył się majonez. Szkoda tylko, że nie sprzedają go w dużych słoikach, akurat był tylko w plastikowych opakowaniach o pojemności kilogram osiemdziesiąt. A plastik nie jest dostatecznie dobry.

Starał się zapomnieć o mailu i złości, którą w nim wzbudził.

To głupie, głupie, głupie.

To głupie, żeby się z nim w ten sposób zabawiać i udawać Joan Begley. A zatem ona chce go zniszczyć. Oni wszyscy chcą go zniszczyć. Ten stary, nawet ta agentka FBI. Nikomu nie ufał. Wszyscy mieli na oku jeden cel: złapać go. Niech na to nie liczą. Nie zdołają go zniszczyć, jeśli tylko pierwszy zacznie eliminować swoich wrogów.

Ta myśl przywołała na jego twarz szeroki uśmiech. Tak, zajmie się nimi po kolei. Co prawda odkryli jego cmentarz, ale znajdzie sobie inne miejsce. Od razu odzyskał energię i poczuł, że panuje nad sytuacją.

Ruszył przed siebie sklepową alejką. Ktoś mówił, że stary choruje na Alzheimera. Nie podobało mu się, jak o tym mówili, jakby taki Alzheimer wymagał współczucia. Jakby im było żal starego.

Ciekawe, na czym to polega? Jak się objawia choroba o nazwie Alzheimer? Czy mózg się kurczy? Może zmienia kolor? Chętnie by to zobaczył na własne oczy.

Poprzednio wystarczył mu duży słoik po piklach, szukał teraz podobnego słoja. Tak, mózg Steve’a Earlmana mieścił się idealnie w dużym słoju po piklach, więc i dla Luca Racine’a powinien starczyć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Luc coś usłyszał. Obudził go jakiś hałas. Oparł się na łokciu i spojrzał na Scrapple'a, który leżał brzuchem do góry w nogach jego łóżka. Albo znowu ma halucynacje, albo jego pies jest kompletnie bezużyteczny w roli stróża domu.

Nadstawił uszu, lecz przeszkadzało mu głośne walenie własnego serca. Może to ta kobieta z FBI na dole, ta koleżanka Julii. Przywykł do samotności. Ta kobieta obiecała, że nie zawiadomi Julii. Miał nadzieję, że dotrzyma słowa. Nie chciał sprawiać córce kłopotu. Nie chciał, żeby pędziła do domu tylko z litości. Nie chciał jej…

Do diaska! Coś poruszyło się w szafie. Nocna lampka w gniazdku na ścianie nie dawała wiele światła. Zmrużył oczy. Drzwi szafy były uchylone na jakieś trzydzieści centymetrów. Nigdy nie zostawiał otwartej szafy, zawsze dokładnie ją zamykał. Raptem zobaczył w środku jakiś cień. Tak, ktoś był w jego szafie. O Jezu drogi! Ten człowiek wcale nie wyszedł. Stał w szafie. Stał tam i czekał. Pewnie czekał, aż Luc mocno zaśnie.

Przytulił głowę do poduszki, udał, że zasypia, ale leżał tak, żeby widzieć drzwi szafy. Znowu nadstawił uszu, ale tym razem niczego nie usłyszał. Serce waliło mu strasznie głośno i nie panował już nad oddechem. Co robić? Czy ma pod ręką coś, czym mógłby się obronić? Lampa? Była podłączona do gniazdka w ścianie i za mała. Wędrował

wzrokiem po pokoju – szukał czegoś, czegokolwiek – i zawsze wracał do cienia. Chyba się znowu poruszył?

Co z tym cholernym Scrapple'em? Pies leżał na plecach i nawet nie chrapał, a co dopiero mówić o warczeniu. Jak to możliwe, żeby pies nie wyczuł obcego?

Może kij do bejsbola? Tak, miał w domu taki kij. Piłkę, kij i rękawicę. Czasem grywali z Julią. Lecz kogo on chce oszukać? To było lata temu. Nie miał pojęcia, gdzie się podział przeklęty kij.

Na dole jest agentka FBI. Jak by tu ją zawołać? Czy zdołałby wymknąć się z pokoju? Razem ze Scrapple'em? Może z niego marny stróż, ale za nic go tu nie zostawi.

Wtem ujrzał czubek kija bejsbolowego wystający spod łóżka. Tak, tu go trzyma. Spuścił rękę. O żeż ty! Nie dosięgnął. Spojrzał na drzwi szafy. Czy nie są przypadkiem ciut szerzej otwarte? O Chryste Panie, jak on teraz wyjdzie? Nie ma czasu na wahanie.

Luc wyskoczył z łóżka. Walnął przy tym kolanem o komodę i obudził Scrapple'a, ale za to podniósł kij bejsbolowy i szybkim krokiem podszedł do szafy, nie zatrzymując się, nie czekając, otworzył ją na całą szerokość i uniósł kij. Uderzył kilka razy bardzo mocno, zrzucając cień na podłogę. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że właśnie zatłukł swój jedyny garnitur, który niedawno odebrał z pralni i powiesił w szafie w plastikowym worku. Chciał mieć pewność, że pozostanie czysty i wyprasowany, gotowy na jego pogrzeb. A teraz ubranie zmieniło się

w pogniecioną szmatę, zwiniętą na podłodze szafy, za karę, że nastawało na jego życie.

Luc przycupnął na brzegu łóżka, głaskał przestraszonego i skonfundowanego psa i czekał, aż przestaną mu drżeć ręce. Ależ zrobił się z niego śmiechu warty dziad! Co z nim jest, do diaska? Mało, że traci pamięć, to na domiar złego chyba odbiera mu rozum.

Po chwili jego uszu dobiegł kolejny hałas. Stłumiony głuchy odgłos, jakby na tyłach domu. Tym razem także Scrapple go usłyszał.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Minęło już sporo czasu, odkąd Maggie spała poza domem, nie mówiąc już o wyciu kojotów dochodzącym z oddali. Kiedy próbowała umościć się wygodnie na starej wysiedzianej sofie, miała wrażenie, że słyszy na górze Luca. Po tym, jak na chwilę utracił pamięć na tarasie, uznała, że nie pójdzie do niego. Obawiała się, że Luc właśnie buduje barykadę z mebli, niczym lunatyk nieświadomy swoich czynów.

Nie, to śmieszne, natychmiast udzieliła sobie reprymendy. Alzheimer nie objawia się kompletnie absurdalnym zachowaniem, a przynajmniej nic jej o tym nie wiadomo. Choć tak naprawdę – co wie o tej chorobie? Żałowała, że dała słowo staremu, iż nie zadzwoni do jego córki. Racine powinna wiedzieć, że życie jej ojca jest zagrożone. Zresztą może stary nie zapamięta obietnicy. Albo ona skłoni go, żeby sam zatelefonował do Julii.

Patrzyła na cienie gałęzi, które tańczyły na suficie. Luc miał w całym domu zapalone małe nocne lampki. W momencie słabości przyznał się do obawy, że któregoś dnia zapomni, jak się zapala światło, i będzie musiał siedzieć w ciemności. Cóż to musi być za okropne uczucie. Człowiek zdaje sobie sprawę, że jego pamięć, nawet dotycząca spraw podstawowych, zaczyna się kruszyć. Albo

w ogóle zanika. Pomyślała znowu o Patricku, ciekawa, co brat wie o swoim ojcu, jeżeli w ogóle coś wie.

Jej wspomnienia, zwłaszcza te z dzieciństwa, strata ojca i dorastanie u boku matki alkoholiczki o skłonnościach samobójczych, te okropne wspomnienia były ciężarem, którego chętnie by się pozbyła. Jednak tego dnia, przypominając sobie dobre chwile, zrozumiała, że się oszukiwała. A gdyby tak była tym starym Lukiem Racine'em i nie potrafiła już oddzielić faktów od fikcji, nie wiedziała, co już minęło, a co jeszcze trwa... jakież to musi być przykre, jak bardzo bolesne. A przecież ona, mając wybór, zachowała tylko najgorsze wspomnienia.

Postanowiła, że następnego dnia pójdzie do sklepu i kupi wyłączniki czasowe do lamp oraz jakieś trwalsze, lepszej jakości żarówki. Może jedną lub dwie nowe lampki. Nie ma tyle władzy, żeby sprawić, by Luc nie zapomniał, jak się włącza światła, ale może przynajmniej zyskać pewność, że nigdy nie zostanie w ciemności.

Usłyszała jego kroki na schodach i usiadła. Zanim zszedł na sam dół, widziała jego wydłużony cień. Niósł coś na ramieniu, a tuż za panem biegł jego mały terier.

O Jezu! Czyżby Luc naprawdę był lunatykiem? Nie mogła sobie przypomnieć, czy lunatyka należy obudzić, czy lepiej zostawić go w spokoju.

Po chwili zobaczyła, że opiera na ramieniu kij bejsbolowy, jakby zaraz zamierzał kogoś nim uderzyć. Maggie instynktownie sięgnęła po smith & wessona, i wtedy spostrzegła, że Luc kładzie palec na wargach i szepcze:

– Ktoś jest na zewnątrz.

Maggie stwierdziła, że stary jednak jest lunatykiem albo coś sobie uroił na skutek stresu, jaki przeżył tego koszmarnego dnia. Myślała tak, dopóki nie ujrzała cienia, który przemknął za frontowym oknem.

Uniosła rękę, dając Lucowi znak, żeby nie podchodził do okna. Terier warczał, ale trzymał się blisko pana. Maggie zbliżyła się do drzwi wyjściowych z rewolwerem skierowanym lufą do dołu. Otworzyła zamki, powoli i cicho. Spojrzała przez ramię na Luca, żeby upewnić się, że stoi za linią ognia. Potem bez wahania szeroko otworzyła drzwi ze smith & wessonem wycelowanym w twarz cienia, który właśnie wszedł w światło ganku.

– Jezu, Bonzado, co pan tu robi, do diabła?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Tak bardzo go przestraszyła, że upuścił jedną z toreb, rozsypując zakupy po całym ganku.

– Nie spodziewałem się, że będziecie już spali. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak późno. Obudziłem was?

– Przeraził nas pan śmiertelnie. Co pana tu przygnało, do diabła?

Maggie patrzyła, jak profesor zbiera rozsypane puszki i kartony. Spojrzała do tyłu na Luca, zaniepokojona, czy znowu nie odpłynął w niepamięć.

Racine stał nadal z kijem w ręku i patrzył na Bonzado, niezdecydowany, czy zrobić z kija użytek.

– W porządku, Luc – uspokoiła go Maggie. – To tylko profesor Bonzado. Pamięta go pan? Spotkaliście się dzisiaj po południu.

– Po co wrócił? – dopytywał się Luc. – Dlaczego łazi tu po ciemku?

– Dobra uwaga. – O'Dell odwróciła się do profesora.

Bonzado podniósł na nią wzrok, zbierając na czworakach puszki, które poturlały się pod huśtawkę.

– Wcale nie łażę po ciemku. Szedłem do drzwi, ale nie zdążyłem zapukać, bo przystawiła mi pani lufę do twarzy.

– Co pan tu robi? – spytała ponownie.

– Zauważyłem, że pan Racine ma pustą lodówkę, więc pomyślałem, że przyniosę co nieco. Naprawdę do głowy mi

nie przyszło, że już śpicie. Nie ma jeszcze dziesiątej. – Wstał, otworzył jedną z papierowych toreb i wyjął małe białe pudełko. – I chciałem przynieść pani deser, skoro nasza kolacja została, przynajmniej na razie, odwołana.

– Powinien pan najpierw zadzwonić. – Trudno było się na niego gniewać, bo sprawiał wrażenie, że szczerze pragnął sprawić im przyjemność.

– Próbowałem, ale chyba wyładowała się pani komórka, a nie znam numeru pana Racine'a.

– Podaliby panu w informacji. – Maggie nie zamierzała całkiem odpuścić. Nie podobało jej się też, że Luc stoi w milczeniu. W końcu jednak wyszedł na ganek, żeby pomóc Bonzado. Wziął jedną z toreb i zajrzał do środka.

– Ja niewiele gotuję.

– Tak myślałem, więc kupiłem trochę dobrej wędliny, sery, pieczywo, mleko i kilka rodzajów płatków. Aha, i bułeczki owocowe. Są całkiem dobre na zimno. Nawet nie trzeba ich wkładać do tostera, naprawdę, musi pan spróbować.

Mężczyźni minęli Maggie. Bonzado zerknął na rewolwer, którego jeszcze nie schowała do kabury, a potem podniósł na nią wzrok i posłał jej uśmiech.

– Jezu, ale pani jest niedobra dla faceta, który przyniósł pani kawałek sernika.

– Powiedział pan sernika? – Teraz Luc słuchał z uwagą i entuzjazmem.

– Owszem. Prosto ze Stone House. Z czekoladą i migdałami. – Bonzado poszedł za Lukiem do kuchni.

Maggie pokręciła głową. Na chwilę wyjrzała na ganek. Dlaczego nie słyszała, jak Bonzado przyjechał, ani nie widziała reflektorów samochodu? Zobaczyła pikap dosyć daleko od domu, na podjeździe. Dziwne, że nie zaparkował za jej escortem.

Kiedy się odwróciła, żeby wejść do środka, usłyszała szum innego silnika, gdzieś za drzewami, na Whippoorwill Drive. Lecz nie zobaczyła wozu. Zeszła z ganku w ciemność i wyciągnęła szyję, żeby dojrzeć cokolwiek przez gałęzie, skąd dochodził niski, łagodny szum.

Nie wypatrzyła jednak samochodu, ponieważ kierowca zapalił światła, dopiero gdy odjechał na bezpieczną odległość. Potem wyrwał do przodu, a tylne światła auta mignęły za pierwszym zakrętem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Taca z jedzeniem, którą zostawił na stoliku przy łóżku, wzbudzała w Joan obrzydzenie. Nie mogła jeść. Niczego by nie przełknęła. Nie wiedziała, co dodawał do jedzenia i co sprawiało, że czuła, jakby ktoś ciął jej wnętrzności ostrym nożem. Nie przywiązywał jej już skórzanymi pętami, bo nawet gdyby chciała, nie byłaby w stanie opuścić łóżka. Całymi godzinami, jak jej się zdawało, leżała skulona w pozycji embrionalnej i z rozpaczliwą determinacją próbowała pokonać ból.

Już nawet nie starała się przekonać Sonny'ego, by ją wypuścił. Nie marzyła o ucieczce z drewnianego domku. Pragnęła jedynie uciec od bólu. Może na koniec Sonny ją zabije. Tylko dlaczego nie skończył z nią od razu? Zamiast tego bez przerwy przynosi jej jedzenie. Już sam zapach zupy przypominał Joan, jak reaguje na nią jej organizm. I wnętrzności z miejsca zaczynały ją palić. Mdłości nie opuszczały jej ani na moment, trwały godzinami, jakby cierpiała na chorobę morską podczas wycieczki statkiem, który nie zawija do żadnego portu. Nie mogła o tym myśleć, lecz nic poza tym nie czuła. Kiedy więc siadał obok niej na łóżku i pokazywał swoją kolekcję, patrzyła jakby przez niego i udawała zainteresowanie.

W takich chwilach Sonny był znów małym chłopcem, podnieconym i niespokojnym, jakby chwalił się swoimi

skarbami i opowiadał ze szczerej chęci podzielenia się rozpierającym go entuzjazmem. Każdy kolejny okaz z jego zbioru był bardziej odrażający niż poprzedni, więc Joan co i rusz groziły torsje, choć w jej żołądku nic już chyba nie pozostało. Usiłowała nie myśleć, że te... kluchy w słoikach pochodzą od różnych ludzi. Starała się udawać, że Sonny nikomu ich nie wyciął.

Właśnie prezentował zawartość dużego słoja z białą pokrywką. Nie chciała spojrzeć z bliska, nie pozwoliła swoim oczom przykleić się do czegoś, co wyglądało jak brudnożółta kula tłuszczu.

– To sprawiło mi niespodziankę – mówił Sonny, podnosząc słój na wysokość jej oczu. – Wiedziałem, że wątroba alkoholika nie wygląda zupełnie normalnie, ale to... – Uśmiechał się i wyjaśniał, jakby trzymał w rękach zdobytą w konkursie nagrodę: – Podobno normalna ludzka wątroba ma taką samą konsystencję i kolor jak wątroba cielaka. No wiesz, taka, którą możesz kupić w supermarkecie. – Powoli obrócił słój dokoła, demonstrując go w całej okazałości. – Widzisz, alkohol powoduje, że kolor blaknie.

Wstał i postawił słój na jednej z górnych półek. Joan miała nadzieję, że pokaz dobiegł końca. Ale Sonny wrócił do niej i przystanął obok tacy z jedzeniem. O Boże drogi, nie wytrzyma, jak znowu zacznie ją karmić na siłę. Nie przeżyje ani jednej łyżki więcej. Ale on nie tknął nawet miski, wziął za to do ręki brązową papierową torebkę, którą przyniósł ze sobą na tacy. Usiadł obok Joan i wyjął z torby kolejny słoik, taki zupełnie zwykły, na dżem owocowy. A jednak jego

zawartość nie przypominała dżemu. Płyn był przezroczysty jak w pozostałych naczyniach. I podobnie jak w tamtych, i tu coś pływało.

– To mój najnowszy nabytek. – Pokręcił słoikiem przed nosem Joan. Potem chwycił mocno naczynie i przysunął je tak blisko jej twarzy, że chcąc nie chcąc, rozpoznała pływające w środku dwie jasnoniebieskie gałki oczne. – Zadziwiające, że nic nie widziały bez bardzo grubych szkieł, prawda?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Minęła północ. Z furią rzucił mopa do kąta i wpadł w jeszcze większą wściekłość, ponieważ przy okazji lawinowo poprzewracały się narzędzia ogrodnicze. Opróżnił wiadro do kanału w podłodze, wstrzymując oddech, gdy polewał wodą wymiociny, żółte śluzowate kawałki, tak dobrze znane mu z dzieciństwa, z metalowego pojemnika, który zawsze stał przy jego łóżku. Miał już dość tych jej nieustających wymiotów.

A przecież sam to zaplanował. Tak, chciał, żeby wymiotowała. Chciał jej pokazać, że ma nad nią władzę. Pragnął tego, a równocześnie czuł odrazę. Szkoda, że nie kazał jej po sobie posprzątać, tak jak jego matka, która zmuszała go, by sprzątał swoje brudy, skoro już napaskudził.

Powinien też czuć się silny i pewny siebie, zwłaszcza teraz, gdy miał już tę ostatnią zdobycz. Tymczasem żołądek nie przestawał go boleć, mimo że wypił naraz co najmniej pół butelki kredowego paskudztwa. Tak zwana medycyna obiecywała, że zapobiegnie mdłościom. Już nie może na nią liczyć. Dlaczego mu nie pomaga? Dlaczego wszystko i wszyscy zmówili się przeciw niemu?

Pragnął, żeby Joan Begley zobaczyła i zrozumiała, jaką potężną władzę nad nią posiada. Żeby była słaba i bezbronna. Matka osiągnęła w tym mistrzostwo. Najpierw

kontrolowała jego ojca, potem zajęła się nim. Dlaczego on tego nie potrafi? Ale on nienawidzi tych ohydnych brudów.

Nienawidzi, nienawidzi, nienawidzi!

Chwycił tasak rzeźniczy ze stołu i wbił w drewniany blat. Potem znów rzucił ostrzem w drewno. I jeszcze raz. I jeszcze, i jeszcze.

Odłożył tasak. Drewniany stół miał mnóstwo cięć i rys, otwartych ran, które zadał mu w czasie napadów złości. To był stół do pracy ojca i do dnia jego śmierci pozostał w idealnym stanie. Ale potem on przejął cenny stół, warsztat ojca, jego schronienie, i zamienił w swoje doskonałe schronienie. Tylko w tym jednym miejscu pozwalał sobie na okazywanie prawdziwych emocji. To był sekretny azyl, który go osłaniał, unicestwiał i pochłaniał jego ból, cierpienie, złość. To on dawał mu poczucie zwycięstwa, a czasami nawet władzy.

Obrócił się i oparł plecami o stół, chłonął widoki i zapachy magicznego miejsca. Zapachy, które tak bardzo lubił: świeżych trocin, opiłków żelaza i benzyny – związane z kryjówką ojca – zostały, niestety, zastąpione przez zapachy jego kryjówki: zakrzepłej krwi, gnijących kawałków ciała, formaldehydu, amoniaku, a teraz jeszcze wymiocin. Jedyną wonią z tej listy, która mu przeszkadzała, był odrażający smród wymiocin.

Podziwiał ojcowską kolekcję narzędzi, które wisiały na ścianie w równych rzędach na kołkach i hakach. Dodał do nich haki na mięso, noże do kości i rzeźnicze tasaki, które wisiały obok kluczy francuskich, łomów i pił do metalu.

Poza tym zostawił ścianę z narzędziami w takim stanie, w jakim była za życia ojca, oddając hołd jego godnej podziwu pedanterii, czyszcząc i odwieszając narzędzia po każdym użyciu. Z równą pieczołowitością przechował imadła przymocowane do stołu, a także piłę do kości i ogromną rolkę białego grubego papieru w urządzeniu z metalowym ostrzem, tak ostrym, że przecinało papier przy najlżejszym dotknięciu.

W rogu pomieszczenia stała stara zdezelowana zamrażarka, szare rysy na emalii wyglądały jak szramy, a niski szum przypominał mruczenie kota. Zamrażarka także należała do ojca, który trzymał w niej najlepsze kawałki mięsa oraz pstrągi czy okonie złowione podczas rzadkich wypraw na ryby. Po śmierci ojca zamrażarka służyła Sonny’emu jako pojemnik na zdobycze, zanim nauczył się przechowywać je bardziej fachowo. Szybko się zapełniła. Teraz nie była już jedyna, druga stała obok za drzwiami, a kolejna w domu.

Półki na przeciwległej ścianie dorobił sam. Ustawił na nich fiolki i flakony, słoje kamionkowe i szklane słoiki po dżemach, gliniane garnki, szklane rurki, plastikowe pojemniki, butelki z szerokim otworem i akwaria. Wszystkie były nieskazitelnie czyste i czekały, aż zapełni je swoimi trofeami. Nawet tanie, kupione w sklepie słoiki po piklach błyszczały czystością, nie widać było choćby śladu naklejki.

Najbardziej dumny był z górnej półki, na której umieścił kolekcję swoich narzędzi: lśniące skalpele, noże i ostrza, szczypce, sondy i próbniki z nierdzewnej stali oraz

rozmaitych kształtów i rozmiarów miski. Większość z nich ukradł z pracy, wynosił je pojedynczo, by nikt nie zauważył, że nagle jest ich mniej.

Tak, ten warsztat napawał go dumą. Tutaj czuł, że ma władzę. I choć zapach wymiocin wywracał mu żołądek, tutaj nigdy nie wymiotował. To w tym miejscu pozbawiał innych źródła ich cierpienia, tych różnych niedoskonałości i deformacji, które dawały im prawo do przechwałek. Zabierał, zatrzymywał to wszystko dla siebie.

W dzieciństwie jego choroba nie została nazwana ani umiejscowiona. Nigdy nie mógł pokazać chorej nogi, poskarżyć się na wadę serca czy bezcenny guz i powiedzieć: „Widzicie, to przez to mam taki chory żołądek”. Gdyby był w stanie to uczynić, nikt nie śmiałby wątpić w jego słowa, szeptać po kątach szpitala, sugerować, że powinien „iść na terapię”.

Zabrakłoby im odwagi, żeby go wyśmiewać i pokazywać palcami, kiedy prosił, by nauczyciel zwolnił go z lekcji. Nie wyzywaliby go od słabeuszy i głupków. Gdyby miał choćby jeden rakowaty guzek, jedną zdeformowaną kończynę, którą mógłby się chlubić, mówiliby o nim, że jest dzielny i silny, że jest małym wojownikiem, a nie marudnym bachorem.

Jakże złościli go ci wszyscy ludzie, którzy rościli sobie prawo do bólu. Zazdrościł im, dosłownie szalał z zawiści. Im wolno było narzekać ile wlezie i nikt nie kazał im się zamknąć i rozchmurzyć. I nawet nie zdawali sobie sprawy, jakie bezcenne posiadają skarby. Głupcy. Wszyscy głupcy.

A więc ich porżnął i wyciął to, co wyróżniało ich spośród pozostałych, dzięki czemu byli wyjątkowi, co dało im prawo do skarg i próżności. Wyciął ich skarby i odtąd należały do niego. Dawały mu siłę. Dawały mu władzę.

Teraz musi zrobić to samo z Joan Begley. Musi skrupulatnie wykonać swój plan. Tylko w ten sposób uzyska nad nią władzę. Tylko czym się posłuży?

Przejrzał narzędzia i podrapał się w szczękę. Nie był przecież nawet pewien, co naprawdę dolega Joan. Gdzie może się mieścić źródło niedoboru hormonów? Czy to przysadka mózgowa? Ta znajduje się z tyłu pod mózgiem. Potrzebowałby piły do kości i wiertła. A może chodzi o tarczycę, która byłaby łatwiejsza do wycięcia. Może to również być jedno z nadnerczy. Gdzie to się, do diabła, mieści? Gdzieś nad nerkami? Zdjął z górnej półki ilustrowany słownik medyczny i zaczął go kartkować.

Kiedy przeglądał indeks, jego ręka, której nie potrafił trzymać w spokoju, trafiła na nóż do filetowania. Ostry zakrzywiony nóż. I nagle ogarnęła go nadzieja, że to jednak tarczyca. Tak, przypominał sobie nawet, że Joan wspominała o tarczycy. Tak, to dobrze. Po kilkakrotnym uprzątnięciu wymiocin Joan Begley nie miał nic przeciw temu, żeby podciąć jej gardło.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Czwartek, 18 września

– Nie musi pan robić dla mnie śniadania, panie Racine – rzekła Maggie, ale ślinka napłynęła jej do ust, kiedy poczuła smakowity zapach smażonych ziemniaków z cebulką i kiełbasek. Na drugiej patelni Luc smażył jajka.

– To nic takiego, sam miałem ochotę. Boże, ależ mi tego brakowało. – Dolał jeszcze mleka do jajecznicy, posypał świeżo zmielonym pieprzem i wymieszał z wprawą kucharza przygotowującego szybkie dania. – Już nie gotuję, ze strachu, że zapomnę wyłączyć gaz. – Obejrzał się na Maggie. – Mówię to pani specjalnie. Żeby pani pilnowała, bym czegoś nie zmajstrował. Będzie pani tak dobra?

Stał do niej plecami. Maggie wiedziała, że niełatwo było mu prosić. Pomyślała, że właśnie dlatego nie pozwolił jej zatelefonować do Julii. Czy jego córka ma świadomość, że stan zdrowia ojca uległ pogorszeniu?

– Jasne. Mogę w czymś pomóc?

– Nie. Stół już nakryłem. – Rozejrzał się. – Może jeszcze sok pomarańczowy. Widziałem, że pani znajomy przyniósł wczoraj sok. – Otworzył drzwi szafki kuchennej, potem drugie i trzecie, i w końcu wyjął dwie szklanki i podał Maggie. Tym razem nie miał szansy ukryć rumieńca zakłopotania. – Pani mu chyba wpadła w oko.

– Co?

– Pani się podoba temu profesorowi.

Teraz przyszła pora na jej rumieniec. Znalazła sok i nalała do szklanek.

– Pracujemy razem nad tą sprawą, to wszystko.

– Co? On się pani nie podoba? – Spojrzał na nią przez ramię.

– Nie, tego nie powiedziałam. Po prostu nie myślałam o nim w tych kategoriach.

– Dlaczego nie? Przystojny mężczyzna. Ale zauważyłem, że nie robi na pani wrażenia.

– Nie wiem, dlaczego. Po prostu jestem… jestem… – Uświadomiła sobie, że jąka się jak speszona nastolatka. Nie wiedziała, dlaczego uznała za konieczne tłumaczyć się przed tym starym. – Nie wyglądam teraz najlepiej. Dopiero co sfinalizowałam sprawę rozwodową. Nie jestem gotowa, żeby zacząć nowy związek.

– Och, no tak. – Znowu na nią zerknął. – Przepraszam, nie chciałem być wścibski. – Zaczął czyścić blat. – Lubię panią, pani mi przypomina Julię. Tęsknię za nią.

– Myślałam o tym, panie Racine. Uważam…

– Proszę mówić do mnie Luc.

– Dobrze, ale właśnie myślałam, żeby pan jednak zadzwonił do Julii. Moim zdaniem powinna wiedzieć… prawdę powiedziawszy, wolałabym, żeby wiedziała.

Luc odkładał na bok rzeczy, które nie były mu już potrzebne, schował karton z jajkami do lodówki i zapakował w papier jedną kiełbaskę.

– Skąd pan to ma? – Maggie pokazała na kiełbaskę, którą zawinął ciasno w biały woskowany papier.

– To? To „resztek”. Tak ją nazywają, ponieważ jest zrobiona z wieprzowych okrawków – rzekł, mylnie zrozumiawszy jej pytanie, i odwinął kiełbaskę. – Moja żona pochodziła z Filadelfii. Tam robią najlepsze. Te kiełbaski zawsze mi ją przypominają. To dlatego nazwałem mojego najlepszego kumpla Scrapple.

– Mhm. – Scrapple, czyli Resztek. Maggie uśmiechnęła się mimowolnie.

Luc spuścił wzrok na teriera, który jak na zawołanie zaczął prosić o kawałek kiełbaski jego imienia.

– Ale w okolicy jakoś ich nie widzę. Ostatniej zimy poprosiłem Steve’a Earlmana, żeby mi zrobił taką kiełbaskę z wieprzowej łopatki. Całkiem nieźle mu wyszła, muszę przyznać. Pewnie by pani smakowała.

Maggie zastanawiała się, czy Luc wie, że znaleźli w kamieniołomie zwłoki Steve’a. Był tam wiele razy i mógł coś usłyszeć, może jednak zapomniał. A ona po raz kolejny widzi ten biały papier. Czy to coś znaczy?

– Luc, co zrobili ze sklepem mięsnym, kiedy zmarł Steve? Nie miał żadnych dzieci, które przejęłyby interes?

Nabierał smażone ziemniaki z cebulką, kiełbaski i jajecznicę i dzielił na dwa talerze. Maggie poszła za nim do stołu, niosąc sok.

– Nie, Steve był kawalerem. Ale miły był z niego gość. – Wyciągnął krzesło i zaczekał, aż ona usiądzie. – To był smutny widok, jak zamknęli sklep. Pamiętam, chodziły

słuchy, że ktoś kupił całe wyposażenie. Myślałem, że zatrzyma też sklep albo otworzy nowy, ale nic takiego.

– Pamięta pan, kto kupił sprzęt?

Luc ściągnął brwi w namyśle, w jego oczach pojawiło się zdenerwowanie.

– Powinienem wiedzieć.

– Nic nie szkodzi, jeśli pan nie pamięta, tak tylko pytam.

– Nie, powinienem wiedzieć. To ktoś znajomy.

Komórka Maggie zaczęła dzwonić w sąsiednim pokoju i pies, który warował pod stołem w pozycji „daj mi coś z talerza”, zaczął szczekać.

– Scrapple, dosyć. Spokój.

– Przepraszam. Muszę odebrać.

Znalazła telefon w kieszeni kurtki.

– Maggie O’Dell.

– O’Dell, tu Watermeier. Jestem w Hubbard Park, na West Peak. Znaleźliśmy coś, co chyba panią zainteresuje.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Adam Bonzado wyjął polaroidowe fotografie z kieszeni koszuli. Z uwagą spojrzał na nie, po czym schował z powrotem. To chyba nie najlepszy pomysł łazić z takimi zdjęciami w ręku, gdy trzeba grzebać na półkach sklepu żelaznego.

Usiłował wybić sobie z głowy Maggie O'Dell. Wcale nie pomagał mu w tym fakt, że nadal czuł się jak kompletny idiota. Najpierw ten incydent z zupą, a potem jeszcze zeszłej nocy obudził ją i Racine'a. Mało powiedzieć: obudził. Napędził im porządnego stracha. Chociaż Maggie nie wyglądała na przestraszoną za lufą swojego smith & wessona. To wspomnienie wywołało uśmiech na jego twarzy. Podobała mu się kobieta, która potrafi się bronić. Mniejszy entuzjazm wzbudził fakt, że o mały włos nie rozwaliła mu głowy.

Czasami martwił się, że jego matka ma rację. Że spędza zbyt wiele czasu ze szkieletami, a za mało z żywymi ludźmi. Studentów, zdaniem matki, nie należy brać pod uwagę.

– Nie możesz gdzieś pójść jak inni normalni młodzi mężczyźni? – zaczynała wykład, który zawierał także kilka słów o randkach z miłymi dziewczętami. – Już nawet nie chodzisz z braćmi na mecze.

Ale on lubił swoją pracę. Dlaczego miałby się z tego tłumaczyć? Poza tym większość kobiet, gdy tylko

dowiadywały się, jak zarabia na życie, pokazywała mu plecy. Nie, szczerze mówiąc, to on nie chciał żadnej po śmierci Kate. Zakopał się w robocie. To wypełniało pustkę w jego głowie.

I oto znowu szuka ucieczki w pracy, tym razem z powodu Maggie O'Dell. Czy istnieje lepszy sposób na zapomnienie o kobiecie niż wizyta w sklepie żelaznym z plikiem fotografii i misją mającą na celu uzupełnienie listy uśmiercających narzędzi?

Doktor Stolz dał mu zdjęcia ran na głowach ofiar. Wszyscy otrzymali podobne śmiertelne ciosy w górną część tyłu czaszki. Tak wyglądała czaszka młodego mężczyzny, którą Adam miał w laboratorium, a także ta, którą wyłowił z garnka u Racine'a.

Wszedł w alejkę z narzędziami. Uważnie oglądał przede wszystkim ich końcówki. Młotek z noskiem kulistym – odpada. Szczypce przegubowe do prętów – odpadają. Dalej leżały kleszcze. Adam podrapał się w brodę, zawsze zdumiewała go ich różnorodność. Były zaciskowe, szczękowe, ukośne, okrągłe, wydłużone ze spłaszczonymi końcówkami, nastawne.

Jezu! Zapomnijmy o kleszczach.

Łożyska metryczne i calowe, śrubokręty wszelkiego rodzaju, ogromna mnogość kluczy. Śruba zaciskowa wyglądała obiecująco, a nawet stalowa zwornica stolarska nastawna. Imadło – odpada. Poziomnica – odpada.

– No, no, miniaturowa piła do metalu. – Wziął ją do ręki. – Idealna do wszystkich stawów, do których trudno sięgnąć,

kiedy jest się w samym środku ćwiartowania ciała.

– Mogę w czymś pomóc? – Z drugiej strony alejki podszedł sprzedawca.

Adam natychmiast odłożył na miejsce miniaturową piłę do metalu, jakby przyłapano go na jakimś niecnym uczynku. Ciekawe, czy sprzedawca go słyszał? Chłopak wyglądał, jakby spędził więcej czasu w suterenie przy komputerze albo wieży stereo niż w garażu ojca. Prawdę mówiąc, pasował raczej do działu z elektroniką, gdzie można było kupić game boya i odtwarzacze DVD, a nie śrubokręty czy piły tarczowe.

– Szuka pan czegoś konkretnego?

– Taa, ale wie pan, jak to jest. Przypomnę sobie, dopiero jak to zobaczę. Wie pan, co mam na myśli.

Sprzedawca patrzył na niego i niczego nie rozumiał.

– Chodzi o jakiś specjalny projekt, tak?

Adam pokazał mu uśmiech. Zastanawiał się, co by powiedział ten chłopak, gdyby dowiedział się o liście zabójczych narzędzi. Albo jeszcze lepiej, gdyby Adam pokazał mu zdjęcia i poprosił o pomoc w znalezieniu narzędzia, które rozwala czaszkę i zostawia ślad w kształcie trójkąta.

– Taa, można tak powiedzieć.

– No to w porządku, proszę dać mi znać, gdybym jednak mógł się do czegoś przydać.

– Dziękuję, z pewnością skorzystam.

Adam ruszył kolejną alejką. Tutaj dominowały łomy. Były rozmaitych kształtów i rozmiarów. Niektóre wykute ze stali,

inne oksydowane na czarno dla ochrony przed rdzą. Adam czytał informacje pod narzędziami: „prosty, wygodny gumowy uchwyt” i „niewidoczny pazur dla lepszej siły nacisku”. Jeden nosił nazwę: „łom goryl”, inny „łom cudotwórca”. Była też belka dwuteowa, dwustronna łapa do wyciągania gwoździ i nóż strugarski odgięty. Kompletne szaleństwo.

I raptem to zobaczył. Wygięcie pasowało, rozmiar też. Wyjął fotografię i popatrzył. Tak, to jest to. Zakończenie łomu z dwustronną łapą do wyciągania gwoździ odpowiadało śladowi pozostawionemu na czaszkach.

Adam wziął narzędzie do ręki, obejrzał je pod każdym możliwym kątem. Ważyło więcej, niż można by sądzić na oko. Spróbował unieść je nad głowę, jak prawdopodobnie trzymał je morderca. Wyobrażał sobie, jak wyglądał zamach. Nie wymagał wielkiej siły. Wystarczył lekki obrót i zakrzywiony koniec raz dwa rozwalał czaszkę.

Uniósł narzędzie jeszcze wyżej, gotowy do odegrania śmiertelnego ciosu, kiedy spostrzegł w końcu alejki sprzedawcę, który mu się przyglądał. Tym razem wyglądał, jakby był… cóż, zatroskany to chyba oględnie powiedziane.

– Zdaje się, że znalazłem – oznajmił Adam, opuszczając spokojnie ręce. – I jest nawet w wyprzedaży. – Pokazał na cenę, uśmiechnął się i zawrócił alejką.

Stojąc w kolejce do kasy, lekko uderzał łomem w otwartą dłoń. Aż z nagła sobie uprzytomnił, że identyczny łom wozi w swoim el camino.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Henry patrzył w dół ze skraju wzgórza. Już prawie wyciągnęli samochód spomiędzy drzew, już widać było maskę i można było bez wątpienia powiedzieć, że to ostatni model sedana. Jezu! Co za jatka! Dlaczego nieszczęścia chodzą parami?

Szkoda, że to nie jakiś zwyczajny pijak, który jechał do góry, stracił panowanie nad kierownicą i spadł ze skalnego nawisu. Chciałby, żeby to było takie proste. Przyjechał tutaj wyłącznie po to, by udowodnić, że O'Dell się myli. A teraz prawdopodobnie właśnie znaleźli tę Joan Begley.

Zobaczył, że O'Dell zostawia wynajętego forda escorta za policyjną blokadą. By uniknąć intruzów, policjanci z Meriden zamknęli bramę parku na kłódkę i trzymali straż przy wejściu, a mimo to kręta droga prowadząca na szczyt wzgórza była nadal zatłoczona. Szeryf pomachał do zastępcy Trumana, żeby wpuścił agentkę O'Dell.

– Znaleźliście ją? – spytała, nie dając mu dojść do słowa.

– Miałem nadzieję, że to pijak, który nie wyrobił się na zakręcie – wyznał Henry, wsparty o drewnianą barierkę.

Stali w milczeniu ramię przy ramieniu, patrzyli, jak pomoc drogowa wyciąga samochód spomiędzy skał i zarośli, i słuchali, jak metal drapie o pień drzewa.

W końcu, kiedy wrak znalazł się na ziemi, zastępca Charlie Newhouse zawołał do szeryfa, zajrzawszy wpierw

do roztrzaskanej maski wozu:

– W środku nikogo nie ma!

– Jezu! Na co mi ten burdel? Weź tablice rejestracyjne. – Mówiąc to, Henry zobaczył, że brak tylnej tablicy.

– Nie ma tablicy z przodu – zameldował Arliss.

– Tylnej też nie ma – rzekł Watermeier.

– Myśli pan, że ktoś je ukradł? – spytał Charlie.

– Lepiej zadzwoń do chłopaków, niech przyjadą z lawetą i zabiorą ten wóz. – Henry podszedł do samochodu i próbował zajrzeć do środka przez stłuczoną przednią szybę.

– Szeryfie.

O'Dell stała z tyłu za sedanem i czekała na niego. Kiedy do niej podszedł, pokazała mu mały biały kawałek materiału, który wystawał z bagażnika, jakby został przyciśnięty klapą.

– Gówno! – mruknął szeryf i poczuł ucisk w piersi. – Charlie, sięgnij no tam i otwórz bagażnik, tylko nie ruszaj, czego nie trzeba.

Nikt nawet nie drgnął. Henry podniósł wzrok na swoich dwóch zastępców i operatora z pomocy drogowej, którzy wlepiali oczy w bagażnik.

– Charlie – powtórzył Henry.

Tym razem zastępca wykonał polecenie, ale jak tylko klapa bagażnika podskoczyła, Henry poważnie się zastanowił, i to nie po raz pierwszy, dlaczego, do jasnej cholery, nie odszedł na emeryturę pół roku wcześniej.

Otworzył bagażnik na całą szerokość i wszyscy zamarli. Bez ruchu i bez słowa patrzyli na drobne ciało kobiety skulonej wewnątrz. Henry od razu zauważył, że morderca nie związał jej rąk ani nóg. Pewnie nie było takiej potrzeby. Mieli przed sobą tył głowy, potargane i zlepione dużą ilością krwi włosy, w miejscu, gdzie prawdopodobnie otrzymała śmiertelny cios. Czaszka pękła na skutek zbyt dużej siły zamachu jak na tak drobną osobę.

– Przypuszcza pani, że to ta? – Watermeier spojrzał na O'Dell.

– Trudno powiedzieć. Mam tylko zdjęcie. Za to rana na głowie wygląda znajomo.

– Taa, to samo pomyślałem. – Henry przetarł oczy. Jezu. Jeszcze nie wydobyli wszystkich ofiar, a już znaleźli następną. – Arliss, zadzwoń do Carla, żeby przyjechał z laboratorium. I do doktora Stolza.

– Oni są chyba w kamieniołomie, sir.

– Wiem. Zadzwoń do nich i powiedz, żeby przywieźli tu swoje tyłki.

– Sir? Mam im tak właśnie powiedzieć?

Henry z chęcią udusiłby smarkacza.

– Charlie, mógłbyś…

– Już się tym zająłem, szeryfie.

Henry zauważył, że O'Dell wciąż stoi i patrzy, jakby nie wierzyła własnym oczom, a przecież to ona sugerowała, żeby przeszukać te okolice. Przysunął się i pochylił, niczego nie dotykając. Uważnie obejrzał wnętrze bagażnika wokół ciała, szukając jakichś widocznych śladów. Czegoś, co

podpowiedziałoby im, czy to jest Joan Begley. Może nawet miał nadzieję, że narzędzie zbrodni spadło na głowę ofiary przypadkiem. Niestety nie znalazł kompletnie nic. Dojrzał tylko profil kobiety i nagle stwierdził, że skądś ją zna. Taa, już ją spotkał, a przecież nie widział zdjęcia Begley, które miała O'Dell.

Delikatnie dotknął ramienia zmarłej, przesunął ją lekko. I w tej samej chwili gwałtownie odskoczył.

– Jasna cholera! – Uderzył głową w klapę bagażnika. Chwiejnym krokiem cofnął się, mało co nie stracił równowagi. Niewiele brakowało, a padłby jak długi na ziemię.

Pozostali spojrzeli na tył głowy kobiety, usiłując zobaczyć, co go tak przeraziło.

– To ta dziennikarka z telewizji – rzekł niemal bez tchu, czując, że serce za moment rozwali mu żebra. – Ta, która za mną wszędzie łaziła.

– O czym pan mówi? – spytała O'Dell, podchodząc bliżej.

Henry uniósł ramiona i wytarł ręce w spodnie, jakby się do czegoś szykował. Potem pochylił się znowu nad bagażnikiem, tylko tyle, ile było konieczne. Po sekundzie wahania położył rękę na ramieniu ofiary.

– Wyjął jej gałki oczne, popieprzeniec. – Odsunął się tak, żeby wszyscy widzieli twarz zamordowanej kobiety. W miejscu niebieskich oczu widniały puste oczodoły.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Komórka Maggie dała znak, że bateria wysiada. No tak, poprzedniego wieczoru zapomniała ją naładować.

– Tully, zaraz stracę połączenie, więc do rzeczy. Znalazłeś coś ciekawego w mailach Sonny'ego?

– Pisze, że w dzieciństwie dużo chorował i matka podawała mu lekarstwo, po którym czuł się jeszcze gorzej. Doktor Patterson sugeruje... okej, to może naciągane, ale raczej się z nią zgadzam... otóż facet mógł być ofiarą syndromu Münchhausena. Wiesz, o czym mówię?

– Sądzisz, że matka celowo wywoływała u niego chorobę, żeby zwrócić na siebie uwagę?

– Tak, właśnie. Doktor Patterson rozmawia teraz z miejscowym szpitalem. Liczy na to, że dzięki swej pozycji uda się jej skłonić kogoś z personelu do przejrzenia archiwów szpitalnych z ostatnich pięciu czy dziesięciu lat wstecz.

– Mógłbyś sprawdzić dla mnie drugie nazwisko? Jacob Marley. Zobacz, czy coś znajdziesz.

– Jacob Marley?

– Tak, szef zakładu pogrzebowego. Joan Begley prawdopodobnie poszła z nim na pizzę tego wieczoru, kiedy zniknęła. Możliwe, że jego wersja jest prawdziwa, to znaczy że to była służbowa kolacja, by zakończyć sprawę pogrzebu, ale kiedy go wczoraj odwiedziłam, był spięty,

jakby miał coś na sumieniu. Poza tym jest Juniorem, który nienawidzi, jak mówi się o nim Junior.

– Jeżeli jest szefem zakładu pogrzebowego, to miał dostęp do zabalsamowanych zwłok Steve'a Earlmana.

– Owszem, był nawet za dobrze przygotowany do rozmowy na ten temat. Ale nie odpowiada portretowi psychologicznemu mordercy. A ty każesz mi teraz szukać hipochondryka, który cierpi także na paranoję i urojenia, ponieważ matka z premedytacją wywoływała w nim chorobę? Jakie proste zadanie.

– Chcę ci pomoc.

– Wiem, Tully. Przepraszam, jestem zdenerwowana. – Zwolniła na ostrzejszym zakręcie, potem dodała gazu. – Znaleźliśmy następne ciało.

– O Jezu. Czy to Begley?

– Nie, nie ona. Być może mamy samochód, który wynajęła. Nadal to ustalają. Ale w środku była dziennikarka z lokalnej telewizji. Posłuchaj uważnie: miała kiepski wzrok.

– Niech zgadnę, wyjął jej gałki oczne?

– Tak. I wsadził ją do bagażnika. Obawiałam się tego. Pewnie sobie uroił, że ona go śledzi. Watermeier twierdzi, że przyjeżdżała codziennie do kamieniołomu i polowała na niego.

Telefon znowu zaczął popiskiwać.

– Za chwilę cię stracę, Tully.

– Zadzwonię, jak znajdę coś o Marleyu. Aha, poproszę doktor Patterson, żeby do ciebie zadzwoniła, jak dowie się czegoś w szpitalu.

– To pilne. Jeżeli Joan Begley żyje, czuję, że to nie potrwa długo. Ostatnie morderstwo oznacza, że facet wpadł w panikę, a my póki co dysponujemy jedynie nadmiarem chorych organów, mnóstwem zbiegów okoliczności i białym woskowanym papierem ze sklepu mięsnego.

– Papier ze sklepu mięsnego?

– Taa, biały woskowany. Ma tego chyba całe tony, służy mu do zawijania wyciętych kawałków swoich ofiar. Wydaje mi się, że to coś znaczy, ale co? Masz jakiś pomysł?

– Ciekawe, gdzie się kupuje taki papier.

– Cóż, na pewno nie w miejscowym Stop & Shop. Już to sprawdziliśmy.

– Mówiłaś, zdaje się, że Earlman był rzeźnikiem?

– To prawda.

– Miał synów?

– Nie, też mi to chodziło po głowie. Po jego śmierci sklep zamknięto. Ktoś kupił całe wyposażenie, ale sklep został zlikwidowany. – Mało co nie przejechała na czerwonym świetle. Nacisnęła gwałtownie hamulec i usłyszała kilka soczystych słów od kierowcy, który jechał za nią. – Po co kupować wyposażenie sklepu mięsnego, jeśli nie ma się zamiaru go prowadzić? Czy to nie dziwaczne?

– Nie wiem. Różnie z tym bywa. Powinnaś zobaczyć, co ludzie kupują i sprzedają na giełdzie internetowej.

– A skąd wiesz, co ludzie kupują i sprzedają na giełdzie internetowej? – Kolejny pisk telefonu. – Moja bateria wysiada, Tully. Zanim się dokumentnie wyładuje, dwie sprawy. Jak Harvey? Nie doprowadza was do szału?

– Wcale. Zresztą będziesz musiała przekupić Emmę, żeby go odzyskać.

– Nie pozwól jej przyzwyczajać się do mojego psa, Tully.

– Już za późno.

– Po drugie, jak się ma Gwen?

W słuchawce zapadła cisza, a Maggie już pomyślała, że straciła połączenie, kiedy Tully odparł w końcu:

– Chyba dobrze.

– Bądź tak dobry i sprawdź to, okej?

– Jasne. Nie ma sprawy.

– Dzięki, Tully. Powiedz Emmie, że nie dostanie mojego psa.

– O'Dell, jeszcze jedno. – Wychwyciła zmianę w jego tonie. – Cunningham o ciebie pytał.

Maggie poczuła, jak sztywnieją jej mięśnie.

– Tak?

– Pytał, czy rozmawiałaś ze mną o swoim urlopie – powiedział z powagą, niemal przepraszająco.

Wiedziała, że Tully nie potrafi kręcić. Nigdy nie kłamał, zwłaszcza Cunninghamowi. A teraz pewnie wpakowała ich oboje w niezłą kabałę.

– I co mu powiedziałeś? – Ścisnęła kierownicę, czekając na odpowiedź.

– Powiedziałem mu prawdę. Że wspominałaś coś o żonkilach. – Rozłączył się, zanim zdążyła to skomentować.

Maggie uśmiechnęła się pod nosem i wjechała na parking, wracając myślą do sprawy i odsuwając na bok ewentualną reprymendę szefa. Wzięła ze sobą plan miasta. To tylko

przeczucie, ale na czym w końcu miała się oprzeć? Musi znaleźć budynek administracji okręgu. Musi dowiedzieć się, kto kupił wyposażenie sklepu mięsnego, łącznie z rolkami białego papieru pakowego.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Henry jechał do kamieniołomu i już prawie tam dotarł, kiedy postanowił zawrócić do centrum Wallingford. Nabrał nieodpartej ochoty na filiżankę mocnej kawy, ale najbardziej zależało mu na tym, żeby wpaść do księgarni i zobaczyć się z żoną. Kiedy media dowiedzą się o rozwoju wypadków, będzie gorąco, zwłaszcza że ostatnia ofiara pochodzi z ich środowiska. Czyżby mieli z Rosie pożegnać się ze spokojną emeryturą w tej okolicy?

Jechał bocznymi drogami, przez obrzeża miasta. Jechał powoli, wdychał świeże powietrze przez otwarte okno, żeby zlikwidować ten bolesny ucisk w klatce piersiowej. To za karę. Ma za swoje, skoro nie bierze regularnie tabletek na nadciśnienie. Czyżby jedenastego września uniknął losu kolegów tylko po to, żeby paść na zawał podczas jazdy przez Connecticut?

Mijając cmentarz św. Franciszka położony wokół wzgórza, spostrzegł mężczyznę, który szybko czmychnął za wysoką płytę nagrobną. Początkowo pomyślał, że mu się zdawało. Może jednak ma atak serca. Ale przecież atak serca raczej nie wywołuje halucynacji.

Podjechał do bramy cmentarnej i zatrzymał wóz. Żeby widzieć płytę nagrobną z tego miejsca, musiałby wysiąść. Siedział i dumał, i znowu nie był pewien, czy sobie czegoś nie uroił. W końcu co w tym złego, że ktoś jest na

cmentarzu. Ludziom wolno tam chodzić, kiedy chcą, przynosić kwiaty na groby. Ano właśnie, zatem nie ma powodu, żeby się ukrywać.

Cofnął trochę wóz i wyjechał na drogę. Rosie go wyśmieje, to znaczy wyśmieje te duchy, które mu się zwidziały, bo na pewno nie to, że zapomniał połknąć lekarstwo na nadciśnienie. Podniósł wzrok i spojrzał we wsteczne lusterko. Wjechał na kolejny zakręt. Gdy cmentarz zaczął znikać z oczu, znowu zobaczył tego człowieka. Tym razem Henry przystanął na poboczu, ponieważ był tu niewidoczny z cmentarza.

Zostawił samochód i poszedł rowem, żeby nikt go nie zobaczył. Cmentarz był tyłem zwrócony ku lasowi. Henry dostrzegł półciężarówkę zaparkowaną między drzewami, gdzie, jak wiedział, nie było żadnej drogi.

Wspiął się po stromej pochyłości, licząc na to, że go zasłoni, aż dotrze do lasu. Błoto i kamienie wyślizgiwały się spod butów, bał się, że mężczyzna go usłyszy. Parawan drzew iglastych pozwolił mu dokładniej przyjrzeć się nieznajomemu.

Stał plecami do Henry’ego, trzymał w ręce łopatę i kopał. Aha, więc to grabarz. To dlaczego chowa się przed przejeżdżającym samochodem? No i czy nadal kopią groby ręcznie? Widział już na cmentarzu specjalistyczny sprzęt, taką miniaturową koparkę ze szczękami. Taa, teraz z całą pewnością tak to właśnie robią. Zresztą, zdaje się, Vargus i Hobbs mają umowy z kilkoma zakładami pogrzebowymi.

Podszedł bliżej, żeby lepiej widzieć. Wówczas zdał sobie sprawę, że nieznajomy wcale nie kopie nowego grobu, tylko rozkopuje stary. I wtedy mężczyzna odwrócił głowę na tyle, że Henry go poznał. To był Wally Hobbs, który skulił się za wysokim kamieniem nagrobnym, bo właśnie drogą przejeżdżał kolejny samochód.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Luc przez cały ranek nie opuszczał domu. Nie zabrał nawet gazety. Od wyjścia agentki O’Dell krążył niespokojnie od okna do okna, co jakiś czas rzucając okiem na włączony telewizor, i nie wypuszczał z ręki kija bejsbolowego. Scrapple już wiele godzin temu dał sobie spokój ze swoim panem i położył się na ulubionym dywaniku. Zasnął głęboko, i tylko kilka razy zastrzygł przez sen uszami.

Luc słyszał auta, które przejeżdżały Whippoorwill Drive. Może w kamieniołomie coś się dzieje. Chyba wcześniej wyły gdzieś syreny. W południowych lokalnych wiadomościach wspomniano o samochodzie, który został znaleziony w Hubbard Park, ale to było w Meriden, a nie tutaj. Nie zamierzał wychodzić z domu i sprawdzać, co się wydarzyło. Zazwyczaj trudno było go zatrzymać, ale dziś... Dziś dostawał dreszczy, gdy tylko postawił stopę na progu. Czy tak już teraz zawsze z nim będzie? Starzec, który boi się sam opuścić dom i nie pamięta nawet, czy to zrobił...

Agentka O’Dell prosiła go tego ranka, żeby przemyślał, czy nie powinien jednak zadzwonić do Julii, by poinformować ją, że u niego wszystko w porządku. Ale jeżeli córka nie wie o tych morderstwach, to nie ma powodu, żeby ją uspokajać. Tak w każdym razie uważał. Z drugiej strony wiedział, że powinien do niej zadzwonić. Chciał to zrobić od czasu, gdy z nią ostatnio rozmawiał...

Jezu, jaki to był dzień? Czy od tamtej pory minęło kilka dni, czy parę tygodni?

Usłyszał kolejny samochód. Ten był chyba na jego podjeździe. Zanim Luc dotarł do drzwi, agentka O'Dell wchodziła już na ganek. Otworzył jej i zaczerwienił się ze wstydu, że nadal ściska w dłoni kij bejsbolowy.

– Co tam taki ruch?

– Nie wiem – odparła, łapiąc oddech. – Nie mogłam dodzwonić się do szeryfa Watermeiera. Pomoże mi pan?

– Oczywiście. To znaczy spróbuję.

Rozłożyła mapę na stoliku do kawy.

– Pan długo mieszka w tej okolicy, prawda?

– Niemal całe życie. Moja żona, Elizabeth, pochodziła z Filadelfii, ale bardzo pokochała to miejsce, więc zostaliśmy. Żałuję, że Julia, jak tylko dorosła, nie chciała tu mieszkać, ale... ale co może ojciec?

– Czy wie pan może, gdzie jest dom Ralpha Shelby'ego?

– Ralpha rzeźnika? On już dawno nie żyje. Kiedy to było? Jakieś dziesięć lat, nie pamiętam. Mówiłem pani rano, że Steve Earlman kupił sklep mięsny od Ralpha? A teraz Steve'a też nie ma. Mówiłem pani, prawda? Nie rozmawialiśmy o tym rano?

– Tak, mówił pan. Ale dom pana Shelby'ego, ziemia, na której mieszkał, wie pan, gdzie to jest? To niedaleko stąd, prawda?

– Pewnie, to przy końcu drogi, za starym młynem Millerów. Pani Shelby zmarła parę lat temu, ale chyba nadal mieszka tam ich syn.

– Może mi pan wskazać to miejsce na mapie?

Luc patrzył na linie i niebieskie plamy, które wyglądały kompletnie obco.

– Jesteśmy tutaj. – Maggie dotknęła mapy palcem, ale niczego mu to nie przypominało poza krzyżującymi się czerwonymi liniami.

Patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem. Może się martwi? Nie znał jej dość dobrze, żeby wiedzieć, czy jest na niego zła, czy też mu współczuje. Zresztą na pewno wolałby to pierwsze.

– Luc, może mi pan pokazać?

– Mogę, ale nie na mapie. – Skierował kroki do drzwi, wziął czarny beret i kurtkę.

– Nie, nie może pan ze mną jechać.

– Tylko w ten sposób potrafię pani pomóc.

– Nie może mi pan dać wskazówek? Jak daleko stąd? Czy to przy Whippoorwill Drive?

– Naprawdę nie jestem uparty. – Robił wszystko, by znowu nie poczuć zażenowania. – Ale nie umiem pani powiedzieć, nie umiem tego opisać słowami. – Ręce mu latały, pomagając w wyjaśnieniach. – Muszę to… pokazać.

Zawahała się, splotła ramiona na piersi, jakby podejmowała decyzję.

– Okej, ale proszę obiecać, że zostanie pan w samochodzie.

– Oczywiście, że zostanę. Czemu panią interesuje stary dom Shelby’ego?

– Muszę tam coś sprawdzić. Mówił pan, że kiedy zamknięto sklep mięsny, ktoś wykupił całe wyposażenie.

– No tak. Ale nie pamiętam, kto to był. A powinienem chyba wiedzieć.

– Ja wiem. To był syn Ralpha Shelby’ego. On wszystko kupił, dokładnie wszystko.

– Naprawdę? Hm. Ciekawe, po co mu te stare graty.

– Właśnie to mnie interesuje.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Henry był przekonany, że złapał mordercę z kamieniołomu. Przez całą drogę powrotną Wally Hobbs narzekał na bóle żołądka. Cienkim głosem błagał Henry'ego, żeby zatrzymał samochód i pozwolił mu zwymiotować. Na szczęście drań poczekał z tym, aż dotarli do biura szeryfa. Przez chwilę Henry chciał krzyknąć, żeby Wally posprzątał swoje brudy, ale zrezygnował. Nie wolno zatrzymanego zmuszać do takich rzeczy, a tu chodziło o zbyt wysoką stawkę. Byle adwokat potrafi coś takiego wykorzystać podczas procesu.

Teraz Hobbs siedział w kajdankach przypięty do składanego metalowego krzesła w pokoju przesłuchań. Szczerze mówiąc, nie był to pokój przesłuchań, lecz pokój śniadaniowy z maszynką do kawy i talerzykami, na których zostały okruchy.

Henry zapoznał już Hobbsa z jego prawami, a raczej własną wersją tych praw. Czasami pomijał jedno czy dwa słowa.

– Co ty tam właściwie robiłeś, Walter? – Był ciekaw, czy zdoła zastraszyć drania i skłonić go do zwierzeń. Potem przypomniał sobie, że jego wspólnikiem jest największy despota w mieście i zapewne Hobbs uodpornił się na takie zachowanie. – Chcesz, żebym zadzwonił do twojej siostry?

– Nie. Nie dzwoń do Lillian.

– Dlaczego? Nie chcesz, by twoja siostra wiedziała, że wykopujesz z grobów zwłoki, a potem je ćwiartujesz?

– O czym ty gadasz?

– Widziałem na własne oczy, Hobbs. Co z tobą? Najpierw zabijasz, a jak ci się znudzi, wykopujesz nieboszczyków?

– Nikogo nie zabiłem.

– Jak mogłeś wykopać takiego człowieka jak Steve Earlman? Nie masz odrobiny szacunku dla zmarłych?

– Nie wykopałem go.

Wally Hobbs szeroko otwierał oczy, pot zalewał mu czoło. Henry czuł zapach tego potu.

– Ile osób zabiłeś, a ile odkopałeś?

– Chwileczkę. Musisz mnie wysłuchać. Nikogo nie zabiłem.

– Akurat.

– Marley, Calvin i ja chcieliśmy tylko zarobić trochę forsy.

– Marley? Jake Marley? – Henry przysiadł na skraju stołu. – Marley też jest w to zamieszany?

– Nie myśleliśmy, że wyrządzimy komuś krzywdę. Polisy na życie zwykle pokrywają wszystko, więc nie wyciągaliśmy forsy z kieszeni rodzin.

– O czym ty mówisz, do diabła?

– Ja tylko robiłem, jak powinno być, żeby nikt nie zauważył, gdyby sprawdzali.

– Co sprawdzali? – Nagle w pokoju zrobiło się gorąco i Henry musiał otworzyć okno.

– Gdyby ktoś sprawdzał... no wiesz, grób Steve’a Earlmana, gdyby dokładnie zbadał, co i jak, toby zobaczył...

No, Marley sprzedaje krypty, ale ich nie robimy, tylko z wierzchu wygląda, że krypta jest. Potem forsę dzielimy na trzech.

Henry potarł twarz ręką, okrutnie rozczarowany. Wally Hobbs okazał się gnidą i złodziejem, ale nie był mordercą.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Adamowi Bonzado nie podobały się jego własne przemyślenia. Były sensowne, a równocześnie mało prawdopodobne.

Pojechał z powrotem do West Haven, do uniwersyteckiego laboratorium, po resztę zdjęć, które otrzymał od Stolza. Fakt, że rany na głowach ofiar pasowały dokładnie do kształtu zakończenia łomu, który miał w samochodzie, był po prostu fatalny. Teraz należało sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

Wziął zdjęcia do ręki i wybiegł z laboratorium, wpadając po drodze na studentów. Wymruczał jakieś przeprosiny i pognał dalej. Znalazłszy się znowu na parkingu, stanął przy pokrywie bagażnika pikapa. Stał niezdecydowany z fotografią w dłoni. Było to zdjęcie ofiary z wyraźnym stężeniem pośmiertnym uwidocznionym nisko na plecach.

Adam wiedział, że stężenie pośmiertne jest skutkiem grawitacji i ściąga całą krew do najniższych okolic ciała. Ta ofiara kilka godzin po śmierci leżała na plecach, dlatego jej skóra w tym miejscu była czerwona. Stężenie pośmiertne nieraz zmienia fakturę skóry, na której odbija się to, na czym leżał zmarły. A zatem na zwłokach, które leżały na ceglanym chodniku, będą odciski przypominające fakturę cegły, zaś znalezione na kamienistej drodze będą miały ślady kamyków. W tym wypadku ciało schowane w pikapie

wyłożonym gofrowaną okładziną powinno mieć odciśnięty jej wzór.

Adam otworzył bagażnik i uniósł zdjęcie. Wzór okładziny dokładnie odpowiadał temu, co widać było na plecach zmarłej kobiety. I choć bardzo nie chciał w to uwierzyć, to wiedział przecież, kto pożyczał jego samochód. Simon Shelby.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Maggie nie mogła dłużej czekać na Watermeiera. Gdziekolwiek był, nie odpowiadał na jej telefony, a bateria w komórce była na wykończeniu.

Jennifer Carpenter została z pewnością zamordowana w ciągu ostatnich dwunastu godzin, co oznacza, że paranoja mordercy pogłębia się z każdą chwilą. Jeżeli ten szaleniec nadal przetrzymuje żywą Joan Begley, sytuacja wkrótce ulegnie zmianie.

Maggie wjechała powoli na Whippoorwill Drive. Luc siedział obok w milczeniu. Miała nadzieję, że nie przytrafi mu się znowu luka w pamięci. Byle nie teraz, kiedy miał jej pokazać, gdzie mieszka Simon Shelby.

– Proszę tu skręcić. W tę stronę. – Szerokim gestem machnął ręką. – Z drogi nie widać budynków. Skrzynka na listy Shelby’ego to jedna z tych dużych ocynkowanych skrzynek na beczce. Wie pani, na jednej z tych dużych drewnianych beczek.

Maggie zerknęła na niego. Chyba sobie żartuje. Beczka? Ale Luc nie dostrzegł okrutnej ironii.

Urzędniczka, która pomagała Maggie przejrzeć dokumenty sprzedaży dobytku Steve’a Earlmana, poinformowała ją, że Simon Shelby to bardzo miły młody człowiek.

– Biedny chłopak – rzekła – stracił ojca w tak młodym wieku. Kochał bardzo tatusia. Jak chodziłam w soboty do rzeźnika, widywałam go, jak pomagał Ralphowi. Ralph nazywał Simona takim ślicznym zdrobnieniem, ale niestety nie pamiętam. Chłopak był zrozpaczony, po prostu zrozpaczony po śmierci Ralpha. Sophie chyba nie umiała sobie z nim poradzić. I pewnie wtedy zaczął tak często chorować. Wszyscy współczuliśmy Sophie. Te zmartwienia przedwcześnie ją zabiły. A to taki miły młody człowiek. – Kobieta jeszcze trajkotała, a Maggie, która zwykle nienawidziła podobnej gadaniny, kiwała głową i pilnie słuchała, wyłapując wszystkie zbiegi okoliczności.

Kiedy jednak urzędniczka oznajmiła:

– Studiuje teraz w college'u, na uniwersytecie New Haven – to już było coś więcej niż zwykły przypadek.

– Naprawdę? – powiedziała Maggie, wciąż bardziej zainteresowana dokumentami sprzedaży.

– Coś tam z kośćmi, niech sobie pani wyobrazi – ciągnęła urzędniczka. Maggie o mały włos nie upuściła archiwalnej księgi. – Chociaż może to ma sens. To znaczy w końcu jest synem rzeźnika. – Zaśmiała się. – Powiem prawdę, moim zdaniem to trochę przerażające. Ale widać on to lubi. Bo jeszcze pracuje dorywczo w zakładzie pogrzebowym Marley & Marley. Taki z niego pracuś.

– A to zdrobnienie, którym nazywał go ojciec? – spytała Maggie, mimo że była już niemal pewna, iż zna odpowiedź. – Czy to może Sonny?

– Tak, właśnie tak. Skąd pani wie? Ralph nazywał go Sonny, Sonny Boy.

Maggie zobaczyła skrzynkę pocztową na dużej drewnianej beczce, jeszcze zanim Luc dał jej znak, i pojechała dalej prosto.

– Nie, to tam – rzekł. – Minęliśmy to miejsce.

– Zaparkujemy tutaj. – Wjechała na miedzę. – I chcę, żeby pan tu został.

– Dobrze.

– Mówię poważnie, Luc. Pan tu zostaje. – Po chwili wyjęła telefon komórkowy i dała mu do ręki. – Jeżeli nie wrócę w ciągu piętnastu minut, proszę zadzwonić na 911.

Wziął telefon z zadowoloną miną, że pozwoliła, by choć w taki sposób jej pomagał. A to z kolei upewniło Maggie, że Luc nie ruszy się z miejsca. I nie miało absolutnie żadnego znaczenia, że bateria w jej telefonie już dawno wysiadła.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Simon patrzył na narzędzia na ścianie i nie potrafił wybrać. Przywykł już do towarzystwa Joan i chociaż nie znosił sprzątania jej wymiocin, cieszyło go, że ma w domu gościa. Cieszył się, że Joan nie prosi już nawet, aby ją wypuścił. Miał nad nią władzę i to również mu się podobało. Ale ta dziennikarka wszystko zepsuła. I teraz musi pozbyć się Joan.

Zadzwonił do zakładu pogrzebowego i powiedział sekretarce, że nie przyjdzie do pracy, bo złapał grypę. Nigdy przedtem tego nie robił. Postanowił również nie iść na popołudniowe zajęcia na uczelni, też po raz pierwszy. Od lat nie opuścił ani jednego dnia na uniwersytecie czy w pracy. W dzieciństwie stracił tyle godzin lekcyjnych, że potem musiał to nadrobić. A może chciał też coś udowodnić.

Bardzo nie lubił opuszczać zajęć. Nie znosił, jak jego codzienna rutyna ulegała zakłóceniu. To nie było w porządku. Ale tym razem sprawa była naprawdę ważna. Wymył już dwie zamrażarki, tę w warsztacie i tę w domu. Wyrzucił wszystkie części ciała, które tam trzymał, wszystkie te ludzkie członki, które uratował i zawinął w biały woskowany papier. Pozbył się ich w lesie, rzucił na pastwę kojotów. Był zły, że się z nimi rozstaje, ale żadna z tych części nie była dość interesująca, żeby ją wystawić.

Naprawdę nie były mu do niczego potrzebne. Potrzebował za to lokum dla Joan. Na szczęście znalazł nowe miejsce, gdzie można chować zwłoki.

Wciąż patrzył na narzędzia. Wyeliminował już piłę łańcuchową, chociaż go kusiła, zwłaszcza że nadal nie był pewien, który gruczoł powoduje niedobór hormonów.

Próbowała go przekonać, że jest zdrowa. Że wymyśliła chorobę, by wytłumaczyć swój nadmierny apetyt. Biedna kobieta, podobnie jak inni, nie potrafiła dostrzec, że posiada tak cenny towar. Nic nie szkodzi. Wytnie wszystkie gruczoły. Na pewno zorientuje się po wyglądzie, który jest chory. A jeśli nie, postanowił, że i tak wszystkie zatrzyma.

Wystarczy mu nóż. Tylko który? Miał całą kolekcję ze sklepu swojego ojca, począwszy od ogromnego tasaka rzeźnickiego do małego delikatnego noża do filetowania. Więc pewnie coś pośredniego. Naprawdę nie miał ochoty tego robić. Zupełnie jakby się przywiązał do Joan. Chętnie wracał do domu, wiedząc, że ona tam jest, że może z nią porozmawiać i pokazać jej swoją kolekcję. Nigdy nie miał domowego zwierzątka. Nie, nie, nie zwierzątka. Ona wcale nie była jak domowe zwierzątko. Nie, nie, nie. Już raczej… prawdę mówiąc, nigdy nie miał przyjaciela. Więc pewnie była dla niego jak przyjaciel. Mimo to sięgnął po jeden z noży do filetowania. W tym samym momencie jego uszu dobiegł z zewnątrz jakiś dziwny dźwięk.

Czyżby kojoty odważyły się już przyjść?

Wyjrzał przez małe okienko warsztatu. W lesie było spokojnie i pusto. Potem ją spostrzegł, jak szła w kierunku

tylnego wejścia do domu. Widział także, że agentka specjalna O’Dell trzyma przed sobą broń.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Maggie nie widziała żadnego samochodu, ale stało tam tyle różnych przybudówek, że mogły pomieścić niejeden wóz. Czyżby Shelby już pojechał do pracy? A jeśli nie do pracy, to na zajęcia? Może nawet jest w kamieniołomie i pomaga Watermeierowi i Bonzado. Ależ żałosny obrót wydarzeń. Morderca wraca na miejsce zbrodni i jeszcze pomaga ją rozwikłać. Simon Shelby stał obok i patrzył, czasami nawet faktycznie pomagał, podczas gdy oni przeglądali okaleczone przez niego ciała, jego rzeźnickie dzieło.

Teren był porządnie utrzymany Wszystkie budynki pobielone, trawa krótko przycięta i żadnego sprzętu walającego się po podwórzu. Jeden z budynków, być może warsztat, miał na bocznych ścianach lustrzane ogniwa słoneczne.

Maggie dotarła do tylnego wejścia. Nie zajrzała przez okno, postanowiła zapukać, upewnić się, że Simona nie ma, chociaż była o tym przekonana. Wsunęła smith & wessona pod kurtkę, na wypadek, gdyby ktoś jednak otworzył. Kiedy tak się nie stało, nacisnęła klamkę i ze zdumieniem stwierdziła, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Wyjęła rewolwer i otworzyła je szeroko. Przystanęła i nasłuchiwała. Poza cichym pomrukiem urządzeń elektrycznych nie słyszała nic więcej. Weszła powoli do

środka, czujnie się rozglądając. Pierwszym pomieszczeniem na lewo była kuchnia. Zajrzała do niej. Nic ciekawego, zupełnie zwyczajna kuchnia. Cichy pomruk wydawała mała zamrażarka w rogu. Maggie ruszyła dalej. Na prawo miała schody. Podniosła wzrok, lecz znowu nic. Za schodami znajdował się salon urządzony antykami jak sala wystawowa, z koronkowymi serwetkami i ciężkimi zasłonami. Doszła do drzwi i tak była skupiona na tym, co znajduje się przed nią, że nie usłyszała, jak podszedł od tyłu. A kiedy go usłyszała, było już za późno.

Maggie odwróciła się i w tym samym momencie coś uderzyło ją w bok głowy.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Luc nie lubił czekać.

Żałował, że agentka O’Dell nie pozwoliła mu zabrać Scrapple’a. Nie lubił się z nim rozstawać. Wszędzie chadzali razem. Nie mógł słuchać, jak Scrapple wył za oknem, kiedy wyjeżdżali.

Wytężył wzrok i usiłował dojrzeć, co jest za drzewami. Chciał zobaczyć ścieżkę, którą wybrała agentka O’Dell. Nie rozumiał, dlaczego tam nie podjechała, a przynajmniej nie poszła podjazdem. Jak na kogoś, kto bez przerwy powtarzał mu, żeby się nie martwił, była bardzo tajemnicza. Przypominała mu Julię. Zanim jego córka przeniosła się do stolicy, co i rusz wsadzała nos w nie swoje sprawy, takie, które powinna była omijać. Ale może to normalne dla ludzi, którzy pracują w policji. Może mają to we krwi. Chociaż w Julii płynęła też jego krew.

Podrapał się w głowę, przesunął beret do tyłu i znowu usiłował dojrzeć, gdzie, do diaska, podziała się agentka O’Dell. Podniósł telefon komórkowy. Powiedziała, że ma czekać piętnaście minut. Już prawie tyle minęło, prawda? Zerknął na nadgarstek i przypomniał sobie, że dawno temu przestał nosić zegarek. Stało się to wtedy, kiedy zapomniał, jak się czyta z niego czas. Cyfry były teraz dla niego bezużyteczne. Nie potrafił nawet wypisać czeku. Pewnie już dawno wyłączyliby mu prąd, gdyby przewidująco nie

załatwił sobie opłat przelewem z banku. Miał nadzieję, że jego żywot dobiegnie kresu, zanim skończą się pieniądze na koncie.

Wyjrzał znowu przez okno samochodu i wpadł w lekką panikę. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego nic nie poznaje. O Jezu. Gdzież on jest, do diaska? Obrócił się, szukając wzrokiem czegoś znajomego. Potem podniósł rękę, w której trzymał jakiś czarny przedmiot. Ściskał go tak mocno, jakby był bardzo ważny, ale, niech to cholera, nie pamiętał, co to takiego.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Maggie budziła się powoli. W głowie jej pulsowało. Nie miała czucia w nogach, które zaplątały się gdzieś pod nią. Było ciemno jak w piekle, mimo że próbowała otworzyć oczy. To nic nie zmieniało. Było ciemno i już. Nie mogła podnieść ręki ani rozplątać nóg. Ledwie poruszyła dłońmi, by dotknąć gładkiej powierzchni tuż nad sobą. Nie wiedziała, gdzie ją wepchnął, ale było tu zdecydowanie za ciasno.

Za ciasno i za zimno. Tak strasznie zimno.

Wówczas usłyszała, że pracuje silnik. Wtedy też rozpoznała ów cichy pomruk. Ten sam, który słyszała, kiedy weszła do tego domu.

Mój Boże! Wsadził ją do zamrażarki.

Nie będzie panikować, bo to nic nie pomoże. Pewnie nie siedzi tu długo, bo inaczej by się nie obudziła. Musi zachować spokój. Spróbowała wyciągnąć spod siebie nogi, ale bez skutku. Nawet rękami była w stanie poruszyć jedynie kilka centymetrów na boki. Odnosiła wrażenie, że przestrzeń wokół niej kurczy się z każdą chwilą.

Trzeba zachować spokój. Trzeba oddychać. Już sprawiało jej to kłopot. Ile powietrza może być w tak ciasnym wnętrzu? I jeszcze to zimno. Boże, co za nieznośne zimno.

Bolały ją palce, zacisnęła dłonie w pięści i pchnęła pokrywę. Jednak było tu tak ciasno, że nie mogła mocniej

uderzyć. Przypomniała sobie o rewolwerze. Tak, powinna przestrzelić pokrywę i zrobić w niej dziurę. Oczywiście, dlaczego o tym nie pomyślała? Obmacała kurtkę. Gdy uświadomiła sobie, że nie wsadził jej tu z bronią, wpadła w rozpacz.

Wszystko na nic. Zaczęła na cały głos wzywać pomocy. Raz za razem, aż do bólu gardła. Pchnęła znowu pokrywę, walnęła zgrabiałą pięścią. Uderzała tak długo, aż poczuła, że krew napływa jej z powrotem do twarzy. Maggie towarzyszyła przy tym tylko jedna myśl: że jedyna osoba, które wie, gdzie jej szukać, siedzi w samochodzie z telefonem komórkowym, w którym zdechła bateria.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Adam zobaczył samochód Maggie na poboczu. W środku nikogo nie było. Czy O'Dell już wiedziała o Simonie? Ale skąd? Zatrzymał el camino za fordem escortem, wysiadł i zaczął biec wzdłuż rowu, aż coś mu wpadło do głowy. Wrócił pędem do pikapu i zabrał z bagażnika łom.

Ledwie dotarł do drzew, kiedy zobaczył Luca Racine'a, który szedł za jednym z budynków. Wyglądał, jakby się zgubił. Adam zaczął do niego wołać, potem zamilkł i poszukał wzrokiem Simona. Wcześniej dzwonił do zakładu pogrzebowego, licząc, że go tam złapie i doprowadzi do konfrontacji w miejscu publicznym. Kiedy powiedzieli mu, że Shelby jest chory, Adam przeraził się nie na żarty. Simon nigdy nie chorował.

Teraz żałował, że nie próbował raz jeszcze skontaktować się z Henrym, ale ilekroć dzwonił, Beverly odpowiadała, że szeryf Watermeier jest na bardzo ważnym spotkaniu i nie wolno mu przeszkadzać, a wszystkimi pilnymi sprawami zajmują się jego zastępcy.

Adam szedł w stronę Luca, przystając między drzewami i starając się wypatrzyć Maggie lub Simona. Kiedy był już blisko, zawołał cicho:

– Panie Racine, hej, Luc.

Stary odwrócił się tak gwałtownie, że mało co nie stracił równowagi. Jego wzrok wędrował nieprzytomnie. Adam

zmartwił się, że stary znowu stracił pamięć.

– Panie Racine, tutaj. – Wychynął spomiędzy drzew i podszedł do Luca.

– Och, pan profesor. Przestraszył mnie pan.

– Przepraszam. Gdzie Maggie?

– Nie wiem. Chyba słyszałem jakiś głos w tym drewnianym domku.

– Widział pan Simona?

– Nie, nie widziałem. Musimy znaleźć Maggie. Mam złe przeczucia. Za długo jej nie ma. – Przestępował z nogi na nogę w nerwowym tańcu.

– Okej, spokojnie. Znajdziemy ją. Sprawdźmy tutaj.

Nie widzieli nic przez szyby okienne, a drzwi były zamknięte na łańcuch i zasuwę. Adam pomógł sobie łomem, aż drzwi w końcu uległy. W pomieszczeniu panował półmrok. Adam pomyślał, że byłoby tu przytulnie, gdyby nie półki na ścianach. Półki, a na nich stojące w rzędach słoje i naczynia, które przypominały mu laboratorium na uniwersytecie. Potem spostrzegł łóżko w odległym rogu pokoju. Ktoś ruszał się pod przykryciem.

Skulona i przywiązana do łóżka kobieta obudziła się raptownie. Najpierw krzyknęła na ich widok, później na przemian uśmiechała się i śmiała. Następnie wykrzywiła twarz i zawyła z bólu.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Maggie była wyczerpana. A przecież musi myśleć. Musi zachować spokój. Panika na nic się nie zda. Czuła pulsujący ból w rękach. To dobrze, że jeszcze cokolwiek czuje, choćby i ból. Tak, to dobrze, że czuje kłujące zimno, że skóra jeszcze nie straciła czucia. Dobrze, że nadal słyszy szczękanie własnych zębów i czuje drżenie ciała.

Ciało rozgrzewało się dzięki tym drgawkom. Wkrótce zmęczenie nie pozwoli jej nawet drżeć, krew zgęstnieje, serce i płuca zwolnią. Nawet umysł stanie się mniej wydolny, kiedy przekroczona zostanie granica hipotermii.

Próbowała sobie przypomnieć, co ją czeka, jak przebiega proces hipotermii. Jeśli sobie przypomni i zauważy pierwsze oznaki, będzie mogła z nimi walczyć.

Wiedziała, że człowiek jest w stanie przeżyć parę godzin w ekstremalnie niskiej temperaturze. Ile dokładnie? Dwie? Trzy? Tego nie pamiętała. Musi sobie przypomnieć.

Niedługo zimno zatrzyma przemianę materii, płuca będą pobierały coraz mniej tlenu, liczba oddechów się zmniejszy, aż w końcu będzie wyglądało tak, jakby w ogóle przestała oddychać. To akurat dobrze, ponieważ w zamrażarce nie ma wiele powietrza. O Boże! Czy udusi się, zanim zamarznie na śmierć?

Tak samo zachowa się serce. Zwolni bieg, co w tej chwili zdawało się niewykonalne. Biło bardzo mocno i szybko,

waliło jej w uszach. Później jednak osłabnie, będzie niemal niesłyszalne, i gdyby ktoś chciał wtedy zbadać jej puls, nic by nie wyczuł.

Powtarzała sobie, że ma mnóstwo czasu, zanim ją znajdą. Ale kto będzie jej szukał? Poza Simonem jedyną osobą, która wiedziała, gdzie ona jest, był Luc Racine. Czy zacznie jej szukać, kiedy nie wróci do samochodu? Czy zadzwoni po pomoc? Och, niech to szlag! Niby jak ma zadzwonić? Znowu sobie przypomniała, że zostawiła mu komórkę z wyczerpaną baterią. Zresztą jakie to ma znaczenie? Luc może nawet nie pamiętać, jak się ona nazywa ani kim jest.

Panika zaciskała kleszcze. Maggie zwalczyła chęć rozpaczliwego walenia pięściami w bok zamrażarki. Wytłumaczyła sobie, że panika też jest dobra. Dopiero gdy jej zabraknie, powinna zacząć się martwić. Chociaż wówczas prawdopodobnie będzie jej już wszystko jedno.

Raz jeszcze usiłowała zebrać myśli. Chciała przemyśleć, co czeka ją w dalszej kolejności. Dzięki temu jej umysł nie zaśnie.

Więc co jeszcze? Aha, brak tlenu wywoła halucynacje. Mogą być wzrokowe, słuchowe albo jedne i drugie. Może widzieć ludzi, których tak naprawdę nie ma, albo słyszeć rozmowy czy głos, który ją woła, a który tylko tkwi w jej głowie.

No i oczywiście nagłe i ekstremalne gorąco. Tak, gorąco po zimnie. To jeden z okrutnych paradoksów hipotermii. Człowiek ma wrażenie, że płonie, ma ochotę zedrzeć z siebie ubranie i skórę. Tutaj to akurat nie problem, bo nie

może wykonać prawie żadnego ruchu. O ironio, gorąco jest jedną z ostatnich rzeczy, które pamiętają ludzie w hipotermii, zanim stracą świadomość. Jeżeli w ogóle cokolwiek pamiętają.

No i w końcu amnezja nadszarpnie jej umysł. Może to ostatnia broń organizmu, takie dziwne błogosławieństwo, które zastępuje wspomnienie bólu i zimna zwyczajną pustką.

Mięśnie Maggie, obolałe od nieprzerwanych dreszczy, zaczynały sztywnieć. Przywoływała w myśli to, co kojarzyło się z ciepłem. Może Gwen ma rację. Może powinna odpocząć. Wyobrażała sobie plażę, gorący piasek między palcami, słońce, które rozgrzewa ciało, ciepłe, odświeżające fale, które je obmywają. A jeśli już nie plażę, to może dłonie, które obejmują kubek gorącej czekolady, a ona leży skulona w fotelu na wprost buzującego ognia. Jest tak ciepło, że nic, tylko zwinąć się, zwinąć się… i zasnąć.

Była potwornie wyczerpana. Sen dobrze by jej zrobił. Zamknęła oczy. Czuła, jak jej oddech zwalnia i staje się coraz płytszy. Ból w rękach ustał. A może po prostu już nie potrafi rejestrować bólu. Panika została przytłumiona. Maggie czuła, jak się od niej odsuwa. Była tak bardzo zmęczona, taka senna. Tak, zamknie oczy. Tylko na chwilkę albo dwie. Jest tak ciemno, tak spokojnie.

Zaśnie na chwilę. Na króciutką chwilę. Zaśnie pod ciepłym słońcem. Będzie słyszała fale uderzające o brzeg i skrzek mew nad głową. Gdzieś z głębi, gdzie jej umysł zwolnił, ale całkiem się nie zatrzymał, dobiegł cichy skowyt,

ledwie słyszalny alarm, który kazał jej podnieść powieki i błagał, żeby nie poddawała się ciemności.

Równocześnie dotarło do niej, że przestała drżeć. I zrozumiała, że jest już za późno.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Luc przeszukał wszystkie pomieszczenia w drewnianym domu i nie znalazł Maggie. Gdzież ona się podziewa? Szeryf Watermeier był przekonany, że Simon Shelby zabrał ją ze sobą. Jego zastępcy przeczesywali okoliczne lasy, a patrol stanowy blokował drogi.

Luc miał wciąż w uszach syrenę karetki wyjącą na Whippoorwill Drive. Jeden z pielęgniarzy stwierdził, że kobieta o imieniu Joan prawdopodobnie została otruta. A jeśli Simon otruł też Maggie?

Wykręcał nerwowo palce, potem pobiegł z powrotem na górę, żeby zajrzeć do szaf i kątów, które już wcześniej sprawdzał. Cały czas myślał o tym, że ona go uratowała, więc teraz on nie może jej zawieść. Nie wiedział nawet, ile czasu minęło, odkąd wysiadła z samochodu. Simon mógł porwać ją wiele godzin temu.

– Luc? – zawołał Adam z holu między kuchnią i schodami. – Znalazł pan coś?

– Nie, szukałem wszędzie.

– Henry rozesłał list gończy za Simonem. Jeśli wziął ją ze sobą, znajdą go i zatrzymają.

– Mam złe przeczucia.

– To twarda kobieta. Potrafi się obronić.

Nawet Luc widział, że Adam nie do końca wierzy we własne słowa.

– Co to za szaleniec? – Luc był zły, że panika znowu zaciska mu gardło i jego głos skrzypi. – Między drzewami leżą białe paczki zamrożonego mięsa czy czegoś takiego. Wyrzucił to wszystko, żeby zgniło. Co to za szaleniec, żeby tak zrobić?

– Co? – Adam wrócił do poszukiwań. – Powiedział pan, że wyrzucił wszystko z zamrażarki?

– Tak, całe sterty. Zamrażarka stoi tam… – Zobaczył ją w tym samym momencie co Adam. Podbiegli do niej obaj i niepewnie popatrzyli na siebie, jakby strach przed otwarciem zamrażarki był równy ich nadziei.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Maggie zdawało się, że z jakiejś czeluści dochodzi do niej cichy szum, słaby jęk, który nie chce odejść. Na dodatek nabierał mocy, choć wciąż pozostawał w oddali. Denerwujący pomruk. Czy to czyjś głos? Czy tylko jej się wydaje? Może ma halucynacje?

Była za bardzo zmęczona, żeby się tym przejmować.

Powieki zapiekły ją, kiedy nagle padło na nią światło. Zaraz potem zniknęło. Promienie lasera, kolejny błysk, a po nim ciemność.

– Odeszła.

Tak, odeszły tak szybko, jak się pojawiły.

– Ona odeszła.

Nie, chwileczkę, to jednak głos. Niewiele rozumiała. Był cichy i przytłumiony, słowa nie tworzyły logicznej całości, wypływały z tunelu.

– Ona odeszła.

Jej mięśnie były sztywne. Ręce przymarzły do boków. Żadna siła by ich nie ruszyła. Kolejny błysk światła, tym razem z kolorowym refleksem, niebieskim i mglistym zarazem.

– Brak tętna.

Była za bardzo zmęczona, żeby pytać, o czym mówią te głosy. Nie byłaby w stanie zapytać, nawet gdyby chciała.

Straciła kontrolę nad swoim ciałem. Odeszło, a może ktoś je ukradł. Nic nie czuła i nic nie widziała.

– Ona odeszła – padły znowu te same słowa.

Ale tym razem w jej głowie zapaliło się światełko. „Mówią o tobie! Oni mówią o tobie!”.

Ależ nie, ona nie odeszła, musi im o tym powiedzieć.

– Brak pulsu.

Nie, moment! Chciała krzyczeć, ale nie mogła, bo płynęła gdzieś daleko, a ciało oderwało się od jej woli. Muszą posłuchać serca, nie wyczują tętna na nadgarstku. Jej serce zwolniło. Cichuteńko pomrukiwało, ale biło, ona je czuła.

– Brak reakcji źrenic.

Proszę, chwileczkę. Dlaczego ich nie widzi? Jeżeli patrzą jej w oczy, dlaczego ich nie widzi? Błyski światła, to pewnie to. Jej oczy nie odpowiadają, ale ona wciąż tu jest. Jak ma im dać znać, że nadal żyje?

– Ona odeszła.

Nie, nie, nie. Jej umysł krzyczał, ale nikt go nie słyszał. Uznali, że zmarła, a ona, choć bardzo się stara, nie może wyjść z czerni. Nie potrafi zmusić do działania swoich mięśni.

Nie, moment, może jednak nie żyje.

Czy tak wygląda śmierć? Słaba świadomość bez władzy nad ciałem. Bez ciała, nad którym można panować.

O Boże! Może oni mają rację Może już odeszła. Odeszła na zawsze. Poczuła, że znowu gdzieś odpływa. Zamknie oczy i jeszcze sobie pośpi. A może są zamknięte? Spała i obudziły ją jakieś głosy. Nie, nic. Więc spać. Spać

nieskończone godziny. Przytulna ciemność otoczyła ją ciasno. Płynne ciepło wpływało do jej żył. I poczuła się znowu żywa. Tak, pewnie tak to właśnie wygląda. Bez drugiej szansy, bez ostrzeżenia. Koniec.

Wtem ni stąd, ni zowąd pomyślała, że widzi... nie, to wykluczone. Przez szarą mgłę zobaczyła swojego ojca i już wiedziała, że to prawda. Rzeczywiście umarła.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

– Maggie?

Otwarcie oczu było bolesnym wysiłkiem. Światło ją oślepiało, obrazy nad głową wirowały, szum sprzętu wypełniał uszy. W ustach czuła smak gumy i waty. Próbowała skupić uwagę na głosie, skąd dochodzi, jeśli jest realny. Potem poczuła, że ktoś ściska jej rękę.

– Maggie? Musisz wrócić. Nigdy bym ci tego nie wybaczyła.

– Gwen? – Mówienie sprawiało ból, ale jednak umiała mówić. Spróbowała ponownie: – Gdzie jestem?

– Przestraszyłaś nas, O’Dell.

Odwróciła głowę i zobaczyła Tully’ego, który stał z drugiej strony łóżka. Ten drobny ruch spowodował, że zakręciło jej się w głowie.

– Co się stało? Gdzie jestem?

– Jesteś w klinice Yale-New Haven – odparła Gwen. – Przeżyłaś poważną hipotermię.

– Musieli wypompować z ciebie całą krew, O’Dell, ogrzać ją i wpompować na nowo. Więc już nie możesz narzekać, że jesteś zimnokrwista.

– Bardzo śmieszne. – Gwen obrzuciła Tully’ego oburzonym wzrokiem.

– Co, nie wolno pożartować?

– Naprawdę nas przestraszyłaś, Maggie – rzekła Gwen, głaszcząc ją ciepłą dłonią.

– Ale co się stało?

– Posłuchaj, będziesz miała problemy z pamięcią, więc pewnie nie pamiętasz, co się działo. Potem ci wszystko opowiemy, jak nabierzesz siły, dobrze?

– Ale jak długo byłam nieprzytomna?

– Od czwartku.

– Jaki dziś dzień?

– Sobota, kochanie. – Gwen nadal trzymała ją za rękę i głaskała po włosach.

– A co z Simonem Shelbym?

– Proszę, to pamięta. Zawsze na służbie, co, O’Dell? – Tully uśmiechnął się. – Wczoraj w nocy złapał go patrol stanowy z Marylandu. Nie wiemy, dokąd Shelby się wybierał. Miał w bagażniku kilka swoich skarbów.

– Skarbów? – spytała Maggie, usiłując pokonać irytującą mgłę.

– Mieliśmy rację – rzekł Tully. – Wycinał ludziom zdeformowane wątroby, mózgi z guzem, chore serca, kości. Policja z laboratorium w Meriden jest już prawie pewna, że te gałki oczne należały do dziennikarki z telewizji. Przeprowadzają jeszcze testy DNA pozostałych zdobyczy Simona. Zapewne dopasują niektóre z nich do ciał znalezionych w kamieniołomie. Powinnaś zobaczyć jego warsztat pracy, O’Dell. Pełno półek ze słoikami i pojemnikami. Trudno określić, ilu ludzi zabił i jak długo to

robił. A on milczy. Szczerze mówiąc, jest bardzo prawdopodobne, że skończy w wariatkowie.

– Według mnie zaczął jakieś pięć lat temu – dodała Gwen. – Po śmierci matki. Rozmawiałam z pielęgniarką w tamtejszym szpitalu. Pamięta Simona Shelby'ego i jego matkę. Powiedziała, że bardzo mu współczuje. Matka co i rusz przywoziła go do szpitala w środku nocy. Ciągle skarżył się na silne skurcze żołądka, a badania niczego nie wykazywały. Być może matka go podtruwała, tak samo jak on podtruwał Joan Begley.

– Co z nią? – spytała Maggie. – Żyje?

– Żyje i wyjdzie z tego – odparła Gwen. – Jest w szpitalu w Meriden. Wygląda na to, że Shelby podawał jej małe dawki arszeniku. Czeka ją długa rekonwalescencja, ale lekarze są dobrej myśli.

– Zdawało mi się, że umarłam – wyznała Maggie. Tyle zdołała zapamiętać.

– Podobnie sądzili ci, co cię znaleźli – oznajmiła przyjaciółka, przysuwając się bliżej. – W każdym razie Luc Racine był przekonany, że nie żyjesz. Mówił mi o tym, jak nie można było wyczuć twojego pulsu, a źrenice w ogóle nie reagowały na światło. Ale profesor Bonzado nie zrezygnował tak szybko. Masz szczęście, Maggie. Łatwo pomylić hipotermię ze zgonem.

– Pewnie będziesz żałowała, że żyjesz, kiedy Cunningham weźmie cię w obroty – rzekł Tully, wciąż z uśmiechem na twarzy.

– Więc już wie.

– Powiedzmy, że to on przysłał ten biały kwiat. – Pokazał jej doniczkę, która stała na stoliku. – Na karteczce jest napisane, że to odętka biała, ale zwą ją też posłusznym zielem.

– Czy Luc i Adam są tutaj? – spytała Maggie, żeby zmienić temat.

– Wpadną później. No właśnie, Tully, zadzwoń do nich.

Maggie zdawało się, że Gwen i Tully wymienili znaczące spojrzenia, jakby coś przed nią ukrywali.

– Zaraz wracam – rzekł Tully i uścisnął dłoń O'Dell. – Emma prosiła, by ci przekazać, że dba o Harveya.

– Niech sobie tylko nie myśli, że pozwolę jej go zatrzymać.

– Tak, wiem. – Uśmiechnął się i wyszedł.

– Maggie, muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

Przygotowała się na najgorsze. Poruszyła nogami. Były sprawne, ręce także.

– Co robisz? – Gwen zaśmiała się. – Wszystko działa, naprawdę. Pomyślałam tylko, że powinnam cię uprzedzić. Twoja matka tu jest. Siedzi w barku na dole, odpoczywa. Była tu od czwartkowej nocy.

– Och, okej. Super! Więc naprawdę martwiliście się o mnie.

– Przywracanie do życia ze stanu ciężkiej hipotermii może zabić. – Oczy Gwen zaszkliły się. Tłumione przez dwa dni emocje dały o sobie znać. – Wybacz, ale naprawdę się o ciebie bałam. Zresztą dzwoniłam nie tylko do twojej matki. Możesz się na mnie wściekać, ale jest tu jeszcze

ktoś, kogo zawiadomiłam. – Ścisnęła dłoń Maggie, a następnie podeszła do drzwi. – Możesz już wejść.

Patrick wszedł pewnie i od razu zbliżył się do łóżka. Ale potem już tylko stał i patrzył.

– Powiedzieli ci? – spytała Maggie.

– I bardzo dobrze zrobili. Ciekawe, ile jeszcze razy byś przyjeżdżała i ile by cię to kosztowało dietetycznych pepsi. – Uśmiechnął się uśmiechem jej ojca.

– To byłeś ty – stwierdziła.

– Co?

– Myślałam, że nie żyję. Myślałam, że widzę mojego ojca... naszego ojca. Ale to musiałeś być ty.

– Opowiesz mi kiedyś o nim?

– A ile masz czasu? – Posłała mu uśmiech.

Patrick zajął krzesło, na którym przed chwilą siedziała Gwen.

– Moja zmiana zaczyna się dopiero za parę godzin.

EPILOG

Trzy miesiące później
Szpital psychiatryczny w Connecticut

Simon nie cierpiał tego pokoju. Cuchnęło środkami dezynfekującymi, a wcale nie było tutaj czysto. W prawym górnym rogu przy suficie wisiały spore pajęczyny. Pielęgniarki i salowi, czy jak ich tam nazywają, też wcale nie byli sterylnie czyści. Ten z tatuażem miał długie tłuste włosy i nieświeży oddech. Ale przynajmniej traktowali go odpowiednio. Doktor Kramer dał mu nawet lekarstwo na żołądek, które trochę pomagało... choć nie zawsze. Od czasu do czasu bóle powracały. Raz na jakiś czas około północy.

Przynieśli dwie tace z jedzeniem, to znaczy, że przydzielili mu współlokatora. Wypił już jego sok i schował plastikowy kubek pod łóżko, pod deskę w podłodze, gdzie urządził sobie skrytkę. Tu trzymał swoje nowe zdobycze. Musiał zachować ostrożność, ale coraz łatwiej przychodziło mu kraść słoiki z szafki z zapasami. Nocna recepcjonistka, lepiej znana jako Hilda Szczotka, zapominała czasem zamknąć szafkę na klucz.

Usłyszał przekręcany zamek w drzwiach. Wciąż podskakiwał na ten dźwięk.

– Simon. – Znowu ona. – To twój nowy kolega, Daniel Bender.

Nowy wyglądał jak dzieciak, kościsty bladeusz z potarganą brązową czupryną i pustymi piwnymi oczami.

– Cześć, Daniel. – Wstał, żeby uścisnąć mu dłoń. Stwierdził ze wstrętem, że jest zimna i wilgotna. Wytarł rękę o nakrycie na łóżku Daniela, a Hilda Szczotka pokazała dzieciakowi, gdzie ma trzymać swój skromny dobytek.

Po jej wyjściu Daniel siadł na skraju swojego łóżka i wlepił wzrok w tacę z jedzeniem.

– Zupy są tutaj zwykle smaczne – oznajmił Simon. – Zresztą trudno zepsuć zupę. – Podniósł talerz z sałatą, nabił na widelec kilka zwiędłych liści i odłożył je na brzeg tacy.

– Ja tam nie mogę nic jeść – poinformował nieskładnie Daniel. – Mam krwawiący wrzód.

Simon nagle ogromnie się zainteresował i odsunął na bok sałatę.

– Opowiedz mi o swoim wrzodzie – poprosił, na razie chowając widelec pod materac, dopóki nie będzie miał okazji włożyć go do swojej kryjówki.

Tytuł oryginału:
At the Stroke of Madness

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2003

Redaktor prowadzący:
Ewa Godycka

Korekta:
Urszula Gołębiewska

© 2003 by S. M. Kava
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o. Warszawa 2005, 2008

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 9788323896760

Konwersja do postaci elektronicznej:
Legimi Sp. z o.o.